Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 21 (1469) ROK XXIX 24 MAJA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Jak funkcjonuje „serce" reformy
- Czernobyl, 26 kwietnia
- Rozmowa z Bogdanem Hussakowskim
- „Agonia w błysku stu słońc"

Retkinia

Na zachód od centrum

JACEK GŁĘBSKI

Gdyby oddzielić osiedle Retkinia od reszty Łodzi, to biorąc pod uwagę liczbę zamieszkałej tam ludności, można by powiedzieć, że jest to dwudzieste czwarte co do wielkości miasto w Polsce (dla przykładu Skierniewice — miasto wojewódzkie — liczą 35 tys. mieszkańców, a Retkinia 70 tys.). Ale gdyby zastanowić się, czy Retkinia naprawdę mogłaby być samodzielnym ośrodkiem miejskim, trzeba by zdecydowanie odpowiedzieć: nie. Nie ma tu bowiem ani przemysłu, ani rozwiniętej — choćby jako tako — bazy kulturalnej i oświatowej, ani wystarczającej sieci placówek handlowo-usługowych. Retkinia to po prostu wielka sypialnia Łodzi, która może egzystować co najwyżej jako osiedle mieszkaniowe lub w ostateczności jako miasteczko satelitarne tego wielkiego ośrodka. I w sypialni tej koncentrują się jak w soczewce wszystkie bolączki związane z nowymi dzielnicami — dzielnicami z wielkiej płyty.

POŻEGNANIE Z BUDOWLANYMI?

Do niedawna Retkinia była jednym wielkim placem budowy. Gdy na początku lat siedemdziesiątych wkraczały tu ekipy budowlanych, teren przypominał zaciszną wioskę, o której mówi się „zabita deskami". Teraz jednak Retkinia ma charakter typowo miejski, choć niestety, w znaczeniu pejoratywnym. Około 400 bloków i punktowców zajmuje obszar niemal zupełnie pozbawiony zieleni, jeśli nie liczyć trawników i pojedynczych, rachitycznych drzewek, które być może kiedyś urosną. W jednobarwnych, typowych bunkrach gnieździ się 70 tys. ludzi, których spora część codziennie dojeżdża stąd do pracy w innych, nierzadko odległych rejonach miasta zatłoczonymi w godzinach szczytu tramwajami i autobusami. Gęsta sieć uliczek, skom-

4

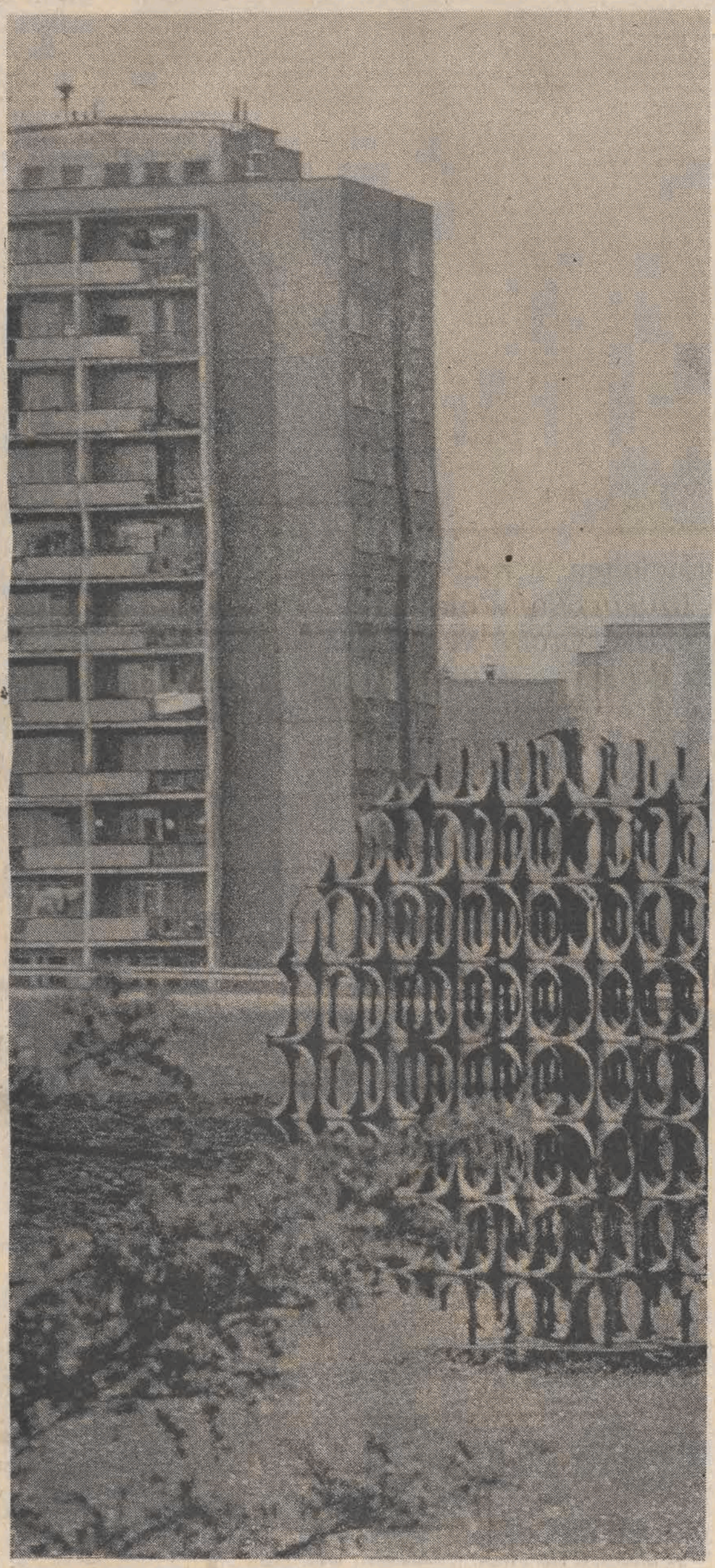

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czasy nadziei i rozczarowań (1)

Rondo

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

Trzeciego sierpnia tj. w poniedziałek zgodnie z uchwałą Zarządu Regionu Mazowsze o godz. 10,30 rozpoczęła się w stolicy akcja protestacyjna. Ulica Marszałkowska od placu Dzierżyńskiego w kierunku Mokotowa została zablokowana autobusami i ciężarówkami z „Transbudu". Stanęły także tramwaje. W stolicy 37-milionowego państwa rozpoczęło się żenujące widowisko, które miało trwać dwa dni. Na autobusach wywieszono transparenty z hasłami: „Chcecie pracy — dajcie jeść", „Nie można pracować z pustym żołądkiem", „Przywróćcie spokój naszym matkom i zonom", „Żądamy dostępu do RTV". „Nie stwarzajcie warunków do spekulacji", „Reformy tak, podwyżki — nie" W południe, czoło kolumny złożone z autobusów i ciężarówek stanęło na rondzie tj. na skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich Organizatorzy demonstracji zamierzali skierować pojazdy Alejami Jerozolimskimi do skrzyżowania z Nowym Światem, a stamtąd obok gmachu Komitetu Centralnego w Aleje Ujazdowskie. Chodziło o to, aby protestujący przedefilowali przed gmachem Urzędu Rady Ministrów. Demonstracja uliczna rządzi się swoimi prawami. Trzeba być przygotowanym na trudne do opanowania odruchy demonstrujących. Tym bardziej w sytuacji, jaka istniała wówczas w Polsce. Biorąc wszystkie te i inne okoliczności pod uwagę, premier polecił ministrowi spraw wewnętrznych, aby podległe mu organa wyznaczyły taką trasę przejazdu demonstrantom, by gmach Komitetu Centralnego i Urzędu Rady Ministrów nie znalazł się w ich zasięgu. W związku z tym organizatorom demonstracji zaproponowano przejazd ulicą Marszałkowską i Puławską. Propozycja ta została odrzucona. Jeszcze tego samego dnia wieczorem do akcji włączyło się prezydium KKP. Na wspólnym posiedzeniu z Zarządem Regionu Mazowsze podjęto decyzję o pozostawieniu autobusów i ciężarówek na Rondzie do środy 5 sierpnia, tj. do dnia, w którym zgodnie z harmonogramem akcji protestacyjnej miał się odbyć dwugodzinny strajk ostrzegawczy. W ten sposób okupacja Ronda w stolicy 37-milionowego kraju stała się faktem. Tego dnia, późnym wieczorem wystąpiłem w telewizji przedstawiając okoliczności, w jakich doszło do rozmów z „Solidarnością"...

— No właśnie. Był to przecież pierwszy dzień rozmów pomiędzy Komitetem Rady Ministrów do współpracy ze związkami zawodowymi i Prezydium KKP NSZZ „Solidarność".

Powrócimy do tego spotkania, ale teraz chciałbym jeszcze pozostać przy okupacji Ronda. We wspomnianym wystąpieniu telewizyjnym nawiązałem także do sytuacji, jaka powstała w sercu Warszawy i powiedziałem, że każda władza administracyjna, na całym świecie wyznacza trasę pochodów. A więc „dlaczego teraz nagle uznano, że trzeba za wszelką cenę podważyć tę decyzję i nie przyjąć proponowanej trasy?" Nie powiedziałem tego, co właściwie powinienem był powiedzieć. Trzeba było wyraźnie oświadczyć, że mamy do czynienia z jawną anarchią i warcholstwem. Również tego samego dnia odbyła się konferencja prasowa w Siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze z udziałem Wałęsy i Onyszkiewicza. Ten ostatni, nawiązując do rozmów w gmachu URM powiedział, że na ich przebieg wpłynęły niewątpliwie informacje napływające z miasta. Cytuję wg relacji „Życia Warszawy". „Mieliśmy, mówił, poczucie, że my sobie tu rozmawiamy, a tam dzieją się rzeczy, które wszystko mogą zmienić". Ciekawe, co miało się zmienić? Postulaty, dowodził, są wynikiem ciśnienia od dołu. My chcemy protest ukierunkować, ująć w ramy organizacyjne. Faktycznie protest został „ukierunkowany" na tydzień przed demonstracją w siedzibie Regionu Mazowsze. Harmonogram akcji protestacyjnej nie wziął się z powietrza. Wałęsa zapytany przez dziennikarza czy związek opanuje akcję protestacyjną, odpowiedział: panujemy nad sytuacją i długo będziemy panować. Otóż to. Gadatliwy Wałęsa tą odpowiedzią potwierdził to, o czym wiedziałem uważnie obserwując działaczy „Solidarności" oraz ich kolejne posunięcia. Związek i poszczególne jego ogniwa, a zwłaszcza zarządy regionów działały planowo. Nie twierdzę, że ruch nie miał w sobie czynnika żywiołowości. Miał bez wątpienia — zwłaszcza w momencie powstawania — ale prawdą jest również i to, że „żywioł" planowano.

A co działo się na Rondzie? Chodniki wokół Ronda zapełniły się tłumem gapiów. Po południu demonstrantów odwiedził szef Mazowsza Bujak oraz Jaworski, Wałęsa i Gwiazda. Jaworski wołał przez megafon, że „robotnicy Warszawy są powiadomieni. W razie czego wystąpią w naszej obronie. Walczymy o naszą sprawę, o żywność". Wałęsa zwracając się do zgromadzonych na Rondzie ludzi zapewniał, że: nie ustąpimy pod żadnym pozorem. Liczymy na to, że tym razem władza musi ustąpić. Tu już nie chodzi tylko o nasze żądania, lecz o nasz przejazd naszymi ulicami. W razie czego poparcia udzieli nam cały kraj. Gwiazda powiedział tłumowi: Czekamy aż władze pójdą po rozum do głowy. Będziemy tu czekać razem z wami i potem razem się rozejdziemy. Z tym wspólnym czekaniem to trochę przesadził. Stałym miejscem postoju członków prezydium KKP w Warszawie był — jak wiadomo — wygodny elegancki hotel „Solec". Wieczorem, kierowcy demonstrujących pojazdów spożyli kolację w „Metropolu" oraz w „Forum". Ciekawe, kto za to płacił. Następnego dnia Rondo nadal

7

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Małka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1511. B-2.

Między potrzebami a możliwościami

Ludzie mówią: należy, trzeba, musimy, powinniśmy koniecznie i niezwłocznie zrobić to i owo. W odpowiedzi słyszą: zgoda, słusznie, wiemy o tym, ale nie ma tyle pieniędzy, nie starcza materiałów, zużywają się maszyny, brakuje wykonawców. Tak mniej więcej wyglądają obecnie dyskusje między przedstawicielami społeczeństwa i władzy. I ten sam schemat można było zaobserwować podczas obrad Łódzkiej Przedzjazdowej Konferencji PZPR, która odbyła się w ubiegłą sobotę. Delegaci krytykowali i postulowali, a członkowie władz spokojnie wskazywali istniejące uwarunkowania. *„Partia* — mówił w referacie wprowadzającym członek Biura Politycznego, I sekretarz KŁ PZPR, Tadeusz Czechowicz — *przedstawiając społeczeństwu zamierzenia i plany nie obiecuje niczego, co nie może być spełnione. Ocenione zostały potrzeby, a także oczekiwania i skonfrontowane z aktualnymi możliwościami naszego państwa".*

Przemysł łódzki miał na tle kraju niezłe osiągnięcia w 1985 roku. Zanotowano wzrost produkcji sprzedanej o 7,8 proc. i wydajności pracy o 9,4 procent. Jednakże w bieżącym roku ta pomyślna koniunktura, niestety, załamała się. Dlaczego? Otóż pojawiły się kłopoty w zaopatrzeniu surowcowo-materiałowym, wzrósł stopień zużycia maszyn i urządzeń (przekracza już 60 proc.), spadło zatrudnienie. Postęp w przemyśle lekkim jest niemożliwy bez modernizacji oraz udoskonaleń w sferze organizacji pracy i struktury zatrudnienia.

Poważny niepokój budzi sytuacja w gospodarce mieszkaniowej. W stosunku do potrzeb oddaje się wciąż mało nowych mieszkań; a w przyszłości może być nawet jeszcze gorzej, jeśli szybko nie nastąpi uzbrojenie terenów. Pilnych remontów i modernizacji wymagają stare budynki. Spośród ponad 7 tys. domów czekających na remonty tylko jedna piąta zostanie wyremontowana do 1990 roku.

Mieszkańcy Łodzi i województwa nie doświadczyli dotąd, na szczęście, problemów związanych z niedostatkiem wody. Ale perspektywa nie jest optymistyczna. Przewiduje się, że w 1990 roku ludność Łodzi oraz Pabianic i Zgierza stanie w obliczu deficytu wody. Nie przyjęto bowiem do sfinansowania w ramach inwestycji centralnych zadania budowy drugiego etapu wodociągu Sulejów—Łódź.

Ogromne potrzeby ma oświata i kultura. W latach 1986—1990 należy wybudować co najmniej 14 szkół podstawowych oraz 20 przedszkoli. Remontów wymagają teatry. W nowych osiedlach niezbędne są biblioteki, domy kultury i kina. Na dalsze lata przesuwa się budowę Filharmonii Łódzkiej i Muzeum Sztuki.

Jedynie w służbie zdrowia można liczyć na poprawę. Znaczącymi osiągnięciami inwestycyjnymi będą Centrum Kliniczno-Dydaktyczne Akademii Medycznej, Centrum Zdrowia Matki Polki oraz Kompleks Geriatryczny na Lodowej. Nie usunie to wszak innych znanych trudności.

Ludzie skarżą się na gospodarkę komunalną i komunikację. Lecz i tutaj potrzeby znacznie przekraczają możliwości. W Łodzi niezbędne jest metro, a niektórzy chcieliby również lotnisko. Miasto potrzebuje piątej elektrociepłowni.

Prezydent Jarosław Pietrzyk podkreślił w swoim wystąpieniu, że bez pomocy władz centralnych nie da się rozwiązać problemów województwa. Apelował przy tym o sprawiedliwy rozdział dotacji, uwzględniający liczbę mieszkańców i hierarchię potrzeb.

Na zakończenie zabrał głos członek Biura Politycznego, premier Zbigniew Messner. Jego zdaniem, choć nie wszystko udało się zrealizować po IX Zjeździe PZPR, to jednak okres ten należy ocenić generalnie pozytywnie we wszystkich przejawach naszego życia. Nie wolno zapominać, że działaliśmy w niezwykle trudnych warunkach. Nastąpiło przecież umocnienie partii, zrealizowano założenia planu 3-letniego, dokonano gruntownej reformy ekonomicznej, przeprowadzono wybory do rad narodowych i Sejmu PRL.

W najbliższym czasie najtrudniej będzie rozwiązać problemy inwestycyjne, zadłużenia i równowagi gospodarczej. Spłacając odsetki od kredytów wywozimy rocznie ok. 2 mld dolarów. Sytuacja jest taka — stwierdził premier — że obecny rząd nie może być popularny, jeśli chce doprowadzić do równowagi, szczególnie pieniężno-rynkowej. Nadchodzący okres nie będzie łatwy, ale przy pełnej mobilizacji społecznej mamy szanse na postęp.

Przysłuchując się dyskusji na Łódzkiej Przedzjazdowej Konferencji Partyjnej odniosłem wrażenie, że delegaci — podobnie jak wszyscy chyba członkowie PZPR, a także bezpartyjni obywatele — wiążą bardzo duże nadzieje, ze zbliżającym się X Zjazdem PZPR. Ludzie oczekują jakiejś konkretnej i pociągającej wizji przyszłości. Pragną wiedzieć, na co naprawdę nas stać, jaki model socjalizmu chcemy urzeczywistnić i jak będzie wyglądała Polska pod koniec XX wieku. Nie można, moim zdaniem, robić cnoty z braku obietnic, ponieważ działa to demobilizująco i pogłębia apatię.

E. L.

Naszym Przyjaciołom i Kolegom, Towarzyszom Sztuki Drukarskiej z okazji 40-lecia Prasowych Zakładów Graficznych oraz dorocznego święta drukarzy najserdeczniejsze życzenia sukcesów w pracy zawodowej, pomyślności w życiu osobistym i dalszej dobrej współpracy składa

Zespół „ODGŁOSÓW"

Sławomir Pietras — laureatem nagrody „Odgłosów"

Powołane przez dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch" jury nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury w składzie: Lucjusz Włodkowski — przewodniczący, Grzegorz Gazda — sekretarz, członkowie: Henryk Hartenberg, Andrzej Kempa, Antoni Kędra, Andrzej Mikolajczyk, Jerzy Panasewicz, Aleksandra Pukaczewska i Zdzisław Szymor — na posiedzeniu 16 maja 1986 roku po wszechstronnym rozpatrzeniu 14 kandydatur do nagrody, przyznało ją dyrektorowi Teatru Wielkiego w Łodzi — SŁAWOMIROWI PIETRASOWI.

Jury obradowało pod nieobecność Jerzego Panasewicza i Aleksandry Pukaczewskiej, którzy nie mogli wziąć udziału w pracach ze względu na chorobę. Również ze względu na chorobę dyrektor ŁWP odwołał Andrzeja Karolczaka i powołał na jego miejsce, jako sekretarza jury, Grzegorza Gazdę.

Jury stwierdziło, że 4 kandydatury z 12 zgłoszonych nie odpowiadały w całości lub w części regulaminowi nagrody „Odgłosów". Pozostałe 8 kandydatur poddano dyskusji i kilkakrotnym głosowaniom. W ten wyniku laureatem nagrody „Odgłosów" został SŁAWOMIR PIETRAS.

Regulamin nagrody „Odgłosów" nie stawia przeszkód, aby kandydaci do niej w jednym roku mogli kandydować w następnym. Z tego powodu jury postanowiło nie publikować nazwisk 11 kandydatów do nagrody, którzy byli kontrkandydatami laureata.

Jury upoważniło swego przewodniczącego do skomentowania swojej pracy i przedstawienia wniosków, jakie uchwaliło.

NAGRODA PO RAZ DRUGI

Pierwszym laureatem nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury był Antoni Szram. Dziś gratulujemy SŁAWOMIROWI PIETRASOWI! I już myślimy o trzeciej edycji tej nagrody. Stało się dobrym zwyczajem, że jury wyciąga wnioski ze swojej pracy, stara się, aby w następnym roku tak regulamin, jak i praca jury były lepsze, aby nagroda „Odgłosów" nabierała znaczenia, coraz lepiej odgrywała swoją rolę w kulturalnym życiu nie tylko miasta.

Jakie więc wnioski wynikają z drugiej edycji nagrody „Odgłosów"?

Po pierwsze, że ilość i ranga kandydatur były wysokie. Jury musiało rozważać wszelkie racje za i przeciw każdej kandydaturze. Dokonało w końcu wyboru najlepszego, ale ma poczucie pewnej niemożności, gdyż na nagrodę zasługiwało więcej kandydatów. Regulamin stanowi jednak o tym, że nagroda jest niepodzielna. Postanowiono zatem rozważyć możliwość pokonania tej przeszkody.

Po drugie — uznano, że należy wystąpić do Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, a także być może do innych fundatorów, z wnioskiem o ustanowienie dwustopniowej nagrody. Składałaby się ona z nagrody I stopnia w wysokości takiej, jak dotychczas oraz z dwóch równorzędnych nagród II stopnia o wartości odpowiednio mniejszej. Nagrody I i II stopnia obok pewnej sumy pieniędzy składałyby się też z części trwałej, stanowiącej pamiątkę faktu otrzymania tej nagrody. W ubiegłym roku była to grafika. Można się zatem zastanowić, czy nie powinien to być przedmiot powtarzalny o artystycznej wartości? Na przykład statuetka.

Chciałbym w imieniu redakcji i jury podziękować wszystkim, którzy nadesłali kandydatury do nagrody „Odgłosów", kandydatom życzyć sukcesów w upowszechnianiu kultury. Dziękuję też jurorom za trudną i niewdzięczną pracę. Laureatowi jeszcze raz gratuluję.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NA WŁASNY RACHUNEK

Miecz i ewangelia

Znana to prawda, że w dziełach dawnej literatury i sztuki każdy czas może coś dla siebie znaleźć, zależnie od ludzkich zainteresowań i upodobań, jakie w danym okresie dominują. Dzięki temu wybitne dzieła w różny sposób zajmują i bawią kolejne pokolenia.

Zetknąłem się ostatnio z dwoma polskimi utworami o wyraźnej inspiracji religijnej, przede wszystkim katolickiej, które już z tego powodu — zdawałoby się — wypełniają podstawowe warunki, żeby budzić żywsze zainteresowania współczesnych Polaków. A jednak, obawiam się, że pójdą w zapomnienie, ponieważ sprawy religijnej moralności traktują zbyt... serio. Paradoks? Istotnie. W społeczeństwie bowiem, którego przeważająca część deklaruje swoją katolicką gorliwość, chrześcijańska problematyka moralna nie powinna być obojętna.

Głośne swego czasu „Ciemności kryją ziemię" Jerzego Andrzejewskiego zobaczyliśmy niedawno w teatrze telewizji, w dostatecznie przyzwoitym kształcie artystycznym, żeby zapewnić nośność treściom utworu. Tak się złożyło, że w parę dni później oglądałem „Irydiona" Zygmunta Krasińskiego w wykonaniu zespołu gdańskiego teatru „Wybrzeże". Sztukę zrealizowano mimo wszelkich zastrzeżeń, z pietyzmem dla treściowej zawartości dzieła, co powinno oddziałać na naszą, katolicką przecież, publiczność, a jednak najwyraźniej ją to nużyło.

Wprawdzie w sztuce Andrzejewskiego przedstawiono działalność Świętej Inkwizycji i złożone procesy psychologiczno-moralne ślepego posłuszeństwa oraz ofiary z własnego sumienia i poświęcenia losu bliskich na „ołtarzu sprawy" (są to oczywiście odniesienia do systemu sprawowania władzy w okresie tzw. stalinizmu), dziś jednak ta warstwa znaczeń i aluzji znacznie już zwietrzała, wskutek, jak sądzę, zachodzących procesów demokratyzacji socjalizmu. Ale za to nowych rumieńców nabiera dziś przenikający tę sztukę konflikt dwóch postaw w obrębie światopoglądu religijnego: czy wolno w walce z przeciwnikami wiary i kościoła posługiwać się metodami sprzecznymi z nauką Chrystusa — fałszywie ich oskarżać, szerzyć wobec nich nienawiść lub choćby dobyć na nich miecza, czy też odnosić się do nich zgodnie z ewangelicznym nakazem miłości bliźniego (i odłożyć miecz, jak przykazał Chrystus jednemu z uczniów, gdy stawał w jego obronie).

Znacznie drastyczniej zarysowuje się (w dzisiejszym odbiorze) ta elementarna sprzeczność w „Irydionie". Czy godzi się w walce z pogańskim ciemiężcą knuć wobec niego podstęp i zdradę, pielęgnować nienawiść, czy też, dochowując posłuszeństwa ziemskiej władzy w sprawach doczesnych, mieć za cały oręż modlitwę? Zważmy, iż u Krasińskiego chodzi nie o władzę rodzimą, lecz o zaborczą, a więc wojujący katolicy ostrzą tam sztylety nie w celach bratobójczych.

Czy zaobserwowany przeze mnie brak oddźwięku publiczności, i to tzw. premierowej, na te, jakże nam współczesne zagadnienia świadczyć miałby o tym, że w praktykowaniu miłości wobec bliźniego (wyznającego inną wiarę lub niewierzącego) nasz widz teatralny nie przeżywa żadnych rozterek i zawsze gotów jest iść za wskazaniami ewangelii? Czy też postawa przeważającej części katolików wobec „niewiernych" rozmija się z ewangelią miłości tak dalece, że również nie odczuwają żadnych niepokojów swego chrześcijańskiego sumienia? Cynik powiedziałby, że nienawidzą z czystym chrześcijańskim sumieniem...

Rzecz wszakże nie w tym, że tylko od chrześcijan ma się prawo oczekiwać motywacji wyższych. Z pewnością najkorzystniejsze dla społeczeństwa byłoby, żeby ludzie różnych światopoglądów filozoficznych i różnych orientacji politycznych reprezentowali jak najwyższy poziom umysłowy i moralny, żeby nie zniżali się do nienawiści wobec współziomków o odmiennych poglądach, a także nie dzielili narodów na lepsze i gorsze. Może przynajmniej ten i ów zastanowi się nad tym, że w razie globalnego nuklearnego konfliktu, który stanowiłby niejako „ukoronowanie" wzajemnych nienawiści, żadna nadprzyrodzona siła nie rozepnie akurat nad nimi, Polakami, ochronnego parasola, pod którym przesiedzielibyśmy bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem.

Świat kurczy się nieustannie i chcąc nie chcąc trzeba się przyzwyczaić do myślenia o współmieszkańcach planety jako o bliźnich. A może idea braterstwa ludów przestanie być odczuwaną przez niektórych jako anachroniczna? Oby!

JERZY KWIECIŃSKI

35-lecie pracy naukowej profesora Z. Czeczota-Gawraka

W tym roku przypada 35-lecie pracy naukowej prof. dr hab. Zbigniewa Czeczota-Gawraka. W związku z jubileuszem, z inicjatywy Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ, z którym Profesor od lat współpracuje, 8 maja otwarto w gmachu Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego wystawę gromadzącą dokumentację biografii tego znanego i cenionego filmologa, a przede wszystkim prezentującą jego bogaty i wszechstronny dorobek naukowy. Składają się nań liczne książki, studia i szkice z zakresu historii metodologii badań nad filmem, teorii i praktyki filmu o sztuce oraz prace poświęcone historycznym aspektom dokumentacji filmowej.

Także tego dnia na posiedzeniu Komisji Teorii Literatury i Sztuki Łódzkiego Towarzystwa Naukowego prof. Czeczot-Gawrak przedstawił odczyt nt. myśli filmowej w estetyce i pedagogice Karola Irzykowskiego.

(GRZG)

Naszej Koleżance

RED. TERESIE JERZYKOWSKIEJ

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa:

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"

Jak funkcjonuje „serce" reformy?

Rozmowa z podsekretarzem stanu w Ministerstwie Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych, kierownikiem Zakładu Ekonomiki Pracy UŁ — prof. dr. hab. STANISŁAWĄ BORKOWSKĄ.

Często wypowiadane są uwagi, że proces reformowania gospodarki po „wielkim pchnięciu" z lat 1981—82 uległ wyraźnemu zwolnieniu. Za największą innowację ostatnich lat uchodzą zmiany systemu wynagradzania, który jako „serce" reformy decyduje o sprawności funkcjonowania całego organizmu. W jakim stadium znajduje się reforma płac, której podstawą są zakładowe systemy wynagrodzeń? Czy systemy te spełniły oczekiwania, czy przyczyniły się do pobudzenia motywacyjnej funkcji płac?

— Zmiany zachodzące w systemie płac są procesem ciągłym. Dotychczas ponad 5200 przedsiębiorstw, zatrudniających około 6 mln osób wprowadziło swoje systemy wynagradzania. Ocena nie może być jednak jednoznaczna, ponieważ tylko około 900 z nich stosowało zakładowy system płac co najmniej 1 rok. W tej sytuacji można raczej mówić o zarysowujących się tendencjach. Precyzyjniejsza ocena będzie możliwa na podstawie wyników 1986 roku.

Dotychczasowe doświadczenia ze stosowania zakładowych systemów wynagradzania wykazują, iż podstawowe cele ustawy z 26 stycznia 1984 r. są realizowane prawidłowo, a wprowadzane w systemie płac zmiany są społecznie akceptowane. Zakładowe systemy wynagradzania przyczyniły się do ukształtowania zasady partnerskich stosunków w dziedzinie kształtowania zakładowej polityki płac między organizacjami związkowymi, samorządem pracowniczym i kierownictwem przedsiębiorstw, zbliżały dyskusję o płacach do realiów ekonomiczno-finansowych zakładu pracy. Wpływa to korzystnie na atmosferę wśród załóg przedsiębiorstw.

W ramach wprowadzanych systemów płac ograniczono liczbę składników wynagradzania i zmniejszono udział w wynagradzaniu ogółem składników nie związanych bezpośrednio z wynikami pracy, lecz z samym faktem zatrudnienia. Dokonano po raz pierwszy od wielu lat na taką dużą skalę weryfikacji bazy normatywnej połączonej z zaostrzeniem norm pracy. W większości przedsiębiorstw wdrażających własne systemy płacowe uzyskano wyższe tempo przyrostu wskaźnika rentowności, co znalazło swoje odbicie w wyższej dynamice przyrostu wyniku finansowego.

— To są zjawiska pozytywne. Czy obok blasków są także cienie?

— Badania prowadzone w MPPiSS wykazały, iż niektóre przedsiębiorstwa zwłaszcza przemysłu: hutnictwa żelaza, elektrotechnicznego, elektronicznego, materiałów budowlanych, szklarskiego i ceramiki szlachetnej pomimo wprowadzenia zakładowego systemu wynagradzania osiągnęły zdecydowanie złe relacje ekonomiczne. Nie zarejestrowano wyraźnego postępu w wykorzystaniu czasu pracy. Nadal w wielu przedsiębiorstwach utrzymywane są stare struktury organizacyjne, co hamująco wpływa na racjonalizację zatrudnienia.

Mimo niekorzystnych wyników osiąganych przez niektóre przedsiębiorstwa można jednak stwierdzić, iż zakładowe systemy wynagradzania przyczyniają się do odbudowy motywacyjnej funkcji płac i na stałe powinny wejść do praktyki gospodarczej.

— Zakładowe systemy wynagradzania dały przedsiębiorstwom dużą swobodę w kształtowaniu wewnętrznych proporcji płac. Dużo jest jednak ostatnio wzmianek w prasie o opracowywanych w Ministerstwie metodach wartościowania pracy. Są także finalizowane uzgodnienia w sprawie układów zbiorowych pracy. Działania te odbierane są przez społeczeństwo jako kolejne istotne kroki w zakresie polityki wynagrodzeń. Są one różnie oceniane. Pojawiają się głosy, że polityka płacowa jest niestabilna oraz, że układy zbiorowe i wartościowanie pracy mogą stanowić istotne zagrożenie dla reformy gospodarczej. Czy obawy te są uzasadnione?

— Uważam, że obawy te są przedwczesne i wynikają przede wszystkim z braku dostatecznych informacji na temat przygotowanych koncepcji.

Wyjaśnijmy sobie najpierw co to jest wartościowanie pracy. Otóż każdy poddaje swoją pracę ocenie przez porównanie z inną pracą. Jest to normalny objaw. W istocie są prace mniej lub bardziej złożone, wymagające różnych kwalifikacji wykonywane w różnych warunkach. Wartościowanie pracy pozwala dokonywać tych porównań w sposób metodyczny, tzn. biorąc pod uwagę wyodrębnione kryteria (czynniki utrudnień), wyceniając je w punktach dla każdej pracy. Jest to metoda bardziej precyzyjna niż taryfikacja, choć obie są pokrewne. Na podstawie takiej oceny wymagań pracy powinno się ustalać tabele płac (zasadnicze stawki i ewentualnie niektóre dodatki) i kategorie zaszeregowania. Pozwala ona zatem prawidłowiej ułożyć proporcje płac. Obecne propozycje budzą wiele niezadowolenia i są przedmiotem krytyki. Niezbędnym, chociaż niewystarczającym warunkiem przebudowy proporcji płac jest właśnie wartościowanie (Niewystarczającym, bo oprócz wiedzy jakie powinny być proporcje, potrzebne są pieniądze na wprowadzenie ich w życie). Znaczenie prawidłowego ustalania stawek zasadniczych jest tym większe, że na ogół premie i inne składniki wynagrodzeń ustalone są w proporcji do stawek płac. Jeśli one są nieprawidłowe, to i cała reszta także.

Opracowana została jednolita metoda wartościowania pracy — zgodnie z „Kierunkami reformy gospodarczej" nadkładającymi ten obowiązek na centrum. Posługując się tą metodą od momentu wprowadzenia jej w „życie", zakłady pracy samodzielnie dokonywałyby wartościowania pracy. Samodzielnie też, biorąc pod uwagę swoje możliwości finansowe, kształtowałyby stawki płac. A więc nie ma tu niebezpieczeństwa ograniczania samodzielności przedsiębiorstw. Każde stanowisko i kategoria zaszeregowania otrzymałyby w rezultacie wyceny pewną liczbę punktów. Natomiast cena punktu zależeć będzie od tego, ile środków może przedsiębiorstwo przeznaczyć na płace. Iloczyn liczby punktów przez cenę punktu, powiększony o stały składnik płac równy obecnie najniższej stawce o wysokości 5.400 zł dawałby stawkę płac danej kategorii.

— Stawki płac będą więc zależały od wyników ekonomicznych przedsiębiorstwa? A w jaki sposób w metodzie tej będą uwzględniane różnice w indywidualnych wynikach pracy?

— Indywidualne wyniki pracy mogą być uwzględniane tak przy podwyżkach płac w ramach „widełek", przedziałów przewidywanych dla poszczególnych kategorii, jak też (a właściwie — głównie) przy premiowaniu. Premiowanie zaś powinno opierać się na ocenie efektów. Innymi słowy wartościowanie wymagań pracy (tzw. jakości pracy) oznacza wycenę wymagań stawianych pracownikowi i jest podstawą budowy stawek płac. Natomiast faktyczne wyniki, a te mogą być różne u różnych ludzi spełniających te same wymagania, znaleźć powinny odbicie głównie w ruchomej części płac.

— Wartościowanie pracy umożliwi też chyba poprawę pozycji płacowej dyrekcji przedsiębiorstw?

— Wynagrodzenie dyrektorów jest ważnym elementem centralnej polityki płac, gdyż od jakości pracy kierowników w dużym stopniu zależy postęp w efektywności gospodarowania i wdrażania reformy. Trwają prace dotyczące statusu dyrektora. Wartościowanie odnosi się do pracy wszystkich zatrudnionych, a więc i dyrektorów. Tak więc ich płace powinny być oparte na wynikach wartościowania. Można oczekiwać, że doprowadzi to do poprawy konfiguracji kadry kierowniczej i inżynieryjno-technicznej. Przewiduje się też istotne zmiany w wynagradzaniu kadry kierowniczej polegające na silnym powiązaniu ich z zyskiem wygospodarowanym w przedsiębiorstwie.

— Czy i w jaki sposób sytuacja na rynku pracy może utrudnić utrzymanie proporcji płac wynikających z wartościowania pracy?

— Wpływ sytuacji na rynku pracy na płace stanowi odrębny problem wymagający wnikliwego potraktowania. Przede wszystkim odróżnić trzeba trwały brak chętnych do wykonania pewnych prac od braków przejściowych. W pierwszym przypadku wynika to z niskiej atrakcyjności, a ściślej z niskiego prestiżu danej pracy, np. sprzątaczki, co prowadzi do obciążenia psychicznego pracownika. Wówczas w pierwszym rzędzie należy podejmować działania na rzecz uatrakcyjnienia takiej pracy np. dzięki wzbogacaniu rodzaju wykonywanych czynności w drodze mechanizacji itp. Nie zawsze jest to możliwe „od ręki". Zasadne staje się wówczas „dowartościowanie" takich prac. Dlatego też we wspomnianej metodzie wartościowania uwzględniony został osobny czynnik — niska atrakcyjność pracy. Natomiast normalne okresowe niedobory na rynku pracy znajdują odbicie w stawkach płac, a nie w wycenie punktowej, która ma charakter trwalszy. „Widełkowe" stawki umożliwiają różnicowanie faktycznych stawek zależnie od sytuacji na rynku pracy i ewentualnych efektów pracy.

— Wyniki wartościowania pracy uderzają chyba w pewne, dotychczas uprzywilejowane płacowo branże i gałęzie naszej gospodarki?

— Wartościowanie pracy, oprócz dotąd wymienionych zalet czy zastosowań ma jeszcze jedną niezwykle ważną. Mianowicie, nierzadko płace kształtują się pod wpływem presji różnych grup społeczno-zawodowych. A więc decyduje wówczas — upraszczając — argument siły, nie zaś racje wynikające z oceny rzeczywistej trudności i złożoności pracy, jak też sytuacji finansowej zakładu pracy czy państwa. Otóż wartościowanie pracy dostarcza argumentów do negocjacji w sprawie wynagrodzenia. Dyskusja o płacach opiera się wówczas na faktach, nie zaś odczuciach, że praca danej grupy jest szczególnie trudna, ważna itd. Nawiasem mówiąc nie znam takiej grupy, która by nie uważała, że jej praca jest szczególna. I to dobrze, że mamy poczucie wartości swej pracy, byle tylko było to oparte na realiach. Bywają grupy silniejsze i słabsze. Słabsze byłyby z góry „przegrane" bez względu na rzeczywiste trudności i wagę swojej pracy, gdyby nie prowadziło się rzetelnej wyceny pracy.

— W systemie płac istnieją nadal, a nawet umacniają się preferencje płacowe dla pracy fizycznej, wymagającej dużego wysiłku mięśni, mozołu. Umacnia się także pozycja płacowa pracowników zatrudnionych w takich dziedzinach, jak górnictwo, hutnictwo, przemysł stoczniowy. Jak to pogodzić z programem restrukturyzacji polskiej gospodarki? Program ów zakłada przecież konieczność przyspieszenia w latach 1986—1990 tempa rozwoju nowoczesnych dziedzin wytwarzania takich jak: przemysł elektroniczny, chemiczny, narzędzi precyzyjnych, inżynieria materiałowa itp. Są to dziedziny, które dotychczas nie miały dostatecznej siły przebicia w przetargach o płace. Czy są szanse na istotną poprawę płac w tych dziedzinach?

— Preferencje płacowe dla tradycyjnych gałęzi przemysłu (górnictwa, hutnictwa itp.) powstały w okresie planu sześcioletniego 1950—1955. W okresie tym istniały ekonomiczne i społeczne racje przemawiające na rzecz tworzenia preferencji płacowych dla wspomnianych gałęzi. Koncepcja rozwoju gospodarczego Polski opierała się wówczas na założeniu szybszego rozwoju działu I gospodarki (wytwarzającego dobra inwestycyjno-zaopatrzeniowe), niż działu II (wytwarzającego dobra konsumpcyjne). Konsekwencją tego było przyznanie preferencji płacowych, a także przywilejów pozapłacowych pracownikom zatrudnionym w kopalniach, hutach itp. Powstały więc znaczne rozpiętości w wysokości płac między pracownikami przemysłu surowcowo-wydobywczego, hutnictwa i przemysłu stoczniowego a pracownikami innych przemysłów i sferą niematerialną.

W ostatnich latach rozpiętości płacowe między sektorami pogłębiły się. Oczywiście różnice płacowe muszą istnieć, ale pod warunkiem, że wynikają one z kryteriów oceny danej pracy, czyli oceny wymagań pracy oraz jej efektów. Uważam, że najwięcej oporów społecznych budzi jednak nie sam fakt wysokiego opłacania np. górników pracujących pod ziemią czy hutników pracujących w trudnych warunkach, lecz wysokie przeciętne płace w preferowanych branżach niezależne od charakteru pracy i wykonywanego zawodu. Jedną z największych bolączek naszego systemu płacowego jest uzależnienie wysokości płac od przynależności branżowej pracowników wykonujących tę samą pracę. Na przykład jeśli portier zatrudniony w górniczym domu wczasowym zarabia znacznie więcej niż jego kolega z domu wczasowego dla włókniarzy, to różnice te nie są podporządkowane kryteriom wymagań związanych z pracą portiera; decyduje kryterium branżowe.

Wracając do problemu polityki płac w kontekście restrukturyzacji gospodarki chciałabym skonstatować, że przebudowę systemu płac trzeba widzieć jako proces długotrwały. Przesądzają o tym zarówno względy natury finansowej jak i psychologicznej. Wobec tego stopniowo, w miarę wygospodarowania środków, należałoby zwiększać płace zbyt niskie w stosunku do wyceny wymagań pracy, natomiast ograniczać podwyżki płac na stanowiskach względnie przepłacanych. Proces ten służyć będzie zmianom relacji płacowych na korzyść gałęzi będących nośnikami zaawansowanych technologii.

— Czy nie ma obaw, że dążenie związków zawodowych do „czuwania" nad proporcjami płac może kłócić się z efektami wartościowania pracy oraz stanowić zagrożenie dla mechanizmów reformy?

— Prace nad zmianą kodeksu pracy w części dotyczącej układów zbiorowych jeszcze trwają. Ściślej rzecz ujmując chodzi o negocjacje ze związkami zawodowymi, trudno zatem powiedzieć cokolwiek bliżej na temat ostatecznych rozwiązań jakie zostaną przyjęte. Niemniej już teraz są podstawy, aby sądzić, że bez względu na konstrukcję układów, wartościowanie pracy nie koliduje, a w każdym razie nie powinno kolidować z żadnym kształtem układów. Wartościowanie stanowi podstawę kształtowania tabel płac. Tabele nie są ustalone centralnie, choć rozważa się ustalenie siatek płac, ujmujących relacje stawek. Byłoby to jak już podkreślałam zgodne z „Kierunkami reformy gospodarczej", które m.in. przewidują, że centrum ustalać będzie ramowe tabele płac.

Wartościowanie powinno dotyczyć pracy konkretnej, a więc odbywać się w zakładzie pracy, uwzględniając rzeczywiste, a nie uogólnioną, czyli abstrakcyjne czynniki utrudnień pracy. Na podstawie wyników wartościowania ujętych w punktach, zaszeregowuje się pracownika do właściwej kategorii (grupy). Z każdą

Foto: Grzegorz Gałasiński

grupą wiąże się pewna liczba punktów ujętych w przedziałach (ramach). Są to więc siatki ujmujące relacje (różnice), w trudności pracy między poszczególnymi kategoriami. Siatki takie może ustalać centrum, mogą też być one uszczegółowiane w przekroju grup społeczno-zawodowych.

Natomiast osobny problem polega na ustalaniu stawek płac w oparciu o wyniki tego wartościowania i zaszeregowania. Otóż tutaj trzeba przestrzegać zasady, aby stawka zasadnicza wynikała z przemnożenia liczby punktów na stanowisku pracy przez zakładową cenę punktu. Innymi słowy, chodzi o to, aby stawki płac zasadniczych nie były narzucone przedsiębiorstwom od góry, np. przez organ założycielski, ale aby były zależne od ich własnej sytuacji finansowej. Jest to niezbędne w warunkach reformy gospodarczej.

Rzecz jasna oznacza to, że mogą występować różne płace, jeśli są różne wyniki przedsiębiorstw. Ale też na tym polega sens reformy i płacy za pracę.

Z drugiej strony zrozumiałe jest dążenie zwłaszcza związkowców, ale nie tylko, do pewnego ujednolicenia płac w grupach zawodowych i branżowych. Może nawet nie tyle do ujednolicenia, co takiego sterowania różnicami płac, aby nie były one nadmierne i społecznie nieakceptowane. Dlatego też dążąc do zawierania branżowych czy zawodowych układów zbiorowych ujmujących warunki pracy wspólne dla tych grup, dąży się zarazem do zawierania w nich unormowań umożliwiających takie sterowanie płacami. Rzecz jasna gdyby przesądzić w nich sztywne stawki płac, obowiązujące dla wszystkich, byłoby to wątpliwe z punktu widzenia motywowania przez płace i z punktu widzenia całej reformy. Możliwe jest jednak owo sterowanie układowe poprzez wspomniane gałęziowe siatki (punkty), a także określenie relacji między np. dolnymi stawkami płac.

Gdyby dolne stawki w układach przyjąć wyższe od rzeczywiście występujących najniższych, a układy uznać za obligatoryjne dla przedsiębiorstw, oznaczałoby to wówczas wymuszony wzrost płac. Byłoby to ponadto nie tylko oderwaniem płac od wyników pracy przedsiębiorstw, ale też pogłębiałoby inflację. Jest więc rzeczą nader istotną, aby te kwestie były uwzględniane w układach.

— Układy zbiorowe pracy nie powinny więc zagrażać zakładowym systemom wynagradzania?

— Samodzielna polityka płac przedsiębiorstw stanowi integralną część reformy gospodarczej, a zakładowe systemy wynagradzania są wyrazem tej samodzielności. Przesądza to niejako, iż przyszłe układy zbiorowe pracy powinny być budowane przy wykorzystaniu najlepszych rozwiązań wprowadzanych w ramach zakładowych systemów wynagradzania. Układ zbiorowy pracy powinien określać ramy, które będą wypełniane przez poszczególne przedsiębiorstwa, przy uwzględnianiu ich możliwości finansowych. Pozwala to na bezkonfliktowe połączenie układów zbiorowych pracy z zakładowymi systemami wynagradzania.

— W dyskusji o układach zbiorowych pracy pojawiają się niekiedy obawy, iż układy te spowodują naciski poszczególnych branż na wzrost płac w oderwaniu od wyników ekonomicznych osiąganych przez poszczególne przedsiębiorstwa.

— Takie rozumowanie pomija podstawowe zasady reformy gospodarczej. W warunkach samodzielności finansowej przedsiębiorstw nie można oczekiwać, iż centrum będzie zabezpieczać środki na realizację nowych układów zbiorowych pracy, ponieważ centrum takimi środkami nie dysponuje. Jeżeli więc stoimy na gruncie reformy gospodarczej, to musimy pamiętać, iż nie przynależność branżowa, lecz wyniki konkretnego przedsiębiorstwa będą decydować o wysokości płac jego pracowników.

— Stwarzając możliwości dodatkowych zarobków w zakładowych zespołach gospodarczych liczono na to, że spotkają się one z szeroką akceptacją społeczną. Koncepcja ta nie „zakorzeniła" się jednak głęboko. Dlaczego?

— Tak bym nie powiedziała. Prawne podstawy dla funkcjonowania zakładowych zespołów gospodarczych zostały stworzone z końcem 1983 r. Podówczas idea ta rzeczywiście nie przyjęła się nazbyt szeroko. Do końca III kwartału 1985 r. zakładowe zespoły gospodarcze stosowane były w prawie 500 przedsiębiorstwach, angażując co miesiąc ponad 4 tysiące osób, w tym 190 kobiet przebywających na urlopach wychowawczych oraz 150 rencistów i emerytów. Wykorzystując nagromadzone doświadczenia, w październiku 1985 r. zostało wydane Rozporządzenie Rady Ministrów, które wydatnie rozszerzyło możliwości stosowania zakładowych zespołów gospodarczych. Mogą one występować we wszystkich działach gospodarki narodowej, a także w organizacjach społecznych prowadzących działalność gospodarczą. Dopuszcza się udział w tych zespołach nie tylko emerytów, rencistów i osób opiekujących się dziećmi, ale też pracowników przedsiębiorstw. Jednakże istotnym warunkiem udziału pracownika w zespole jest właściwe wykonywanie przez niego obowiązków służbowych w normalnym czasie pracy. Co więcej, dopuszcza się możliwość pracy w normalnym czasie pracy danego zakładu dla osób zdezaktywizowanych zawodowo. Oznacza to, że o ile są nie wykorzystane urządzenia, to np. emeryt może w ramach zespołu pracować także podczas pierwszej lub drugiej zmiany. Tak więc rencista, emeryt, osoba pozostająca na urlopie wychowawczym może podjąć pracę w zespole w najdogodniejszym dla siebie przedziale czasu. Wynagrodzenia wypłacane zespołom wyłączone są z podatku od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń. A zarobki poszczególnych członków zespołu nie podlegają podatkowi wyrównawczemu.

— Czy efekty nowych uregulowań prawnych są już widoczne?

— Rozwiązania te niepomiernie podniosły atrakcyjność zakładowych zespołów gospodarczych. Pojawiło się też bardzo duże zainteresowanie organizowaniem zespołów w zakładach pracy. W rezultacie, tylko w ciągu IV kwartału 1985 roku (a rozporządzenie wydane zostało w październiku, dotarło więc odpowiednio później do zakładów), liczba zakładów, w których występują zakładowe zespoły gospodarcze wzrosła o dalszych 200, a więc o 40 procent. Te nowo powstałe zespoły wytwarzały produkcję sprzedaną o wartości prawie 12 mld zł, a ich członkowie otrzymali 946 mln zł. tytułem wynagrodzenia. (W 1985 r. całoroczna produkcja ze wszystkich zespołów wynosiła 30 mld zł). Przytoczone dane mają charakter niepełny. Odnoszą się tylko do przemysłu, ponieważ ewidencja rozwoju zakładowych zespołów gospodarczych w innych działach i gałęziach gospodarki jest dopiero w toku.

Z informacji urzędów wojewódzkich wynika natomiast, że nikłe jest zainteresowanie tą formą zatrudnienia ze strony przedsiębiorstw rolniczych. Jest to sytuacja odwrotna do tej jaka ma miejsce na Węgrzech. Niestety, relatywnie małe zainteresowanie tą formą aktywności przejawiają nadal emeryci, renciści i osoby pozostające na urlopach wychowawczych.

— Na zakończenie chcielibyśmy zadać pytanie osobiste — czy łatwo jest profesorowi być ministrem?

— Moim zdaniem nie jest łatwo pogodzić ze sobą punkt widzenia profesora i ministra. Jest to jednak bardzo interesujące doświadczenie. Przy wprowadzaniu określonych koncepcji, pomysłów, napotyka się na silne opory różnych grup społecznych. Profesorowi wydaje się, że ludzie mają poglądy zbieżne z jego poglądami. Tymczasem w dyskusjach poświęconych płacom dochodzą często do głosu nie racje, lecz emocje. Stąd też wynika potrzeba cierpliwego wyjaśnienia swoich racji przedstawicielom różnych grup społecznych.

— Życzymy zatem sukcesów w reformowaniu systemu płac!

Rozmowę przeprowadzili:
ANNA KRAJEWSKA
WITOLD KASPERKIEWICZ

PS. Na rynku księgarskim ukazała się i natychmiast zniknęła, wydana przez PWN książka prof. dr hab. Stanisławy Borkowskiej zatytułowana „System motywowania w przedsiębiorstwie". Ta obszerna monografia licząca 420 stron stanowi pierwszą w Polsce próbę kompleksowego i systemowego podejścia do motywowania. W okresie gdy w przedsiębiorstwach dokonywana jest powszechna przebudowa systemu motywowania książka ta powinna trafić nie tylko do teoretyków i polityków zajmujących się tą problematyką, ale także do każdego przedsiębiorstwa. Nakład I wydania książki w wysokości 3000 szt. wygląda w tej sytuacji na nieporozumienie. Cała nadzieja w tym, że Wydawnictwo szybko zdecyduje się na dodruk, aby wypełnić tę lukę.

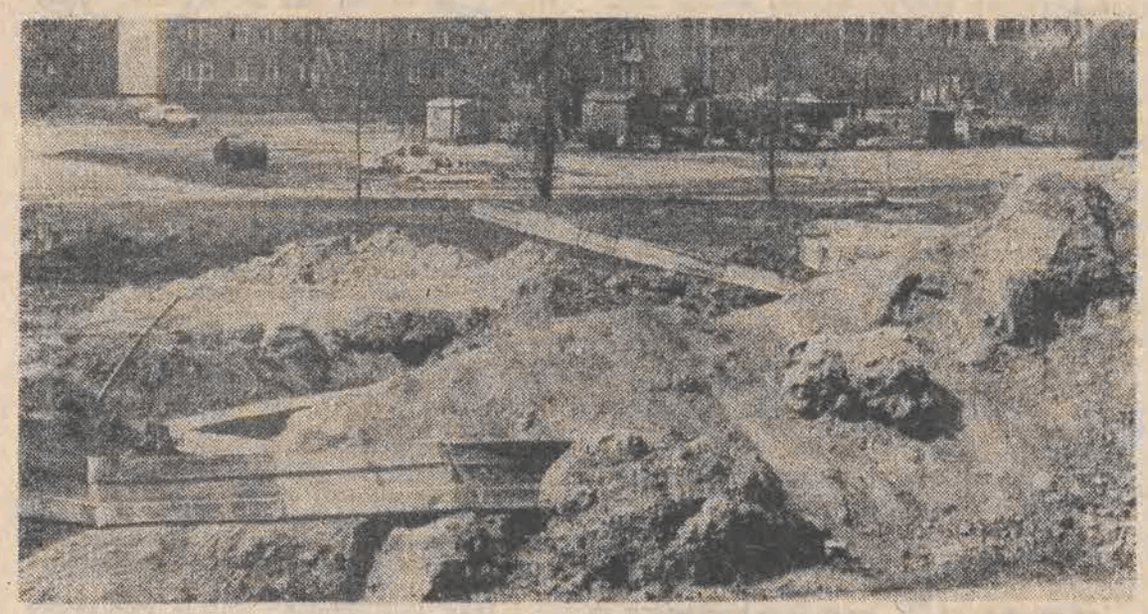

ze str. 1

plikowana niekiedy numeracja i absolutna jednolitość budynków zmusza nieraz do błądzenia w tym labiryncie. Mieszanych uczuć dopełniają wykopy i nie zagospodarowane tereny wokół nowo budowanych bloków. Ale Retkinia kończy się już jako dzielnica budowy nowych bloków. W trakcie realizacji jest teraz 7 budynków, a plany przewidują, że w sumie wzniesionych będzie jeszcze 10. Tak więc ostatni blok zostanie oddany do użytku w 1988 r.

Powstanie jeszcze osiedle 8 tysięcy domków jednorodzinnych, ale to już wszystko. Rozwój został bowiem zahamowany przez niekorzystny bilans cieplny, brak uzbrojenia dalszych terenów i szczupłe możliwości inwestycyjne, czyli mówiąc po prostu — brak pieniędzy. Fakt, że skończy się stawianie nowych bloków nie oznacza jednak, iż ekipy budowlanych definitywnie opuszczą to osiedle.

Postawienie budynku oznacza dopiero... początek zabawy, a niech o tym świadczy 148 placówek usługowych branży budowlanej na Retkini, które spośród wszystkich placówek są tam najliczniejsze i nie narzekają chyba na zbyt dużo wolnego czasu. Gdybyśmy bowiem nauczyli się budować ze znakiem jakości „Q", być może wystarczyłoby postawić blok, podpisać dokument odbioru do użytku, rozdać klucze i — sprawa załatwiona. Tak jednak nie jest. Abstrahując od tego, że w latach 1978—79 oddawaliśmy w Łodzi do użytku prawie 11 tys. mieszkań, a teraz zaledwie 5 tys., ich jakość jest fatalna, o czym zresztą pisze się często i gęsto.

Aby nie rozwodzić się nad tym zbyt długo, powiem tylko, że swego czasu wznoszono przy ul. Wrześnieńskiej blok z prefabrykatów. Codziennie więc miałem okazję odbywać „wizję lokalną" w drodze do domu. Widziałem, jak zwożono uszkodzone płyty, z których powstawał budynek. Widziałem też, jak brakujące fragmenty prefabrykatów uzupełniano workami po cemencie i... gumiakami! Pod tynkiem niczego przecież nie widać...

A wracając do Retkini — w zeszłym roku oddano do użytku 8 budynków, które powinny być oddane dwa lata temu, zaś budynki nr 287 i 289, które miały być przekazane zgodnie z planem w 1985 r., oddane zostały w 1986 roku, m.in. z powodu usterek i niezgłoszenia do odbioru. Z reguły jednak bloki przyjmuje się do odbioru prawie zawsze, jeśli tylko wykonawca zgłasza zakończenie robót.

A usterki?

Usuwane są w trakcie odbioru albo i później. Według kierownika Wydziału Architektury, Urbanistyki i Nadzoru Budowlanego UD Polesie, nie zauważono, by cokolwiek się polepszyło, jeśli chodzi o jakość prac budowlanych, szczególnych zaś kłopotów dostarcza wykończenie mieszkań i brak armatury. Bolączki te dotyczą zresztą nie tylko Retkini.

GAZ

Typowy obrazek z życia osiedla: na trawniku stoją panowie i zaopatrzeni w przyrządy pomiarowe nachylają się nad wypełnionym wodą dołkiem. Znad tafli wody, na której pojawiają się dziwne pęcherzyki, unosi się dobrze znajomy zapach. To gaz. Postrach Retkini. Ale wydobywający się z dołka metan nie stanowi większego zagrożenia. Woda działa jak zawór bezpieczeństwa. Jeden z gazowników tłumaczy, iż z pewnością uszkodzenie gazociągu nastąpiło gdzieś dalej, niekoniecznie tutaj. Gaz płynie sobie pod ziemią, a tutaj na skutek obniżenia tylko się wydostaje. Trzeba tu postawić barierkę z ostrzeżeniem i zlokalizować miejsce, gdzie naprawdę nastąpiło uszkodzenie rury.

Gaz jednak — wbrew pozorom — nie straszy tylko na Retkini. Owszem, były tu aż dwa tragiczne w skutkach wybuchy, ale w wyniku tych katastrof wzmożono po prostu czujność. Działa tu zresztą pogotowie gazowe przydzielone specjalnie dla Retkini. Oba pamiętne wybuchy spowodowane były najzwyklejszym niedbalstwem. W pierwszym wypadku, jaki miał miejsce w styczniu 1982 r. podczas prac ziemnych uszkodzono gazociąg i metan przedostał się do przewodów centralnego ogrzewania. W drugim przypadku, który miał miejsce w grudniu 1983 r. podczas prac ziemnych koparka uszkodziła gazociąg, który miał pecha nie znaleźć się w dokumentacji terenu. Potrzeba było więc aż dwóch tragedii, by jeszcze raz zastanowić się nad instalacją gazową w całym osiedlu. Prezydent Łodzi podjął decyzję o wprowadzeniu na Retkini gazu niskoprężnego, zamiast dotychczasowego — średnioprężnego. Prace nad realizacją są zaawansowane i przy dobrych układach wymiana instalacji skończy się być może już w tym roku.

Oprócz tego zmodyfikowany zostanie system, tzw. reduktorów. O ile dotąd znajdowały się w blokach, o tyle teraz umieszczane będą przed budynkami i jeśli nawet na planie zabraknie jakiejś rury i zahaczy o nią koparka, rura pęknie, jak to zwykle bywa, tuż przy reduktorze, ale teraz już przed blokiem i w razie zaprószenia ognia ogrzeje się tylko... atmosfera. Mieszkańcy zaś nie będą mieli okazji włamywać się do komór reduktorowych lub gromadzić tam... kanistrów z benzyną, co nie należy do rzadkości. Tak więc ewentualne niebezpieczeństwo zostanie zredukowane do minimum.

Żałować tylko można, że sprawdza się przysłowie „mądry Polak po szkodzie". Operacja kosztowała dwa lata temu „tylko" 100 mln zł, ceny jak wiadomo rosną. A przecież można było od razu budować tak, by później nie przerabiać. Tak, ale gaz średnioprężny króluje w instalacjach na całym świecie, my też chcieliśmy iść z duchem postępu, ale cóż, nie wyszło. Nie wzięliśmy pod uwagę faktu, że na całym świecie robi się instalacje odrobinę lepszej jakości...

WODA

To nie koniec rozlicznych utrapień mieszkańców tego rejonu. Jedną z bolączek jest przemiękanie piwnic. Proces ten związany jest z obecnością wód gruntowych i podziemnych, a jedyną radą na to zjawisko jest odwadnianie terenu przez okopywanie budynków. Teoretycznie nic prostszego, ale praktyka temu przeczy. Nie darmo mówi się, że przysłowia są mądrością narodu, tym razem tempo okopywania bloków hamuje przysłowie: „kto raz się sparzy, ten na zimne dmucha". W obawie przed rurami z gazem, których mogło by znów zabraknąć na planach, bloki okopuje się... szpadlem. Też metoda. Ale po pierwsze: robota trwa wielokrotnie dłużej niż wtedy, gdyby można było posługiwać się koparką, a po drugie: brakuje kopaczy, czyli mówiąc bardziej naukowo „siły roboczej".

CIEPŁO

Mówiąc o Retkini nie sposób pominąć problemu ogrzewania. Pomijając niekorzystny bilans energetyczny i chroniczne niedogrzewanie niektórych bloków, prawie wszyscy mieszkańcy odczuli na własnej skórze, ile grozy zawierają dwa słowa: „grzejnik panelowy". Tutaj, podobnie jak to miało miejsce z instalacją gazową, zrobiono ukłon w stronę nowoczesności. Świat ogrzewają panele, więc czemu i u nas nie poeksperymentować? A nuż się uda... Niestety, nie udało się. Trwa teraz zakrojona na szeroką skalę wymiana grzejników panelowych na niezbyt postępowe, ale sprawdzone, poczciwe kaloryfery żeliwne. Nie dorośliśmy jeszcze do nowoczesnych technologii. Wydawało się wszystkim, że wystarczy założyć grzejniki panelowe, dostarczyć ciepłej — w miarę skromnych możliwości — wody i jakoś to będzie.

Niestety, okazało się, że właśnie jakość dostarczanej wody nie odpowiada nowoczesnym panelom. Gorąca woda z niezbędnymi — a także zbędnymi — domieszkami zamienia delikatne grzejniki panelowe na sitka. Nieodpowiednie ciśnienie dopełnia dzieła zniszczenia. W myśl zasady „mądry Polak po szkodzie" w całej Retkini wymienia się panele na grzejniki żeliwne. Operacja ma według planów zakończyć się w 1987 roku, ale śmiem w to powątpiewać. Na dowód przytoczę jedną tylko sprawę.

Otóż pewna mieszkanka Retkini od października 1985 r. do połowy lutego 1986 r. bezskutecznie walczyła z RSM „Polesie" o wymianę grzejnika panelowego, który uległ zniszczeniu, na żeliwny. Odsyłano ją od Annasza do Kajfasza, wyznaczając coraz to nowe terminy. Dopiero po ukazaniu się notatki w prasie stał się cud i sprawę załatwiono niemal „od ręki". A nie jest to chyba sytuacja odosobniona, gdyż interweniowałem w wielu podobnych wypadkach.

Na nic jednak zdadzą się i najlepsze kaloryfery ze stuletnią choćby gwarancją, jeśli mieszkania nadal są niedogrzane, gdyż ciepło ucieka szparami lub przenika przez mury, ogrzewając atmosferę. A więc kolejny problem: ocieplanie budynków. Jeśli nie pomyślało się o tym przed kilku laty (a nie myśli i teraz, gdyż nowo oddawane budynki są od początku nie ocieplane!), trzeba to robić później. Co roku ociepla się więc kilka bloków, bo takie są skromne możliwości. Brakuje przede wszystkim materiałów izolacyjnych.

I tu dla mieszkańców Retkini kilka słów pocieszenia: jeśli w ciągu roku ociepla się kilka budynków (dla równego rachunku załóżmy, że aż dziesięć), zaś bloków na Retkini jest 400, to już w 2026 roku wszyscy będą mieszkać w ocieplonych domach! Ale żarty na bok. Okazuje się, że trzeba pomyśleć o innym rozwiązaniu, bardziej perspektywicznym.

Na biurku naczelnika dzielnicy Polesie spoczywa teczka z planami budowy elektrowni szczytowej, która zaopatrywałaby całą zachodnią część miasta w energię i ciepło. Na razie będzie to elektrownia o mocy 350 MW, choć mówi się ostrożnie, że to tylko na dobry początek, później być może moc docelowa zwiększy się wielokrotnie. Aby uspokoić mieszkańców Retkini, dodam, że nie mają oni podstawy do obaw o czyste jak dotąd powietrze. Otóż obiekt zlokalizowany będzie w rejonie Konstantynowa. Przy dominujących kierunkach wiatrów strumień pyłów przepływać będzie między Retkinią, a Pabianicami. A jeśli wiatr się zmieni? To także nie szkodzi, kominy będą bowiem bardzo wysokie i opad zanieczyszczeń następował będzie poza granicami Łodzi. Na razie jednak nie wiadomo, kiedy rozpocznie się budowa tego obiektu. Prawdopodobnie w latach dziewięćdziesiątych.

CZEGO NIE MA NA RETKINI?

Odwiedzając czasami Retkinię, mam wrażenie, że ktoś, kto nie mieszka tu na stałe, miałby wielkie kłopoty z zaopatrzeniem się w artykuły tak spożywcze, jak i przemysłowe, a z uszkodzonym telewizorem czy odkurzaczem musiałby jechać aż do centrum. Retkinia, jak wszystkie nowo budowane dzielnice, nie ma charakteru typowo miejskiego. Brak tu bowiem pawilonów handlowych i usługowych. Wystawy sklepowe są nie tylko przyczyną ruchu w mieście, gdzie każdy zanim dokona zakupów, chciałby najpierw pooglądać to i owo, wystawy, szczególnie wieczorem, są wspaniałą dekoracją każdej ulicy, podobnie zresztą jak i barwne neony. Tymczasem specjalnością Retkini są sklepy i punkty usługowe mieszczące się na parterach bloków, także w normalnych mieszkaniach. Abstrahując od tego, że placówki te są bardzo skromne, jeśli chodzi o wystrój wnętrza i ewentualnych wystaw, trzeba dodać, że często zdarza się, iż już mieszkańcy sąsiednich bloków nie wiedzą o istnieniu tak zakamuflowanego sklepu. A przecież nie jest aż tak źle, na tysiąc mieszkańców przypada tu bowiem 8 placówek usługowych, podczas gdy na całym Polesiu — 12. Ale handel i usługi na Retkini mają swą odrębną specyfikę.

Oprócz tego, iż większość placówek gnieździ się po mieszkaniach, dominuje tu niepodzielnie sektor prywatny. I tak, jeśli chodzi o usługi, znajduje się tu 148 zakładów branży budowlanej (w tym 1 uspołeczniony), 21 branży RTv (2 uspołecznione), 22 branży krawieckiej całkowicie opanowane przez rzemiosło, 7 branży szewskiej (2 uspołecznione) itd., itp. Sytuację taką tłumaczy fakt, iż rzemieślnikowi łatwiej chyba przeznaczyć pomieszczenie mieszkalne na potrzeby minibiura przyjmowania zgłoszeń, bo przecież w wielu wypadkach same usługi można wykonywać w domu klienta.

ZAPLANOWANO, ALE NIE ZROBIONO

O tym, że poprawia się handel i rozbudowuje sieć sklepów świadczyć może choćby to, że na zebraniach samorządów mieszkańców z władzami dzielnicy nie narzeka się już na brak placówek tego typu. 96 sklepów spożywczych (w tym 55 uspołecznionych) i 64 z artykułami przemysłowymi (44 uspołecznione) poprawiło sytuację, i czasy, gdy dzielne panie woziły codziennie tony zakupów do swych mieszkań na Retkini należą już do przeszłości.

Kłopot sprawia tylko gastronomia. Pięć barów (w tym trzy prywatne) i kawiarnia to ciągle za mało. Nie ma zresztą nawet restauracji. Ale na razie nie przewiduje się istotnych zmian. Są potrzeby pilniejsze. Zachodzi jednak pytanie: czy nie warto było pomyśleć na samym początku o gęstej sieci pawilonów handlowo-usługowych budowanych równolegle z blokami?

Okazało się, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, że na desce kreślarskiej projektanta Retkini, inż. Krygierowej znalazło się wszystko, co potrzebne: pawilony, budynki towarzyszące, place zabaw i zieleńce, ba, nawet kręgielnia! Ale życie zweryfikowało plany. Pod olbrzymią presją społeczną zdecydowano, że będą budowane tylko bloki mieszkalne, a dopiero potem reszta. Inna sprawa, że ci sami ludzie, którzy najpierw krzyczeli, że wystarczą im same mieszkania, po pewnym czasie zmieniają zdanie i krzyczą jeszcze głośniej, iż owszem, są już bloki, ale gdzie sklepy, domy kultury, kawiarnie, poczty?! Dodać warto, że z racjonalnego, a także architektonicznego punktu widzenia budowanie samych tylko bloków jest nieprawidłowością. Dzięki temu nowe dzielnice wyglądają właśnie tak jak Retkinia: szaro i nijako. W Krakowie na Błoniach znajduje się zresztą obelisk z napisem: „Tu spoczywa architektura pogrzebana przez wielką płytę". Myślę, że podobny grobowiec należałoby zafundować także Retkini. Ale na szczęście wielka płyta już się kończy. Oby...

Wracając jednak do kwestii budownictwa towarzyszącego, można zadać pytanie: dlaczego nawet teraz tak mało stawia się pawilonów handlowo-usługowych? Odpowiedź daje reforma gospodarcza. Państwo przestało trzymać sakiewką, więc budową pawilonów powinna zająć się PSS „Społem". Łatwo mówić...! PSS oczywiście buduje obiekty handlowe, ale w centrum, w myśl zasady: „największą łodzian troską — zmieścić wszystko na Piotrkowską". Trudno się dziwić, wszyscy najchętniej robią zakupy właśnie w centrum, PSS boi się — choć trochę przesadnie — o zyski, które na Retkini nie byłyby tak imponujące. Dochodzi jednak do tego, że naczelnik dzielnicy Polesie dosłownie zmusza „Społem", by stawiano na Retkini choćby skromne budki.

Komunikacja między osiedlem a resztą miasta jest taka, jaka jest i inna nie będzie. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zakończą się prace nad budową nowoczesnego węzła komunikacyjnego w rejonie Dworca Kaliskiego. Zresztą wśród fachowców mówi się, że komunikacja na Retkini jest nie gorsza niż w innych rejonach miasta. Nad dziurawymi cokolwiek jezdniami rozwodzić się nie warto. Znam miejsca w Łodzi, które kierowcy przeklinają jeszcze dosadniej.

CO ROBIĆ PO PRACY?

Kultura to osobny problem. Z jednej strony krzyczy się, że jest jej zbyt mało, a z drugiej — okazuje się, że np. jedyne kino „Polesie" przy ul. Bratysławskiej ogłosiło upadłość z powodu braku widowni i w połowie działa jako kino, a w drugiej połowie jako sala wykładowa Akademii Medycznej. Mieszkańcy ciągle jednak domagają się budowy nowych kin.

Niemniej jednak z kulturą jest bardzo źle, jak stwierdził naczelnik dzielnicy Polesie, mgr **Henryk Bzliński**. Na całym osiedlu działają tylko 3 biblioteki: RBP 7 przy ul. Dzierżyńskiego, gospodarująca na piętrze jednego z bloków, o powierzchni 116 m kw. (zarejestrowano 2.073 czytelników, 50 tys. wypożyczeń rocznie), RBP przy ul. Tomaszewicza, zajmująca parter, o powierzchni 215 m kw. (2.700 czytelników, 54 tys. wypożyczeń) i biblioteka dla dzieci w trzech pokojach z kuchnią (a jakże!) o powierzchni 52 m kw. (1.600 czytelników, 42 tys. wypożyczeń). Wynika stąd, że spośród 70 tys. mieszkańców tego obszaru książki czyta zaledwie 5,4 tys.

Trudno powiedzieć, czy spowodowane jest to niechęcią do słowa pisanego, czy też trudnością w... trafieniu do biblioteki. Tymczasem według normy 1 biblioteka powinna przypadać na około 8 tys. mieszkańców. Również miłośnicy domów kultury nie mają łatwego życia. Na Retkini działa bowiem tylko Młodzieżowy Dom Kultury i choć jest to obiekt „poczwórny", nie zmienia to na lepsze jego sytuacji.

MDK jest poczwórny dlatego, że rozproszony jest w czterech punktach osiedla: przy ul. Babickiego (lokal o powierzchni 150 m kw.), przy ul. Koczaskiego (125 m kw.), przy ul. Marusarzówny (150 m kw.) i wreszcie przy ul. Przelajowej (125 m kw.). I pomyśleć, że MDK działający w takich warunkach ma znaczące sukcesy...!

Harcerski Zespół Pieśni i Tańca „Stonoga" często można znaleźć wśród laureatów różnych konkursów i festiwali (m.in. Złota Jodła w Kielcach, festiwale w Koninie i Siedlcach). Również młodzi plastycy zasługują na pochwałę. Jedna z prac zakwalifikowana została na międzynarodowy konkurs „Shankhar 85". Ale nie wszystkie dzieci mają ochotę chodzić na zajęcia do MDK, a gdyby nawet, to i tak nie starczy miejsca dla wszystkich chętnych. Co więc mają zrobić ze sobą dzieciaki, które mieszkają na Retkini, chodzą do szkół na zmiany, przeważnie po południu, a rano siedzą w domu, podczas gdy rodzice wychodzą do pracy? Odpowiedź jest prosta, i obiecuję, że dam ją już niedługo, póki co jednak, chciałbym dodać, że w ramach kultury ludzi dorosłych mamy wspomniane już, deficytowe kino „Polesie" i na tym wyliczankę dóbr kulturalnych można już zakończyć. A że często łączy się rzeczowniki „kultura" i „oświata" porozmawiajmy teraz o oświacie.

BYĆ NAUCZYCIELEM NA RETKINI

Do niedawna opinię publiczną bulwersowały lekcje odbywające się w lokalu kawiarni „Wrzos". Na szczęście jednak sytuację poprawiło oddanie do użytku nowej szkoły, choć poprawa jest oczywiście relatywna i oznacza, że dzieci nie muszą się uczyć w kawiarniach, choć warunki panujące w szkołach nie są najlepsze. W siedmiu szkołach podstawowych uczy się na dwie i pół zmiany 8,5 tysiąca uczniów.

od centrum

Być może już niedługo tłok i ścisk na szkolnych korytarzach i w ławkach rozładują dwie budowane obecnie potężne szkoły mające pomieścić po 34 oddziały każda.

Ale znów przychodzi chwila refleksji. Gdy swego czasu chodziłem do podstawówki, moja klasa liczyła 25 uczniów, a wtedy była to jedna z liczniejszych klas. Mimo to pamiętam doskonale swych nauczycieli, oni mnie również, gdy spotykam któregoś z dawnych „belfrów", kłaniamy się sobie, doskonale wiedząc „who is who". Tymczasem retkińskie szkoły-molochy być może są ogromnymi kombinatami wiedzy, ale uczniowie i nauczyciele są anonimowi. Jeśli w szkole uczy ponad stu nauczycieli, to nie znają się oni nawet między sobą! Osobny problem to nauczanie w potężnych, kilkudziesięcioosobowych klasach. Jak opanować temperamenty niesfornych czasem dzieciaków i jak wreszcie egzekwować i przekazywać im wiedzę? Przyznam, że nie chciałbym być nauczycielem na Retkini.

Obraz oświaty uzupełnia jeszcze brak szkół ponadpodstawowych. Kiedyś brakowało przedszkoli, teraz już ich nie brakuje. Brakuje za to szkół. Nietrudno przewidzieć, że niedługo szkoły będą prawie puste, za to pojawi się kłopot ze szkołami średnimi, potem przez jakiś czas nie będzie kłopotów, aż wreszcie znów da o sobie znać brak przedszkoli i pojawi się problem ludzi starszych.

Żadna filozofia, po prostu teoria wyżów demograficznych typowych np. dla dzielnic zasiedlanych przez jakąś dominującą pod względem wiekowym grupę ludności, a w przypadku Retkini byli to głównie ludzie młodzi bądź z małymi dziećmi, bądź dopiero planujący powiększenie rodziny. Warto też wiedzieć, że po każdym wyżu demograficznym, choćby tylko w skali jednego osiedla, następują tzw. echa, kiedy to nowe pokolenie „dzieci wyżu" zakłada własne rodziny. Póki co jednak, brakuje szkół.

MRÓWKI

Retkinię nękają dwie plagi. Pierwszą z nich są mali mieszkańcy wielkich bloków. Nie wiem, kto wymyślił dotyczącą potężnych budynków nazwę „mrówkowce", w każdym razie określenie jest niezwykle trafne. Po pierwsze — dlatego, że setki rodzin gnieździ się w takim molochu tworząc jakby ludzkie mrowisko, po drugie zaś dlatego, że oprócz mrowia ludzi są tam i mrowiska w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Tak więc na Retkini mrówek prusaków, karaluchów, myszy i szczurów nie brakuje. Nikt nie pokusił się o przeprowadzenie spisu tych miłych skądinąd stworzonek, ale wydaje mi się, że jest ich o wiele, wiele więcej niż ludzi. Mrówki dokonują cudów ekwilibrystyki i wędrują nawet rurami kanalizacyjnymi do mieszkań. Pozostałe owady radzą sobie niezgorzej. Co do myszy — jeśli ktoś powie, że mysz przeciśnie się przez dziurkę od klucza, po tym, co widziałem, gotów jestem uwierzyć.

Aby zapobiec rozprzestrzenianiu się myszy i robactwa, polecono mieszkańcom zamurować miejsca, w których różne rury i przewody dostają się do mieszkań. Dodać warto, że poprawki po partactwie budowlanych polecono wykonać lokatorom na koszt własny. Mimo to jednak co jakiś czas po mieszkaniach chodzą ekipy panów tępiących robactwo i gryzonie, które ciągle przenikają do kuchni i pokojów z wylęgarni w zsypach na śmieci.

DZIECI SIĘ NUDZĄ

Drugą plagą Retkini są również mali mieszkańcy wielkich bloków. Dzieci. Zadałem przedtem pytanie: co mają zrobić ze sobą mali mieszkańcy osiedla, którzy z konieczności skazani są na nudę? Anb, przed wieczorną dawką szkolnej wiedzy i po wyjściu rodziców do pracy, czas dłuży się niemiłosiernie. Bibliotek jak na lekarstwo Młodzieżowy Dom Kultury i tak trzeszczy w szwach, a tu nuda. Niektórzy wychodzą więc na ulicę, jedni sami, inni w kilku czy kilkunastoosobowych grupkach i przestają się nudzić. Tu obrobi się komórkę, tam znowu splądruje zaparkowany samochód, w ostateczności zawsze można zdemolować uliczny automat czy choćby wybić szybę. Bardziej odważni organizują wieczorami wizyty w pozamykanych oczywiście sklepach i kioskach „Ruchu".

Przestępczość na Retkini stanowi zresztą poważny, jeśli nie najpoważniejszy problem społeczny. W ogromnej liczbie przestępstw, popełnianych na terenie tego osiedla, dominują czyny kryminalne; rozboje, pobicia i zgwałcenia są sporadyczne i stanowią poniżej 5 procent ogółu przestępstw. Stąd też można wysnuć optymistyczny wniosek, że ulice Retkini są raczej bezpieczne. Mniej bezpieczne jest jednak mienie.

Dużym problemem jest także bimbrownictwo i spora liczba melin, określanych fachowo jako „punkty nielegalnej sprzedaży napojów alkoholowych". Wspomnieć warto o prostytucji, uprawianej głównie w tzw. „zmotoryzowanych domach schadzek", czyli w samochodach zaparkowanych w rejonie kąpieliska „Fala" i w okolicach parku na Zdrowiu.

Można oczywiście rozwodzić się na ten temat dalej, podając liczby, zastanawiać się, dlaczego tak jest itp., ale chciałbym jednak zająć się innym, o wiele bardziej niepokojącym zjawiskiem: przestępczością wśród dzieci i młodzieży. Warto bowiem wiedzieć, że aż około

25 procent ogółu przestępstw popełniają na Retkini nieletni! W dodatku są to głównie przestępstwa o charakterze kryminalnym.

Ponieważ retkińscy nieletni z reguły uczęszczają do szkół, przeto postanowiłem wybrać się z wizytą do szkoły podstawowej, by tam, z pomocą doświadczonych pedagogów, ustalić skalę problemu i zastanowić się nad przyczynami przestępczości wśród dzieci i młodzieży.

Udałem się więc do szkoły nr 19 przy ul. Balonowej 1.

— Tak, przestępczość wśród dzieci i młodzieży to poważny problem — przyznaje dyrektor szkoły, **Elwira Fisiak.** — Niestety, wśród nieletnich, którzy mieli już kolizję z prawem, są także i nasi uczniowie. Najwięcej jest chyba kradzieży, akty wandalizmu są jakby na drugim planie. Czyny takie obserwujemy zarówno na terenie samej szkoły, jak i poza nią. Często przychodzą lokatorzy sąsiednich domów, skarżąc się na naszą młodzież. Z mojego rozeznania, najgorsze pod tym względem są klasy piąte i szóste, a dopiero potem ósme. Oczywiście szkoła stara się rozciągnąć wszechstronną opiekę nad wychowankami. Działa świetlica, istnieją liczne koła sportowe i koła zainteresowań w ramach przedmiotów szkolnych, organizujemy zajęcia rekreacyjne w wolne soboty, przygotowujemy rajdy i wycieczki. Mimo to, że w szkole jest aż 2 tysiące uczniów i 66 oddziałów, jesteśmy w stanie zabezpieczyć organizację wolnego czasu dla wszystkich chętnych, ale co z tego, jeśli starsi uczniowie nie chcą uczestniczyć w zajęciach, uciekają ze świetlicy i wolą włóczyć się po ulicach. Zdajemy sobie jednak sprawę, że młodzież z tych czy innych względów po lekcjach ma już dość szkolnych korytarzy lub boiska. Wystąpiliśmy więc do Rady Osiedla i do spółdzielni mieszkaniowej, by zechcieli przydzielić młodzieży choćby kilka pomieszczeń. Niechby to były choćby strychy czy komórki. Ostatecznie młodzież ma niewielkie wymagania: wystarczyłoby pomieszczenie, gdzie można napić się herbaty i posłuchać muzyki, takie miejsce spotkań, gdzie można byłoby porozmawiać, zamiast wędrować po ulicach, bo przecież na Retkini nie zrobiono prawie nic, by uatrakcyjnić w jakikolwiek sposób życie małych mieszkańców. Jak nietrudno się domyślić, nie znalazł się ani jeden lokal. Ponoć mieszkańcy nie wyrazili zgody, by w ich bloku gromadziły się dzieciaki, podobno bali się.

— Czyżby więc doszło już do tego, że rodzice boją się własnych dzieci?!

— Trudno się dziwić — wyjaśnia pedagog szkolny, **Elżbieta Sowińska.** — Retkińskie dzieci na dobrą sprawę wychowują się same, a że nie zawsze młodzież umie ocenić, co jest dobre, a co złe, przeto widać tego efekty. Prawie dwie trzecie naszych uczniów pochodzi z rozbitych rodzin! Pracując swego czasu jako kurator dowiedziałam się, że właśnie na Retkini jest najwięcej rozwodów. W takich rozbitych rodzinach dziecko pozbawione jest na dobrą sprawę opieki, nierzadko trudną sytuację potęgują kłopoty lokalowe, niechętni sobie dawni małżonkowie wszczynają awantury, czasem alkohol leje się strumieniami. I właśnie dzieci z takich rodzin potencjalnie i w rzeczywistości są najbardziej zagrożone, właśnie te dzieci sprawiają najwięcej kłopotów wychowawczych. I to chyba jest przyczyną numer jeden problemów z retkińską młodzieżą. Ale nie lepiej jest z opieką nad dziećmi także w innych rodzinach, także tych normalnych. Nawet w dobrych domach na tzw. poziomie, pozornie wszystko jest w jak najlepszym porządku, a jednak — gdy się sięgnie głębiej — da się zauważyć, że czasem są to tylko pozory wystawione na pokaz. Rodzice mało interesują się swymi pociechami, nie znają ich marzeń i zainteresowań, rano rodzice idą do pracy, przychodzą wieczorem, jedzą z dziećmi wspólną kolację, potem oglądają telewizję i... zaczyna się następny dzień. To są skutki bezustannej pogoni za pieniądzem. Tak więc mało rodzin hołduje zasadzie porozumienia pokoleń. Oczywiście generalizuję, ale tak niestety jest w większości wypadków. Krótko mówiąc, efektem tego wszystkiego jest brak współpracy rodziców ze szkołą. Czasem nawet przychodzi ojciec i wie na przykład, że dziecko chodzi do czwartej klasy, ale do której, „A" czy „F" — już nie wie. Wychowawcy oczywiście też nie zna. Stąd też można wysnuć wniosek, że młodzież chodzi własnymi drogami, a że nie są to zawsze drogi najlepsze, to już

inna sprawa. Jako szkoła, prowadzimy tzw. karty zagrożonych uczniów, organizujemy spotkania i rozmowy profilaktyczne z udziałem prawników i kuratorów sądowych. Zwracamy baczną uwagę na uczniów, którzy kiedyś już dopuścili się przestępstwa, ale staramy się także pomóc nie tylko im, ale także ich rodzinom. Wszystko jednak rozbija się czasem o typową niemoc w rozwiązywaniu sytuacji alarmowych, znajdują się setki przeszkód, z reguły tzw obiektywnych. Wśród organizacji zobowiązanych do niesienia pomocy rodzinom i dzieciom, nierzadko brak jakiejkolwiek współpracy. Jedna instytucja nie wie o działaniach drugiej. Czasem to właśnie nasza szkoła jest łącznikiem, to my zajmujemy się pisaniem wniosków, apeli, nadajemy bieg wielu sprawom. Pedagog musi biegać osobno do sądu, osobno do opiekuna społecznego, na milicję. Szkoła walczy o przydział lokali dla rodzin po rozwodach, gdzie dzieci nie mają należytej opieki i gdzie brak atmosfery rodzinnej, szkoła walczy o umieszczanie dzieci zagrożonych w zakładach wychowawczych, walczy też o pozbawienie praw rodzicielskich zdegenerowanych mam i nałogowo upijających się tatusiów-awanturników. Pytanie tylko: czy musimy walczyć o wszystko sami? Owszem, współpraca z sądem układa się nam dobrze, ale jest tajemnicą poliszynela, że wyrok wyrokiem, a życie życiem. Tak więc nieraz musimy bawić się także we władze wykonawcze... Obecnie około setki dzieciaków z naszej szkoły dopuściło się czynów przestępczych. Jednak niewykluczone, że tak naprawdę może być ich więcej, nie wszystkie wypadki możemy wykryć i nie zawsze sygnały o dokonaniu przestępstwa docierają do nas. Z kolei sporo przypadków sygnalizowanych nie zawsze się potwierdza, a przecież oprócz nauczania, wychowywania, wyręczania instytucji zobowiązanych do niesienia pomocy dzieciom i ich rodzinom, szkołą nie zawsze ma czas na prowadzenie śledztwa. Czasem wykrywamy różne ciemne sprawki naszych podopiecznych, przekazujemy je dalej, ale dobrze byłoby, żeby instytucje powołane do odpowiednich dalszych działań też działały... Wracając jednak do przestępczości na terenie szkoły: opanowujemy to groźne zjawisko. Staramy się walczyć z nim wszelkimi dostępnymi środkami. Ale i tak zdarzają się jeszcze kradzieże w szatniach i akty wandalizmu. Na szczęście w budynku szkolnym nie szerzy się plaga narkomanii. Mówiąc trochę żartobliwie, nasza rada pedagogiczna odbyła nawet specjalne „antynarkotyczne" przeszkolenie. Było kilka alarmów, ale przeczuleni nauczyciele podnosili fałszywy alarm. Wiem jednak, że młodzież retkińska narkotyzuje się w hydroforniach blokowych. Z reguły są to tzw. wąchacze. Sporządziłam nawet raport, gdzie podane zostały numerów bloków okupowanych przez wąchaczy. Czekam na jakiś odzew. Pyta pan o jakieś „ciekawostki przestępcze" dotyczące naszych uczniów? Mamy jedną bardzo „pomysłową" uczennicę, która wspólnie z koleżanką zbierała po domach pieniążki na PCK. A że pieniążków nie przybywało w oczekiwanym tempie, dziewczyny dopuszczały się kradzieży. Wkrótce jednak znów wróciły do mniej ryzykownego przedsięwzięcia i zaopatrzone, jak na fachowców przystało, w zeszyt z pieczątkami szkoły (ale nie naszej) jeździły po Polsce i dalej zbierały datki. Złapano je w Lublinie. Potem, dla odmiany, dziewczyna kradła nam kurtki z szkolnej szatni. Warto wiedzieć, że rodzice dziewczynki to nałogowi alkoholicy. Dopiero w wyniku naszych starań przy udziale innych instytucji, rodzice w obawie przed groźbą utraty praw rodzicielskich obiecali poprawę. Tymczasem dziewczyna jest miła, inteligentna. Roztoczyliśmy nad nią opiekę, pomaga w szkolnej bibliotece i naprawdę nie sprawia kłopotów. To dziecko jest do uratowania i dołożymy do tego wszelkich starań. Inny przypadek. Rozbita rodzina, dwóch chłopców pod opieką ojca, który jednak znika na całe tygodnie. W zrujnowanym mieszkaniu jest punkt zborny elementu przestępczego i gniazdo narkomanii, ale nie tej „butaprenowej" tylko tej prawdziwej. Dwaj chłopcy przeszli już chyba wszystkie stadia wykolejenia. Należy ich bezwzględnie odizolować od środowiska. A więc znów zabieramy się do roboty...

CO MOŻE NAUCZYCIEL?

Aby odetchnąć nieco od nawału problemów, zmieniłem temat rozmowy. Zapytałem o warunki pracy w szkole. Okazało się, że nie dane mi było odetchnąć...

Dyrektor szkoły, **Elwira Fisiak,** stwierdziła, że nie powinno być na Retkini ani gdziekolwiek indziej szkół-gigantów. Że nauczyciel w takich szkołach nie zawsze może sobie poradzić. Potwierdziła też moje sądy dotyczące szkół-molochów, którymi podzieliłem się, omawiając problemy oświaty na Retkini. Za to pani pedagog **Elżbieta Sowińska** dodała:

— Nie znam przepisów, ale chyba w dużych szkołach można na wniosek rady pedagogicznej i dyrekcji załatwić etat dla pedagoga szkolnego. Oczywiście jeden etat. Tymczasem w szkole, gdzie jest 2 tys. uczniów jeden pedagog na pewno nie wystarcza. Człowiek taki działać musi z konieczności na zasadzie pogotowia ratunkowego. Pytam: jak w tej masie dzieciaków można otoczyć wszystkich szczególną troską, jeśli nawet sytuacja tego wymaga? Jak zajmować się indywidualnie każdym przypadkiem i jak pomóc każdemu w takiej mierze, jak na to zasługuje? Oczywiście staram się jak mogę, ale z drugiej strony mam na uwadze fakt, że jeśli zbyt długo będę koncentrować się na sprawach jednego ucznia, to ucierpi na tym kilku czy kilkudziesięciu innych, którzy tak samo wymagają pomocy. A żeby nie myślał pan, że jedynym problemem do rozwiązania jest przestępczość, powiem, że bardzo dużo dzieci z naszej szkoły jest pod opieką Poradni Zdrowia Psychicznego. Ten tłok, ten hałas, ta atmosfera wyzwalają w dzieciach głębokie i zaawansowane tzw. nerwice szkolne. Lekarz mówi: dobrze byłoby przenieść dziecko do mniejszej szkoły i sprawić, by chodziło na lekcje o godzinie ósmej... Następna sprawa: 59 naszych uczniów to dzieci specjalnej troski z różnymi defektami, z urazem mózgu, z epilepsją. Inteligencję mają w normie, więc powinny chodzić do normalnej szkoły. Tylko czy tutaj możemy zająć się nimi tak, jak byśmy tego chcieli? A jednak musimy. Dla przykładu do naszej szkoły chodził chłopiec z tzw. charakteropatią, nieznośny, agresywny. Wreszcie lekarze wysłali go do sanatorium na kurację. W sanatorium jednak nie mogli dać sobie z nim rady i... odesłali go znów do naszej szkoły.

Na zakończenie rozmowy panie zapewniły, że czasem bywa i gorzej, że ciągle szukają nowych sił i środków i że sukcesy, jakimi może poszczycić się szkoła (choćby np. duża ilość finalistów konkursów przedmiotowych i sporo osiągnięć sportowych) podtrzymują nieraz na duchu.

Wizyta w SP nr 6 przy ul. Kusocińskiego stała pod znakiem rozmów na podobne tematy, warto jednak wspomnieć o innym, chyba nie mniej ważnym problemie: o ile szkoła nie prowadzi statystyki i nie zbiera informacji o zagrożeniach dzieci nerwicami, o tyle wiadomo, że w szkole tej jest aż 250 dzieci dyspanseryjnych, czyli m.in. z różnymi wadami budowy. Warto też wiedzieć, że we wspomnianej szkole nie ma w ogóle sali gimnastycznej i wszyscy uczniowie ćwiczą na szkolnych korytarzach lub, jeśli pogoda pozwala, na boisku. Salę zaprojektowano zresztą razem ze szkołą, ale trudności obiektywne (skąd my to znamy...) uniemożliwiły realizację. Jak twierdzi dyrektor szkoły Bożena Pacak, po interwencjach u prezydenta, w KŁ PZPR i w Radzie Narodowej, aby nie przepadła ważność dokumentacji, do końca 1984 r. zrobiono wykop pod salę gimnastyczną. Tymczasem jednak zmieniły się normy budowlane, trzeba było przeliczać od nowa, a robota — jak wiadomo — nie zając. W dniu dzisiejszym stan budowy określony jest jako zerowy: wylano tylko beton, stanowiący fundament. Trudno się zresztą dziwić, skoro po placu kręci się zaledwie kilku robotników, o których trudno powiedzieć, że robota pali im się w rękach. I pomyśleć, że swego czasu winę za ten stan rzeczy chciano zrzucić na... dyrektorkę szkoły!

NIE OPUSZCZAJMY RĄK

Mimo nakreślonego w niezbyt jasnych barwach obrazu Retkini, chciałbym zakończyć nutką optymizmu. Otóż, jak twierdzi niezwykle zaangażowany w likwidowanie retkińskich problemów naczelnik Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie, **Henryk Baliński,** część kłopotów mieszkańców tego osiedla uda się już niedługo przezwyciężyć. Dobiega końca wymiana instalacji gazowej, niedługo przestanie się mówić o nieszczęsnych panelach (zresztą już na zebraniach naczelnika z przedstawicielami samorządów problem ten zaczyna schodzić z ust mieszkańców), skończy się budowa i zacznie stawianie pawilonów handlowo-usługowych, przywracając mieszkaniom zajętym przez sklepy normalne funkcje. Tak więc życie Retkini zacznie się toczyć normalnym torem, bez zgryzot, narzekań, bez awarii i tragedii. Mimo to jednak musi upłynąć trochę czasu, zanim osiedle to upodobni się do innych dzielnic i osiedli Łodzi.

JACEK GŁĘBSKI

P.S. Tak się złożyło, że główny nacisk w tej publikacji przesunął się na problemy dotyczące dzieci i młodzieży. Ale chyba słusznie, gdyż uszkodzony grzejnik panelowy można wymienić, sklepy można wybudować, można postawić 10 hoteli i 20 bibliotek, ale nie tak łatwo wpłynąć na zmianę psychiki człowieka, który za młodu cierpiał na nerwice szkolne, z nudów uczył się przestępczości itd. O ile zresztą łatwo wskazać instytucje winne różnych niedociągnięć budowlanych, o tyle trudno znaleźć konkretnego sprawcę faktu, że retkińskie dzieci są takie, jakie są. A że przysłowia — co lubię powtarzać — są mądrością narodu, przeto zacytuję jedno, które oby się nie sprawdziło: „czym skorupka za młodu..."

(J.G.)

Foto: Grzegorz Gałasiński

Czernobyl, 26 kwietnia

GODZINA 1.23 W NOCY

Tego dnia cztery reaktory Czernobylskiej Elektrowni Atomowej pracowały normalnie. Popołudniowa zmiana śpieszyła się do domów, zapadał wieczór cichy i wiosenny, choć wraz z zachodem słońca powietrze stało się chłodne i przejmujące. Opustoszały ulice, samochody przycupnęły przy chodnikach, ustał szelest liści i tylko lampy rzucały żółte kręgi nieruchomego światła na osamotnione jezdnie i trotuary. W Elektrowni Atomowej nocna zmiana czuwała kontrolując aparaty, czujniki i zegary. Cisza, spokój, rutynowe czynności, które nie wnoszą nic nowego. Dochodziła godzina 1 minut 23.

Wybuch wstrząsnął czwartym energoblokiem, płomień rozdarł czerń nocy. Podmuch uniósł w górę dach, rozerwał go na kawałki, które z trzaskiem runęły w dół.

Alarm!

Dwie minuty później sygnał poderwał straż pożarną. Pierwsze jej oddziały rzuciły się natychmiast do płonącego bloku, ale ogień szybko się rozprzestrzeniał i zaczął zagrażać blokowi trzeciemu. Już pojawiły się pojedyncze języki, które zaczęły lizać poszycie.

W sukurs miejscowej straży natychmiast popędziły oddziały z Kijowa i z całego obwodu. 30 zespołów niebawem walczyło o zlokalizowanie buzującego ognia. Przede wszystkim stłumiono go na bloku trzecim zabezpieczając jednocześnie blok przed ponownym przerzuceniem się płomieni.

Ale walka trwała nadal. W czwartym bloku ogień po strawieniu stropu, strzelił trzydziestometrowym słupem w czarne niebo. Rosła temperatura. Asfalt na drogach dojazdowych i wokół samego bloku uległ roztopieniu i buty strażaków grzęzły w czarnej, gorącej mazi. Sadze, swąd spalenizny i wysoka temperatura nie pozwalały swobodnie oddychać. Coraz to wylatywały w górę płonące kawałki drewna i konstrukcji metalowych i trzeba było uważać, by nie znaleźć się w zasięgu takiego odłamka.

Naoczny świadek, starszy mistrz elektrocentrum Nikołaj Grigoriewicz Poliszczuk, opowiada. *„Kiedy zobaczyłem, co się dzieje w czwartym energobloku, zapomniałem o niebezpieczeństwie. Po prostu pognałem na swój odcinek. Wszystkie kable były pod wodą. Należało więc zapewnić rezerwowy dopływ energii elektrycznej, uruchomić wyłączony transformator..."*

I Nikołaj Poliszczuk nie zważając na ogień, nie myśląc o promieniowaniu, ruchami wyuczonymi przez lata, wykonuje to, co w takiej chwili należało wykonać. Przerwa w dostawie prądu trwa więc krótko.

Tamte chwile Aleksander Skorupicz zapamięta na całe życie. Jego, starszego mistrza oddziału energetycznego Czernobylskiej Elektrowni Atomowej, poderwano bardzo wcześnie. Powiedziano krótko: Na czwartym awaria! Rzucił się zbierać kolegów: prawie wszyscy pracownicy elektrowni mieszkali w osiedlu Prypeć. Wkrótce byli na miejscu.

Skorupicz ma 34 lata. Zna elektrownię dokładnie przecież od 10 lat tu pracuje. Razem rośli. Początkowo był montażystą, potem robotnikiem remontowym na oddziale energetycznym.

Owego niespokojnego ranka obok niego pracowali jego przyjaciele: Piotr Kożanow i Giennadij Proszkin. Trzeba było błyskawicznie oceniać sytuację. A do strefy największego zagrożenia udała się niewielka grupka. Musiała wykonać najbardziej niebezpieczną pracę...

Dawali z siebie wszystko, a nawet jeszcze więcej.

Tej nocy nikt się nie oszczędzał. Ludzie pracowali bez wytchnienia. Zastępca kierownika hali energetycznej Aleksander Grigoriewicz Leliczenko, który doznał poważnych poparzeń, i którego usiłowano wsadzić do karetki, zgodził się jedynie na doraźną pomoc medyczną. Pracował całą noc i dopiero rano siłą odwieziono go do szpitala. Ilu takich było? Setki. Czy odczuwali strach? Nie, nikt o tym nie myślał. Natomiast wszyscy wiedzieli, że każda sekunda stanowi niewymierną wartość, że jest na wagę życia, że ich doświadczenie, fachowość i upór mogą zapobiec katastrofie na jeszcze większą skalę.

Przy naprawie uszkodzonego zabezpieczenia siłowni obok siebie pracowali ojciec Władimir Stiepanowicz Łyskin i jego syn Jewgienij, a nieco dalej pełniła dyżur żona Władimira a matka Jewgienija. Dziś, kiedy został zażegnany kryzys, cała trójka twierdzi, że jeśliby zaszła taka potrzeba, to oni gotowi iść na kolejną taką „wachtę" w Czernobylu. Bohaterstwo? Ani trochę. Zwyczajne obywatelskie i ludzkie poczucie obowiązku, chęć niesienia pomocy, świadomość odpowiedzialności za wykonywaną przez siebie, tu na czwartym energobloku, pracę.

Ofiarność przyniosła rezultaty: po paru godzinach sytuacja była na tyle opanowana, że można było przystąpić do likwidacji bezpośrednich skutków wybuchu i do planowych działań profilaktycznych.

Kiedy strażacy uporali się z ogniem, na teren awarii wkroczyły siły porządkowe oraz... lotnictwo. Milicja zablokowała wszystkie drogi dojazdowe do miasta i do elektrowni. Piloci natomiast wykonując setki lotów zrzucali na uszkodzony blok tysiące worków z piaskiem i innymi izolującymi materiałami. Przelatując z szybkością 140 km na godzinę śmigłowce „plombowały" krater. Był to trudny egzamin, gdyż trzeba było zejść na wysokość zaledwie 200 m i omijając sterczący komin trafić dokładnie w „cel". Każda niedokładność mogła okazać się tragiczna w skutkach. Na dole pracowali ludzie!

Jednocześnie ekipy ratownicze rozpoczęły pracę w dolnym odcinku czwartego energobloku. Tak więc od góry i od dołu blok otrzymywał warstwę ochronną z piasku, gliny, baru, dolomitu, ołowiu oraz zaprawy. Piloci obliczyli, że podczas swoich lotów zrzucili na ziejący ogniem krater około 5 tysięcy ton materiałów izolujących.

Eksperci nie od razu odpowiedzieli na pytanie, co było przyczyną wybuchu w czwartym energobloku. Zresztą dokładnej odpowiedzi nie ma jeszcze i dzisiaj. Według zebranych danych przypuszcza się, iż najprawdopodobniej przyczyną stała się eksplozja chemiczna w samym reaktorze. Bo i cóż innego mogło być? Zarówno rozwiązania projektowe i konstrukcyjne jak i prace montażowe odbywały się pod ścisłym nadzorem i odpowiadały normom radzieckim i międzynarodowym. A więc awaria — jak twierdzą eksperci — to splot nieprzewidzianych i wprost nieprawdopodobnych okoliczności, których nie sposób przewidzieć, a więc w porę im zapobiec. Na szczęście — jeśli w tej sytuacji można użyć tego słowa — w czasie, gdy nastąpił wybuch, dyspozycja reaktora wynosiła zaledwie 7 procent mocy (czyli mniej więcej 200 MW.) Reakcja łańcuchowa została jednak natychmiast powstrzymana.

Na skutek napromieniowania 204 osoby przewieziono do Moskwy, do klinik ministerstwa zdrowia ZSRR (personel z bloku czwartego oraz strażacy). Stopień napromieniowania ich jest różny — od 1 do 4. Najcięższemu, tj. czwartemu stopniowi napromieniowania uległo 18 osób i ich stan jest ciężki. Dwie osoby zginęły na miejscu. Ponad połowę emitowanych cząstek radioaktywnych stanowił jod 131, który jest nietrwały i szybko się rozpada.

EWAKUACJA

26 kwietnia milicja zablokowała wszystkie drogi dojazdowe, a nazajutrz, tj. 27 kwietnia na tych drogach z rana stało już 1.100 autobusów, czekając na wjazd do miasteczka. Tymczasem zaczęli przybywać pracownicy służby zdrowia. Wkrótce w rejonie zagrożenia przystąpiło do pracy ponad 1.800 osób w białych fartuchach (lekarze, pielęgniarki, laboranci, specjaliści od pomiarów radioaktywności). Do ich dyspozycji oddano 240 karetek, pogotowia. I od razu przystąpiono do badania chorych, pomiarów radioaktywności, kontroli gleby, wody i żywności.

O godzinie 14.00 po południu przed każdym domem zatrzymał się autobus i milicjanci wraz ze służbą medyczną przystąpili do ewakuacji ludności. Dla przypomnienia podaję, że w elektrowni czernobylskiej oraz w niedalekim miasteczku przebywało w sumie 25 tys. osób. Sprawnie przeprowadzona akcja trwała zaledwie dwie godziny. Autobusy odwiozły rodziny do odległych rejonów, gdzie miejscowa ludność przyjęła ich jak to się mówi chlebem i solą. Zadbano, by poszkodowani zostali zaopatrzeni w odzież, by w kołchozach i sowchozach, do których przyjechali nie zabrakło chleba, mleka, owoców i mięsa. Każda rodzina otrzymała także pomoc finansową. W sumie ewakuowano z Czernobyla i strefy zagrożonej 48 tysięcy osób.

Oto co piszą korespondenci „Sowietskoj Biełorusi", którzy odwiedzili gospodarstwa w Chojnikskim i Briaginskim rejonie: *„W ciągu półtorej doby dość ludności wielu wsi w rejonie Briaginskim znajdującym się poza trzydziestokilometrowym pasem Czernobylskiej Elektrowni Atomowej, podwoiła się. Po zakończeniu dnia roboczego ulice wsi Ugły i Tieklinow niezwykle się ożywiają. To wracają z pracy miejscowi oraz ci, których przyjęli tutejsi pod swój dach. Pracy bowiem w kołchozie im. Engelsa wystarczyło dla wszystkich. Ludzie pracują na fermach hodowlanych, w polu, w warsztatach. W domach do kolacji nakrywa się stoły dla rodzin, które dziś liczą 10—12 osób (..). W ekstremalnej sytuacji zaistniałej w tym rejonie, dały znać o sobie najlepsze cechy ludzi radzieckich: kolektywność, życzliwość, koleżeńskość, uczynność. Nieszczęście złączyło ludzi w jedną wielką rodzinę, gdzie po równo dzielone jest to, co jest akurat w domu.*

W mieszkaniu przewodniczącego kołchozu im. Engelsa Nikołaja Siergiejewicza Szapitko przebywa kilka rodzin z sowchozu „Posudowo". Marię Iwanowną Smoleniec i trzynaścioro jej dzieci przygarnęła emerytka Aksinja Fiodorowna Chodosok. W tych, a także w innych domach, w których zamieszkali pracownicy sowchozu „Posudowo" obserwowaliśmy spokój i życzliwość w stosunkach międzyludzkich (...). Zespół medyczny rozpoczął dokładne badania ludzi zamieszkujących przez pewien czas w trzydziestokilometrowej strefie Czernobylskiej Elektrowni Atomowej. Szybko przechodzi na dwuzmianowość szkolna stołówka we wsi Ugły. Brygady stolarskie konstruują ruchome prysznice. W gospodarstwach natomiast nieustannie czynne są łaźnie. A wszystko po to, by ludzie mogli sprostać wymogom higieny...".

Wieś Rozważen, jedna z 17 miejscowości iwankowskiego rejonu, która przyjęła ewakuowanych. Tu mieści się centrum kołchozu „Ukraina". To wielkie gospodarstwo. Jest w nim średnia szkoła, dom kultury, biblioteka, szpital. Aleksandra Andriejewna Dawidowa — emerytka, niegdyś pracownica żłobka — powiedziała korespondentowi „Izwiestij": *„— Gdy we wsi pojawiły się autobusy z ludźmi, my, ludzie w starszym wieku, zrozumieliśmy, że takiej ewakuacji dotąd nie było: ludzie jechali i jechali ! No, cóż, żyć trzeba... Każdy był gotów przyjąć kogoś do siebie. Ja wzięłam rodzinę Michaiła Woznogo. Rodzina spora: żona — Galina Wasiljewna i dwójka dzieci, chodzą do 4 i 8 klasy. Od razu ugościłam czym tylko mogłam. Ale wkrótce przywieziono artykuły spożywcze. Kiedy Wozni rozlokowali się, wtedy zapytali: Na jak długo nas przyjęliście? Odpowiedziałam: Na tak długo, jak to będzie potrzebne!..*

Kierowniczka laboratorium na fermie hodowlanej kołchozu Razważew Jewdokija Aleksandrowna Otroszenko przygarnęła żonę dyrektora elektrowni Walentynę Michajłowną Briuchanową, która natychmiast rozpoczęła pracę jako pomoc dojarki na tejże fermie. Natomiast nauczycielka miejscowej szkoły Galina Tomofiejewna Kuksienok wzięła do siebie dwie rodziny. Jedna rodzina to — urzędniczki Walentyny Aleksandrowny Popowej składająca się z 5 osób (a w tym syn z żoną i dziećmi). Żyją w zgodzie, wspólnie gotują, wspólnie zajmują się gospodarstwem. Syn Popowej Władimir mówi: *— Czujemy się jakbyśmy byli w gościach u własnej ciotki...*

Wydarzenia w Czernobylu mają swoje odbicie nie tylko w życiu okręgu, ale i samym starym Kijowie. Z ulic zniknęły — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — budki z lodami, pierożkami i sokami. Teraz są sprzedawane jedynie w pomieszczeniach zamkniętych. Nie tak dawno miasto doczekało się wreszcie wiosennego deszczu. Ludzie liczą, że zmyje on pył z liści. I nie tylko pył uliczny. A póki co, w myśl zaleceń służby zdrowia, dokładnie, nie oszczędzając wody, spłukuje się codziennie ulice i wszystkie ciągi komunikacyjne.

Niezwykłe obrazki w Kijowie można oglądać na bazarach. Wszystko, co się tu dostarcza, jest badane dozometrami. Szczególnie dokładnie są kontrolowane produkty mleczarskie.. W sklepach warzywno-owocowych i mięsnych — jak zawsze — stosy zieleniny, mięsa, słoniny. Ale starzy mieszkańcy Kijowa nie zmienili swoich przyzwyczajeń: żeby nie wiedzieć co się wydarzyło, oni i tak podstawowe produkty żywnościowe nadal nabywają na bazarach. Ludzi, jak zwykle, dużo. Jednakże pytanie: „Skąd przywieźliście towar?" zadaje się nie tylko w celu rozpoczęcia rozmowy o właściwościach oferowanych produktów...

Szkoły w Kijowie w te dni prezentują się także zupełnie niezwyczajnie. Na podwórkach i placach sportowych nie ma dzieci. Ma się wrażenie, że nagle miasto stało się uboższe, jakby opustoszało, przycichło. Dzieci stanowiły przecież jego ozdobę i dumę. Nauczyciele skrupulatnie pilnują, by młodzież nie przebywała poza budynkami. Dzieci także znają zalecenia służby medycznej i nie naruszają nałożonego na nich reżimu. Jedynym ich problemem jest cicha nadzieja, że być może w tej sytuacji wakacje rozpoczną się dużo wcześniej...

Reporterzy gazety „Trud" natomiast odwiedzili tych, którzy pozostali na posterunku w Czernobylu pracując przy usuwaniu awarii. Pytali, czy wiedzą, gdzie są ich najbliżsi. Starszy mistrz Iwan Afanasiewicz Sologub mówi: *— Moja rodzina przebywa w poleskim rejonie, syn kontynuuje tam naukę w takim samym technikum jak tu. A mój* — mówi mistrz Anatolij Konstantinowicz Ponomariow — *został ewakuowany do iwankowskiego rejonu...*

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR podjęto szereg ważnych decyzji dotyczących awarii w Czernobylskiej Elektrowni Atomowej. M.in. o pomocy dla ludności, która poniosła z tego powodu straty. Zdecydowano, że oprócz już wyasygnowanych kwot na zakup odzieży i innych przedmiotów powszechnego użytku, a także na opłacenie dla nich żywności, wszyscy otrzymają zasiłki, jeśli w związku z wypadkiem pozostają bez pracy. W przypadkach koniecznych będą wydawane bezpłatne skierowania na wczasy sanatoryjne.

REAKCJE

Przede wszystkim „złapały wiatr w żagle" dzienniki zachodnie i amerykańskie. Zaczęły pojawiać się doniesienia mówiące wręcz o tragedii ekologicznej, o „drugiej Hiroszimie". Londyński „Daily Mirror" uderzył na alarm: oto w Czernobylu zginęło na miejscu dwa tysiące ludzi, szpitale są przepełnione, ranni leżą na ulicach, a szalejący pożar reaktora nie daje się ugasić grożąc nowym wybuchem! Tym zawodzeniom wtórowała „Wolna Europa" oraz inne polskojęzyczne radiostacje na Zachodzie. Nie współczucie, nie pomoc, a właśnie katastrofalna wizja następstw wybuchu stała się pokarmem dla dywersji ideologicznej. A kiedy Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej oraz dwaj wybitni specjaliści profesor od transplantacji Gale i jego kolega profesor immunolog Trasaki (obaj zresztą z USA) stwierdzili, iż wybuch nie był na miarę bomby atomowej, a przedsięwzięcia poczynione przez ZSRR były prawidłowe — na Zachodzie nie pojawiło się ani jedno sprostowanie.

Na konferencji prasowej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych ZSRR wicepremier i przewodniczący komisji rządowej Borys Szczerbina zwracając się do dziennikarzy zachodnich powiedział: *„Wymyślono, że szaleją pożary, że są tysiące ofiar, że nastąpiło całkowite zniszczenie elektrowni, że radioaktywność zagraża nie tylko Europie, ale i Ameryce.. W tych dniach można było kolejny raz przekonać się o charakterze niektórych zachodnich rozgłośni. Zachodni propagandziści w swym dążeniu do oczernienia ZSRR zupełnie zignorowali informacje podawane przez stronę radziecką, natomiast rozpowszechniali wymyślone dane. Do fabrykowania kalumnii i kłamstw dołączyły także oficjalne instytucje niektórych państw. Czy przypadkiem nie usiłuje ktoś w związku z zaistniałą sytuacją umacniać ideę wyścigu zbrojeń, odwrócić uwagę narodów od życiowo ważnego zagadnienia, jakim pozostaje groźba wojny nuklearnej, od wysuniętego przez Związek Radziecki programu zniszczenia pocisków nuklearnych do 2.000 roku? Nie umniejszając wagi tego, co się wydarzyło w Czernobylskiej Elektrowni Atomowej, opowiadamy się przeciwko dążeniom poderwania zaufania wobec pokojowych inicjatyw radzieckich".*

Tak więc na nieszczęściu niektórzy zapragnęli zbić własny kapitał. A przecież Stany Zjednoczone jak i kraje Europy Zachodniej w przeszłości również przeżywały awarie w swoich elektrowniach atomowych. Jak podała „Public Citizen" w ciągu ostatnich sześciu lat w amerykańskich siłowniach wydarzyło się około dwudziestu tysięcy różnego rodzaju wypadków i usterek. Szczególnie tragiczny w skutkach był wypadek w siłowni atomowej „Thrimile Island" w pobliżu Harrisburga (stan Pensylwania), gdzie częściowo uległa stopieniu warstwa ochronna reaktora. Wówczas to zanotowano „silny upływ radioaktywności", a ślady tego były rejestrowane aż w stanie Maine, czyli na północnym wschodzie USA. Podobny wypadek miał miejsce w siłowni atomowej „Davis Besse", kiedy to uległ uszkodzeniu podstawowy i zapasowy system chłodzenia reaktora. Nawet nie tak dawno, bo zaledwie kilka dni temu agencja Associated Press doniosła, iż na poligonie w Nevadzie (doświadczalny poligon nuklearny) nastąpiło niespodziewane promieniowanie radioaktywne. No tak, przysłowie przecież mówi, że „Cudze nieszczęście nie boli".

Energia atomowa narodziła się nie tak dawno. Wobec tradycyjnych metod stosowanych od dawna, jest prawie oseskiem. Ale mimo swojej młodości funkcjonuje dobrze. Z latami będzie coraz bardziej się rozwijać, stawać się powszechną. Trzeba jedynie baczyć, by nie zdarzyły się przypadki, jak ten w Czernobylu lub opisane powyżej w USA.

STAN NA DZISIAJ

W ZSRR od bez mała trzydziestu lat pracuje już 41 atomowych energobloków. W USA — ponad 70. Każda awaria jest tragedią, ale ludzkość zawsze płaciła i płaci cenę za postęp techniczny. Czy to, że od czasu do czasu zdarzają się katastrofy lotnicze dowodzi, że należy zlikwidować samoloty? Kula ziemska niczym pajęczyna została opleciona szynami kolejowymi i dziś trudno sobie wyobrazić świat bez pociągów. A przecież co jakiś czas dowiadujemy się o tragicznych w skutkach katastrofach. To samo porównanie trzeba odnieść do elektrowni atomowych. Pracują, są wydajne, wygodne, nie zanieczyszczają środowiska naturalnego. Raptem coś wybucha, na zewnątrz wydobywa się substancja radioaktywna. Są straty. Czy winić za to ludzi pracujących przy reaktorach? W ZSRR — jak powiedział na konferencji prasowej przewodniczący Państwowego Komitetu ZSRR do Spraw Energetyki Atomowej prof. Andranik Petrosjanc, a co później potwierdził dyrektor generalny Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Hans Blix — zarówno opracowania naukowo-techniczne związane z energią atomową oraz projekty elektrowni atomowych i reaktorów jądrowych znajdują się na bardzo dobrym poziomie technicznym. A w niektórych przypadkach nawet przewyższają one rozwiązania zagraniczne.

Na tejże konferencji stwierdzono, że sytuacja w Czernobylskiej Elektrowni Atomowej jest w pełni kontrolowana, a wszystkie wskaźniki, które mogłyby budzić niepokój, ulegają obniżeniu.

W tej chwili, jak pisze „Prawda" — *„Reaktor znajduje się w stanie stłumienia. Oznacza to — wyjaśniają specjaliści — że została przerwana reakcja łańcuchowa, co stało się automatycznie, kiedy reaktor pracował z minimalną mocą."* Reaktor został odizolowany przez zasypanie go prawie pięcioma tysiącami ton materiałów izolacyjnych (piasek, dolomit, ołów itp.). Mimo to nadal utrzymuje się w nim temperatura rzędu 300 stopni. A więc trwa betonowanie czwartego energobloku. Natomiast wzdłuż rzeki Prypeci są wznoszone wały ochronne, mające w przyszłości zapobiec ewentualnym skażeniom rzeki.

W Czernobylu panuje cisza, miasto robi wrażenie wyludnionego. Ale to złudzenie, bo coraz to przetaczają się ulicami ciężarówki dowożące piasek do budowanych nad rzeką umocnień, słyszy się mowę w różnych językach. A co najważniejsze — nie ma już zagrożenia.

Czwarty blok nie jest już straszny. Wewnątrz trwają prace, zmierzające do „pogrzebania" reaktora. W każdym bądź razie Czernobylska Elektrownia Atomowa nie została bezpowrotnie stracona, gdyż po uporaniu się z niezbędnymi pracami, zacznie ona ponownie pracować i dostarczać prąd.

Opracowanie:
EUG.

Na podstawie prasy radzieckiej: Prawdy, Izwiestij, Komsomolskiej Prawdy, Truda, Sowietskoj Biełorusi, Miedicinskoj Gaziety.

ze str. 1

było okupowane. Nie malał też tłum gapiów. Na zaimprowizowanej trybunie wystąpił w swoim repertuarze popularny kabarecista Jan Pietrzak. Panował nastrój jak na zabawie niedzielnej na Bielanach. Kolejna wspaniała przygoda. A to, że cały świat ze zdumieniem, a nieraz i ze zgrozą przyglądał się temu żałosnemu widowisku nikogo z demonstrujących i tych, którzy śpiewali im kuplety oraz bili brawa nie trwożyło ani nie zawstydzało. Przyznaję, że od tej pory zawodowi rozśmieszacze przestali mnie bawić.

Następnego dnia przed południem demonstrujący zaczęli się rozjeżdżać, najczęściej wzdłuż ulicy Marszałkowskiej. Formalnie rzecz biorąc podstawą rozwiązania demonstracji była już wspomniana uchwała prezydium KKP i Zarządu Regionu Mazowsze, faktycznie zaś to, że władze nie ustąpiły ani też nie stworzyły żadnej nadziei nawet na kompromis. Wałęsa, Jaworski, Gwiazda i Bujak tym razem się pomylili. Musieli jak niepyszni ustąpić z wybranego przez Zarząd Regionu pola konfrontacji. Nie jest wykluczone, że to niepowodzenie dało niektórym przynajmniej ludziom sporo do myślenia. Nie należał do nich ani Bujak, ani Onyszkiewicz. Jeden z moich współpracowników na krótko przed rozwiązaniem blokady przysłuchiwał się wystąpieniu Bujaka. Szef Mazowsza wszedł na zaimprowizowaną trybunę i przemówił do demonstrantów. Kończącą się akcję ocenił jako pełny sukces „Solidarności". Wszelkie rozmowy z rządem uznał za bezcelowe, bowiem o sytuacji rozstrzygać będą akcje „Solidarności", Stwierdził, też, że „siłowa konfrontacja" jest niemożliwa, bo MO i SB są za słabe, a wojsko „jest nasze". Nie odbyło się też bez poruszenia odwiecznego tematu tj. dostępu „Solidarności" do SMP. Bujak oświadczył, że aktualnie poprzez Komisję Zakładową „Solidarność" w TVP można nadać każdą informację, ale Związek nie chce tego kanału nadużywać. Trwają natomiast przygotowania do uruchomienia własnej stacji radiowej. Tak to przemawiali wówczas czołowi działacze Związku. Onyszkiewicz na konferencji prasowej, która odbyła się 5 sierpnia tuż po zakończeniu blokady na pytanie o ocenę warszawskiej akcji odpowiedział, że „cel akcji został nawet przekroczony, jeśli zważyć rozgłos, jaki sobie zyskała. Jej długotrwałość pozwoliła nam kilkakrotnie zaprezentować, dlaczego protestujemy i jakie są nasze postulaty". Powiedział to rzecznik prasowy KKP, która przed kilkoma dniami nawoływała w komunikacie do zaprzestania akcji protestacyjnych. Co więcej, to przecież on sam w TV w dniu 30 lipca powiedział, że od protestów nie przybędzie towarów. Pytanie o to, kiedy był szczery, pozostawiam jemu do odpowiedzi.

Jeszcze kilka słów na temat rozgłosu, o którym z zadowoleniem mówił Onyszkiewicz. Smutny to był rozgłos. Na nowo prasa burżuazyjna zaczęła wycierać sobie gęby Polską, ponownie zaczęto mówić i pisać o Polsce jako kraju niespokojnym. Nie szczędzono też pouczeń, trzeba przyznać, że nieraz uzasadnionych. W „Bonner Rundschau" z dnia 1 sierpnia ukazał się artykuł pod wiele mówiącym tytułem — „Polacy muszą pracować". Autor przypominając o protestach przeciwko zmniejszeniu racji mięsnych pisał, że rodzą one wątpliwości, czy można istniejące trudności rzeczywiście przezwyciężyć za pomocą strajków i porzucania pracy. Nie można się bowiem domagać czegoś, stwierdził dziennik, czego nie ma, a protestami i groźbami nie da się niczego w tej sytuacji wymusić. Obecny kryzys, dowodził autor artykułu, można przezwyciężyć jedynie ciężką i wytrwałą pracą. Nawiązując do marszów głodowych autor pisał, że na razie jeszcze nikt w Polsce nie głoduje, a hasła zaostrzające sytuację nie mogą nikomu pomóc. W miarę jak mnożyły się w Polsce akcje protestacyjne, ton prasy zachodniej stawał się coraz bardziej nerwowy. Tak np. „Volksblatt Berlin" zamieścił komentarz pt. „Czy Polska jednak zginęła?", „Polska przed krytyczną próbą sił" stwierdzał w tytule „General Anzeiger". W brytyjskim „Guardianie" autor artykułu pt. „Siedem lat harówki może uratować polską gospodarkę" pisał, że marsze głodowe nie są zjawiskiem spotykanym w rozwiniętym świecie. Polska, dowodził autor artykułu, stała się krajem błędnego koła. Bardzo potrzebny import musi być ograniczony, bo nie ma eksportu, wiele towarów nie można produkować bez węgla, górnicy nie będą wydobywać więcej węgla bez żywności, strajki spowodowały zwiększenie wypłat z funduszu płac, ale nie ma ich na co wydać. Ciekawe czy Onyszkiewicz i jego koledzy oraz szefowie czytali te komentarze. Myślę, że nie, ponieważ byli zajęci okiełznywaniem „żywiołowego oburzenia oddolnego". Jeszcze dzisiaj, po latach jakie upłynęły od tamtych dramatycznych tygodni i miesięcy, nie mogę beznamiętnie myśleć o tej przedziwnej beztrosce, jaką w sprawach naprawdę najżywotniejszych dla naszego narodu i państwa demonstrowali czołowi działacze „Solidarności". Ale czy była to rzeczywiście beztroska? Czy igrano z ogniem w pełnej nieświadomości? Raczej nie. Dążenie do postawienia na swoim tj. udowodnienia Polsce i światu, że „Solidarność" jest jedyną władną siłą brało górę nad najbardziej nawet prymitywnie pojmowanym zdrowym rozsądkiem.

— Blokada Ronda na pewno była wydarzeniem, które wielu ludzi przyjęło z niepokojem i z obawą o to, co nastąpi w Polsce za kilka dni lub tygodni. Z drugiej strony nie możemy nie postawić dwóch pytań na marginesie tego wydarzenia. Pierwsze dotyczy reakcji rządu na to zdarzenie. Czy nie była zbyt nerwowa?, drugie działalności administracji państwowej — od naczelnika gminy do Rady Ministrów. Skoro we wszystkich protestach przewijały się narzekania na opieszałość a często i nieudolność władz, to coś w tym musiało jednak być.

W naszym działaniu nie było nic z nerwowości, chociaż sytuacja mogła ją zrodzić. Pod koniec lipca i w pierwszych dniach sierpnia odnosiło się wrażenie, że nad Polską unoszą się jakieś współczesne Furie, które nie bacząc na nic i na nikogo wzniecały napięcia i niepokoje. Marsze głodnych to był tylko fragment tego, co się działo w całym kraju. W czasie gdy trwała blokada Ronda w wielu zakładach pracy woj. częstochowskiego, 4 sierpnia przeprowadzono jednogodzinny strajk ostrzegawczy. Stanęła także komunikacja miejska. Godzinny strajk ostrzegawczy został przeprowadzony w zakładach pracy Radomska. Wiec i marsz protestacyjny odbył się w Kaliszu. Jego uczestnicy uchwalili rezolucje solidaryzujące się z akcją protestacyjną odbywającą się w Warszawie. Oczywiście, że protestowano także przeciwko obniżeniu norm mięsnych.

5 sierpnia odbył się zgodnie z uchwałą Zarządu Regionu Mazowsze dwugodzinny strajk ostrzegawczy w zakładach pracy tego regionu. Nie wszystkie jednak załogi przystąpiły do strajku. Nie strajkowała np. załoga ożarowskiego „Polamu". Wiceprzewodnicząca zakładowej „Solidarności", Elżbieta Leżyńska oświadczyła dziennikarzowi, że „ludzie są u nas już trochę zniechęceni strajkami". Uwaga Leżyńskiej była trafna. Rzecz jednak w tym, że działał nie tylko „pistolet strajkowy" stosowany wobec rządu, dyrekcji zakładów itp., lecz także przymus strajkowy. Kto nie strajkował, ten był gorszy. Dwugodzinny strajk przeprowadziły załogi niektórych zakładów pracy w województwie bielsko-podlaskim. W Białymstoku zarząd regionu zorganizował protestacyjny przejazd kolumny pojazdów przed siedzibami władz miejskich. W Zielonej Górze w południe zostały włączone syreny fabryczne; na sygnałach przejeżdżały ulicami miasta samochody. Strajki odbywały się także na terenie województwa skierniewickiego. W Świdniku w WSK-PZL odbył się wiec, na którym wyrażono poparcie dla inicjatywy strajkowej regionu Mazowsze. W Ostrołęce do strajku — w czasie żniw — przystąpili pracownicy umysłowi GS „Samopomoc Chłopska". 6 sierpnia 2-godzinny strajk ostrzegawczy zorganizował region świętokrzyski „Solidarność". W Przemyślu o godz 14.00 przejechała głównymi ulicami miasta kawalkada samochodów należących do zakładów przemysłowych i komunikacyjnych. Protest zorganizowała „Solidarność" Regionu Południowo-Wschodniego. W pierwszych dniach sierpnia 4-godziny strajk ostrzegawczy w dniu 7 sierpnia zapowiedział Zarząd Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. W wyniku strajku, gospodarka narodowa poniosła kolejne straty. Tylko w górnictwie w przeciągu tych czterech godzin nie wydobyto 200 tys. ton węgla. Tak oto walczono przeciwko pogarszającemu się zaopatrzeniu. W sprawie tego strajku, w dniu 6 sierpnia głos zabrała egzekutywa KW PZPR w Katowicach. W opublikowanym oświadczeniu jej członkowie stwierdzili, że zawarte w uchwale I walnego zjazdu „Solidarności" tego regionu „żądania uwolnienia więźniów politycznych, przeprowadzenia referendum w sprawie wyborów do Sejmu i rad narodowych oraz dostępu do środków masowego przekazu nie mają nic wspólnego z poprawą zaopatrzenia rynku, a jako żądania polityczne świadczą o rzeczywistych intencjach awanturniczego nurtu w regionalnym kierownictwie NSZZ „Solidarność" i wielu nadgorliwych organizatorów strajków w zakładach pracy. Ponadto, stanowi to jaskrawe odejście od statutowych zasad związku". Ocena Egzekutywy była bez wątpienia słuszna, ale nie miała żadnego wpływu na postępowanie szefów „Solidarności" tego regionu.

O wzroście napięcia w kraju świadczyły także liczne uchwały, apele, oświadczenia organizacji partyjnych, społecznych i innych nawołujące do spokoju, rozwagi, ładu i do rzetelnej pracy. Wynikało z nich, że demonstracje uliczne oraz strajki organizowane przez „Solidarność" budziły nie tylko lęk, ale i sprzeciw. Wbrew temu, co mówili przywódcy związku wcale nie cały naród udzielał poparcia polityce, jaką realizowali. Niektóre z apeli były pełne dramatyzmu, wyzierał z nich autentyczny strach przed tym, co może nadejść. Tak np. kobiety, członkinie Związku Zawodowego Górników w przeddzień 4-godzinnego strajku w Regionie Śląsko-Dąbrowskim wystosowały do mężów, ojców, synów i braci górników apel, w którym czytamy m. in. „Przerażone zaistniałą sytuacją, apelujemy do waszych serc i umysłów, prosząc was gorąco o spokój, rozsądek i zastanowienie. Niech każdy z was z osobna przemyśli wszystkie za i przeciw, zanim podejmie decyzję. Nie pogarszajcie sytuacji, nie strajkujcie, nie utrudniajcie nam jeszcze bardziej życia, bo jesteśmy na granicy wytrzymałości. Brak nam już sił, jesteśmy strasznie zmęczone: pracą, zdobywaniem i przygotowywaniem posiłków dla was, utrzymaniem życia rodzinnego..." Anna Tatarkiewicz w liście opublikowanym na łamach „Życia Warszawy" pisała: „Piszę ten list dosłownie zdesperowana tym, co od poniedziałku dzieje się w Warszawie. Jestem niemłodą kobietą (pokolenie „Kolumbów"), matką dorosłego syna i babką nieletnich wnuków: prowadzę dom i pracuję. Moim bliskim i mnie jest ciężko jak całemu społeczeństwu, zwłaszcza w wielkich miastach. Rozumiem, że wszyscy jesteśmy zmęczeni i rozdrażnieni, ale to nie zwalnia nas od obowiązku myślenia... Społeczeństwo swego czasu bezkrytycznie zawierzyło ekipie Gierka i jego „cudowi gospodarczemu". Teraz jak gdyby odmawia kredytu zaufania nowym władzom, które dały niemało dowodów dobrej woli i gotowości dialogu ze społeczeństwem..."

Czasy nadziei i rozczarowań (1)

Rondo

Analizując uważnie wszystkie akcje protestacyjne, pogotowia strajkowe, apele, oświadczenia, nie kończący się strumień oskarżeń płynący od „Solidarności" do Urzędu Rady Ministrów i znając dokładnie opłakaną sytuację gospodarczą można było moim zdaniem ulec nawet rozstrojowi nerwowemu. Nikt z nas w rządzie takiemu schorzeniu jednak nie uległ. Działaliśmy spokojnie i rozważnie. Nasza reakcja na to, co szefowie Regionu Mazowsza postanowili wykonać w sercu Warszawy nie miała żadnych cech nerwowości. Postanowienie o wyznaczeniu takiej a nie innej trasy dla demonstrantów podjęte zostało po drobiazgowym rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw. Oprócz względów dyktowanych troską o zachowanie ładu i porządku, uznaliśmy, że nie wolno dopuścić do tego, aby w stolicy socjalistycznego państwa, w siedzibie najwyższych władz mogła bezkarnie działać grupa zanarchizowanych osób, przekonana, że nie ma takiej siły, która może się jej oprzeć. Decyzje w sprawie rozładowania sytuacji powstałej na Rondzie podejmowało kierownictwo warszawskiej MO pod ścisłym nadzorem MSW. Na czele ministerstwa od kilku dni stał wówczas generał dywizji, a obecnie generał broni Czesław Kiszczak. Gen. Kiszczak przyszedł z wojska, gdzie przez wiele lat pełnił funkcję szefa kontrwywiadu wojskowego. Resort MSW objął w okresie niezwykle trudnym dla kraju, partii i władzy ludowej. Nie ulega wątpliwości, że w tej sytuacji kierowanie ministerstwem wymagało finezji, taktu, ostrożności i stanowczości, inteligencji, rozsądku, a przede wszystkim wielkiej znajomości motywacji, które określały w owym czasie postępowanie jednostek i kolektywów ludzkich. Gdy teraz, po kilku latach powracam do burzliwych tygodni i miesięcy roku 1981, to myślę, że wielkim naszym szczęściem było to, że na czele tego niezwykle ważnego resortu stanął właśnie Czesław Kiszczak, oficer o cechach, które budzą sympatię i uznanie. Choć wiem, że wystawiam się na złośliwą krytykę („co on tak chwali tego Kiszczaka?") to jednak uważam za konieczne odnotowanie, że w czasie tej kilkuletniej współpracy dał się poznać jako człowiek uważny i ostrożny w sięganiu po środki represyjne, traktujący swą odpowiedzialną pracę jako istotny element polityki partii i rządu. Chcę przez to powiedzieć, że nigdy nie dostrzegłem w jego sposobie widzenia spraw i problemów tego, co potocznie nazywa się „myśleniem policyjnym". Właśnie dlatego powiedziałem, że było naszym wielkim szczęściem, iż w tak skomplikowanym okresie właśnie on stanął na czele MSW.

Interesująca wydaje mi się także druga część pytania. Twierdzicie, że „coś w tym musiało jednak być" skoro we wszystkich protestach występowały narzekania na opieszałość, nieudolność, władz etc. Utyskiwania na rząd oraz na organa władzy administracyjnej wszystkich szczebli były wówczas powszechne. W istocie rzeczy do dobrego tonu należała krytyka władzy. Branżowcy, którzy w licznych uchwałach i rezolucjach odcinali się od akcji protestacyjnych organizowanych przez „Solidarność" z reguły też nie szczędzili słów krytyki pod adresem administracji państwowej. Podobne akcenty można było także spotkać w uchwałach niektórych organizacji i komitetów partyjnych. W pamięci utkwił mi pewien szczegół związany z ową szeroko rozlegającą się krytyką rządu.

Było to 3 sierpnia, a więc w dniu, w którym mieliśmy się spotkać z Prezydium KKP. Jak zwykle po przyjściu do biura sięgnąłem do gazety. Przede wszystkim po „Życie Warszawy". Na pierwszej stronie gazeta opublikowała stanowisko Komitetu Warszawskiego PZPR wobec sytuacji w województwie i kraju. Obok jednoznacznego i w pełni uzasadnionego potępienia awanturniczych poczynań „niektórych ogniw" NSZZ „Solidarność" z pewnym zdumieniem przeczytałem następujący fragment „Stanowiska", który brzmiał: „Komitet Warszawski PZPR podziela również krytyczne oceny i opinie załóg robotniczych dotyczące działalności organów administracji centralnej i terenowej... Uważamy, że niszczących oddziaływań kryzysu nie można przezwyciężyć zwykłymi metodami biurokratycznymi jak również powolnym wprowadzaniem reform. Konieczne są natychmiastowe — odbiegające od konwencjonalnych — decyzje, które pozwolą unormować sytuację rynkową, a tym samym przywrócić zgodność deklaracji i czynów". W pierwszym odruchu sięgnąłem po słuchawkę, by porozmawiać z ówczesnym I sekretarzem Stanisławem Kociołkiem na temat tego „powolnego wprowadzania reform", ale po chwili zrezygnowałem z tego zamiaru. Nic by to nie dało. A więc krytykowano nas na każdym kroku i prawie ze wszystkich stron. Czy słusznie? Jest rzeczą oczywistą, że w aparacie administracyjnym państwa nawyki biurokratyczne nie są zjawiskiem rzadkim, chociaż bywa i tak, że to, co obywatel nazywa biurokracją, nie jest niczym innym, jak koniecznym i niezbędnym przestrzeganiem przez urzędnika istniejących praw i przepisów. Z kolei nie mam zamiaru kwestionować spraw oczywistych. Przez wiele lat w ogniwach naszej władzy rozwinęły się i utrwaliły takie niekorzystne cechy jak poczucie wyższości wobec obywateli wynikające z przekonania, że „władza wie lepiej", lekceważenie petenta, klikowość itp. Były więc przyczyny, które rodziły niechęć do ludzi pracujących w administracji państwowej. Inna rzecz, że dla przeciętnego obywatela panienka w okienku na poczcie jest przez obywatela także uważana za przedstawicielkę władzy. Te wysoce negatywne zjawiska były nam dobrze znane. Premier wypowiedział im zdecydowaną, konsekwentnie prowadzoną walkę. Zewnętrznym jej wyrazem były także liczne zmiany personalne. Z drugiej jednak strony każdy zdrowo myślący człowiek wie, że cechy osobowości urzędnika bądź człowieka sprawującego władzę, które utrwalały się przez wiele lat, mam oczywiście na myśli te negatywne, nie mogą być usunięte w przeciągu paru miesięcy. Potrzebny jest znacznie dłuższy okres, no i starannie opracowana koncepcja wychowawcza. Taka koncepcja istniała. Czy był więc sens kierowania wielkiego ognia na administrację państwową? Sądzę, że nie. Jeśli to czyniono, to musiała się za tym zmasowanym atakiem kryć jakaś myśl. I taka myśl istniała. Nie chodziło o nic innego jak o umocnienie w społeczeństwie niechęci, a może wręcz nienawiści do całej władzy, do wszystkich jej reprezentantów, od premiera do najniższego urzędnika, o moralne osłabienie pozycji władzy. Pikantnym szczegółem tego bezprzykładnego ataku może być to, że przecież wielu pracowników różnych ogniw władzy administracyjnej należało do „Solidarności", albo też z nią sympatyzowało. A więc zwalczano także swoich.

Mówiłem o cechach negatywnych, ale nie wolno zapominać, że był to także okres niezwykle trudny dla ludzi pracujących w administracji państwowej. To w nich przecież uderzyła niezwykle wysoka fala demagogii, często bezpodstawnych oskarżeń, ordynarnych wymyślań czy wręcz zwyczajnego chamstwa. Nie chcę bronić wszystkich pracowników administracji państwowej, ale rozumiem także tych, którym nerwy odmawiały posłuszeństwa i nie byli w stanie zapanować nad odruchami, które na pozór nie świadczyły o dobrym wychowaniu.

No, ale to co dotychczas powiedziałem ma w istocie rzeczy znaczenie drugorzędne w porównaniu z główną sprawą, o której chciałbym w kontekście waszego pytania co nieco powiedzieć. Co się tyczy działalności rządu w sferze społeczno-gospodarczej, to zarówno w okresie po ogłoszeniu dziesięciopunktowego programu w lutym 1981 r., jak i po zakończeniu IX Zjazdu PZPR o żadnej opieszałości bądź też nieudolności mowy być nie może. Tuż po Zjeździe rząd podejmował ważne decyzje, które jednoznacznie wskazywały na to, że aktywizujemy nasze działania na rzecz stabilizowania sytuacji społeczno-gospodarczej kraju oraz konsekwentnego realizowania programu socjalistycznej odnowy. Dla uzasadnienia tej tezy posłużę się kilkoma przykładami. Przede wszystkim godzi się przypomnieć, że od 1 lipca 1981 r. zasady reformy gospodarczej opracowane przez Komisję ds. Reformy Gospodarczej zostały wprowadzone w życie, w Państwowych Gospodarstwach Rolnych oraz w drobnej wytwórczości. Rzecz ciekawa, że ci którzy stale wmawiali nam niechętny stosunek do reformy gospodarczej w ogóle faktu tego nie dostrzegli. 23 lipca w całej prasie ukazał się wywód ministra ds. cen, prof. Zdzisława Krasińskiego, który szczegółowo poinformował opinię publiczną o proponowanych zasadach podwyżki cen żywności. Minister zapowiedział przedstawienie w sierpniu społeczeństwu do konsultacji projektu podwyżek. Omówił także zasady rekompensacji. Na pytanie dziennikarza PAP czy reforma cen zlikwiduje tzw. nawis inflacyjny. Krasiński odpowiedział: „Jest to jeden z podstawowych celów reformy. Dziś ten nawis wynosi ok. 600—700 mld złotych i każdego dnia zwiększa się około 1,5 mld zł, które trafiają do ludzi nie mając pokrycia w towarach". A jeśli społeczeństwo nie zaakceptuje podwyżek, zapytał dziennikarz. „Staniemy w gigantycznych kolejkach, przed pustymi sklepami. Resztę niech dopowie wyobraźnia", odpowiedział minister. Wywiad ministra Krasińskiego był wymownym dowodem poważnego potraktowania społeczeństwa przez najwyższą władzę wykonawczą. Nic bez społeczeństwa. Taka była nasza dewiza.

27 lipca w wydaniu broszurowym „Trybuny Ludu" ukazał się od dłuższego czasu oczekiwany pełny tekst rządowego programu przezwyciężania kryzysu oraz stabilizowania gospodarki kraju. Określono w nim założenia polityki gospodarczej i priorytety, terminy wdrażania reformy gospodarczej, społeczne przesłanki wychodzenia z kryzysu, kierunki działań w przemyśle i rolnictwie, drogi przywracania równowagi rynkowej, program oszczędności budżetowych, zakres nakładów inwestycyjnych, zasady polityki zatrudnienia, przywracania równowagi płatniczej i proeksportowe przekształcanie gospodarki oraz perspektywy wyjścia z kryzysu. Rządowy program przezwyciężania kryzysu został omówiony na dwudniowym posiedzeniu Sejmu w dniu 30 i 31 lipca. Sejm poparł rządową politykę głębokich reform. 28 lipca Rada Ministrów przekazała do Sejmu projekt dokumentu pt. „Kierunki reformy gospodarczej" zawierający kompleksowy program przebudowy systemu funkcjonowania gospodarki oraz harmonogram prac wdrożeniowych. Projekt autorstwa Komisji ds. Reformy Gospodarczej uwzględniał wnioski z blisko pół roku trwającej dyskusji ogólnospołecznej.

23 lipca na konferencji prasowej w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych szef resortu poinformował prasę o dwóch rozporządzeniach Rady Ministrów noszących datę 17 lipca, a dotyczących urlopów i zasiłków wychowawczych oraz zasad przechodzenia na wcześniejszą emeryturę. W niedalekiej przyszłości oba rozporządzenia miały stać się dodatkowym źródłem kłopotów przeżywanych przez naszą gospodarkę. Warto przypomnieć istotę jednego i drugiego rozporządzenia. Urlop wychowawczy mogła uzyskać każda pracownica posiadająca co najmniej sześciomiesięczny staż pracy, w celu sprawowania osobistej opieki nad swoim dzieckiem na okres trzech lat, najdłużej do ukończenia przez dziecko 4 lat. W okresie urlopu wychowawczego pracownica zachowuje dla siebie i członków rodziny, prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej oraz zasiłków rodzinnych, świadczeń z funduszu socjalnego, a także i mieszkaniowego, korzystania z ulgowych opłat za przejazdy kolejowe. Okres urlopu wychowawczego wlicza się także do wszystkich uprawnień pracowniczych (dodatki stażowe, nagrody jubileuszowe itp.), a jeśli urlop wychowawczy nie przekroczy 6 lat, to uważa go się za okres zatrudnienia w rozumieniu przepisów elementarnych oraz przepisów o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczeń społecznych w razie choroby i macierzyństwa. Rozporządzenie, które przyjęliśmy wprowadziło także zasiłek wychowawczy od 100 proc. do 50 proc. zasadniczego wynagrodzenia miesięcznego. Drugie rozporządzenie ustaliło zasady wcześniejszego przejścia na emeryturę. Z tego kolejnego dobrodziejstwa mogli skorzystać pracownicy, którzy nie osiągnęli obowiązującego wieku emerytalnego, jeżeli mieli: kobiety 55 lat i 20-letni staż pracy, mężczyźni 55 lat i 25-letni staż pracy, w tym co najmniej 15 lat pracy zaliczonej do I kategorii zatrudnienia itd., itd.

C.D.N.

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

Jan Wyka

Kamienie milczą

Kamienie pałacu milczą głośniej od ciszy
mowy nie poznały Dzięcioł w parku
dostukuje się radiogramu klucza kodu
nadwornego znanego wyłącznie
odlatującym ptakom do ziemi egipskiej
Radiogram z czołobitnym pozdrowieniem
dla zmartwychwstających w piramidach
faraonów

Kamienie milczą lecz ja odczytuję
z gaworzenia listowia i z gróźb wichury
że cierpienia niespełnione nadal dojrzewają
że płacz lip jesiennych wygasa w posusze
że co noc do bramy żelaznej stuka
wygnaniec w szacie ubogiej skazany na
wieczność

Kamienie milczą może rdzeń mowy
na nich zgorzał? Znaki nagrobne się starły
szczęk zbrojny wojen ulotnił się w kosmosie
gwiazdy sygnalizują upiorne wieszczby

Stanąłem na skrzyżowaniu zapomnianego miasta
zaginiona dziewczyna o oczach malachitowych
powraca leśnym duktem potrącając pożółkłe
leszczyny
zgubiła wątek dozgonnej opowieści w nieznanej
głębinie
zmarnotrawiła bolesne trudy w tropieniu tras
dróg zawiłych portów zatajonych
gdzie czeka już wieki siwobrody przewoźnik
władca niezniszczalnego żaglowca
chciał przewieźć dziewczynę o oczach
malachitowych
do jedynej odradzającej się w kolumnadach
ogrodach
dopływają tam źródła łucące hymny
czarnoziemy rozkwitają tam winorośla i
najbielszymi sadami
żyznej nie zakreślonej na żadnej mapie UTOPII

Obory wrzesień 1985 r.

Do Wielkiego Strażnika Dziennika Podawczego

Ty tego nie wiesz Wielki Strażniku
że numerom porządkowym wykłuto źrenice
że w kałuszach komponowana skarga
zginęła w torbie śródmiejskiego listonosza
że uczciliśmy szkarłatnymi fiołkami
z gorejących szczytów poetę samobójcę
wykarczowano w nim słowa jarzeniowe
wypalono elegie wycięto rozkwitający sad
owoców nieznanych z posiewu goryczy i snów

Ty tego nie wiesz Wielki Strażniku
że w Klinice Zdrowego Człowieka
nie zdołano ocalić serca popękanego
od wydrążonych wersetów z trybun i kazalnic
od swobód ogłuszonych od zapisów oniemiałych
że przechodzień na rogu Alei i Nowego Światu
podpalił się by naświetlić awarie chroniczne
kodów i wykładów lektorów i mędrców
wiedzy tajemnej o błędach i odstępstwach

Ty tego nie wiesz Wielki Strażniku
że długowieczny niemeldowany rewolucjonista
na poddaszu zabytkowego gmachu klubistów
kaligrafuje notatnik diariusz wierny i oczywisty
rejestruje na taśmach pamięci myśli skreślone
prześwietla szyfry chwil sekund minut godzin
że wykupił sad poety-samobójcy
zasadził drzewa nieznane o owocach nieznanych
żywionych hormonami prawdy i nadziei

Kąt

Kąt drzemie w kącie
ukrywa się w przekątnej — przed czym?

Widzę jak grywa na klawiszach cienia
pije toast mroczny
za pierzchającym trenem wdowiej sukni
w kącie coś się rodzi coś umyka
traci ciężar gąszcza północy
rzednie w kącikach czarnobrewe
grymas z kulcjącej na schodach wiosny

Wiosna nie śmie uczepić się istnienia
i gałęzi wiotkiej i nieśmiałej poświaty
zatraca się w zmąconym bezwładzie

Nie wschodzi słońce nie wykluły się
przebiśniegi
trzepoce ledwie wątłe przeczucie
skroplonej woni dzwoneczka konwalii

Kąt zwątpił pokątnie
zastygnął w kącie
nieważki trwoży się rajzbretu
wskazującego palca lokatora
drapieżnego czyhającego oka
człowieka.

W poszukiwaniu formuły

Pisałem już wcześniej na łamach „Odgłosów" o Grupie Literackiej Studentów UŁ recenzując ich pierwszy Almanach „Astrea".

Młodzi poeci nie zasypiali gruszek w popiele i oto mam w ręku następne ich publikacje: kolejny almanach oraz autorskie arkusze poetyckie J.K. Sienkiewicza, M. Pisarkiewicza oraz J.K. Szczęsnego. Tomiki — właściwiej arkusze — wydane są ładnie i szybko zapewnę z pomocą doświadczonego w tej materii i niezmordowanego w inicjatywach wydawniczych Feliksa Rajczaka (przynajmniej w jednym z arkuszy odnotowano Redakcję — WDK w Sieradzu). Taką „małopoligraficzną" poezję uważam za zjawisko wielce korzystne w sytuacji, kiedy na druk debiutanckiego tomiku czeka się latami, zaś efektem tzw. obiektywnych trudności wydawniczych są kandydaci ZLP o posiwiałych głowach w wieku przedemerytalnym. Oczywiście ta szczęśliwa możność szybkiego prezentowania dorobku literackiego nie przesądza jeszcze o jego (sc. dorobku) wartości. Trafiają się wiersze i dojrzałe, i „młodzieńcze", choć i te drugie wstydu autorom nie przynoszą. Młodzi poeci, o których piszę, mają dwie możliwości (jak większość młodych w okresie debiutanckim) określenia swej poetyckiej tożsamości: bądź przez przyjęcie wytworzonej wcześniej konwencji poetyckiej — jakiejś pokoleniowej artykulacji, bądź też (jest to znacznie rzadszym zjawiskiem) przez swoiste, osobnicze „nacechowanie" dające w efekcie rozpoznawalny poetycki idiolekt.

Bohaterowie tej recenzji nie wpisują się ani pod etykietkę Nowej Prywatności, ani też nie proponują jeszcze jakichś rewelacyjnych osobniczych poetyk. Jest to poezja na ogół bliska kulturowej refleksji temperująca (naturalną w końcu) chęć eksponowania własnego „ja obnażonego", uwikłanego dodatkowo przez Nowe Roczniki w postulat prywatności. Jest to raczej poetyka „łagodnych wartości estetycznych niż poetyka histerycznego trochę „krzyku" — aczkolwiek w twórczości M. Pisarkiewicza i tego dramatycznego tonu charakterystycznego dla Nowych Roczników można się miejscami doszukać.

Nie jest sprzeczne to, co wyżej napisałem, z tezą — iż debiutujący poeta przede wszystkim pragnie się określić w świecie i naturalnym terenem eksploracji jest jego Osoba, jego Ja. Po prostu miejsce kontestacyjnej ekspresji osobowej czy manifestowania frustracji wytworzonej w nowej erze nieufności zajmuje „wyciszona" trochę autorefleksja, zdystansowanie wobec temporalnych zobowiązań i sympatyczna, naturalna notacja przeżyć wyraźnie zakorzenionych w biografii. Mówiąc metaforycznie: nasi poeci pokazują poetycką twarz wszakże bez makijażu konwencji i póz grupowych.

„Ja" wykonstruowane z wierszy J.K. Sienkiewicza to przede wszystkim ja postrzegające, cogito marzyciela żyjącego wspomnieniami („Kiedy patrzę na ogród / żyję wspomnieniem swoim / ono jest we mnie / a ja w nim. / Jesteśmy niepodzielną jednością"). Nie dziwi przeto następne wyznanie: „Lubię spać a jeszcze bardziej czytać", choć przysądzamy temu stwierdzeniu — zgodnie z intencjami autora — trochę autoironicznego wydźwięku. Niemniej jednak kontemplacyjna postawa charakterystyczna dla tych wierszy rodzi poetykę sentencjonalną zmierzającą do kulturowych refleksji, uniwersalizujących konstrukcji „nadbudowanych" nad okazjonalnymi przeżyciami lub postrzeżeniami.

Dla M. Pisarkiewicza z kolei Kultura (kulturowa topika) stanowi „tekst" poddawany dość konsekwentnie rewidującym zabiegom. „Ja" określa się tu poprzez negację znanego elementu kulturowego. Tytułowy wiersz „Antyherostrates" prezentuje najwyraźniej ten mechanizm. „Spalając się" w wewnętrznym ogniu młodzieńczych — powiedzmy to wyraźnie — samoudręczeń owo „ja" jest świadome, że pozostanie po nim „popiół" nie zaś „gwiaździsty diament". Poezja ta wszakże nie wyczerpuje się w rejestrze egzystencjalnych pytań. W niektórych wierszach („Akacja") młody poeta całkiem sprawnie buduje swoje słowoobrazy dając tym możliwość prognozowania dalszego — zróżnicowanego stylowo i tematycznie — rozwoju poetyckiego „warsztatu".

Bezpretensjonalne, związane bardzo wyraźnie z określoną i ujawnioną topografią poetycką (Sieradz, Dąbrowa) wiersze J.K. Szczęsnego bliskie są nowemu autentyzmowi — tendencji o wyraźnych konturach stylistycznych, tendencji będącej kontynuacją Czernikowego postulatu „przeżycia autentycznego". Sądzę nawet, że nie tyle świadome przyjęcie myślowego dziedzictwa autora „Z podglebia", ile próba tworzenia lirycznego notatnika sprawiła, iż te kilkanaście wierszy stanowi zwarty kompozycyjnie cykl charakteryzujący się klarownym obrazowaniem i naturalnością.

Trudno jest, oczywiście, na podstawie szczupłego przecież jeszcze dorobku młodych poetów wnioskować o dalszych losach ich poetyckiego rozwoju. Pobieżne z konieczności oceny i przywoływane przy tej okazji etykietki krytycznoliterackie o niczym jeszcze nie przesądzają. Najistotniejszym — i pocieszającym — zjawiskiem jest to, że za sprawą trzech młodych poetów nadal wierzę, że literacki ruch studencki nie całkiem obumarł.

HENRYK PUSTKOWSKI

J. K. Sienkiewicz — Stąd widziałem opuszczone kotary słońca
M. Pisarkiewicz — Antyherostrates
J. K. Szczesny — Między wschodem a zachodem słońca.

„...jestem przeciw"

Andrzej Trzos-Rastawiecki, reżyser dokumentalista, a także autor kilku filmów fabularnych o zacięciu publicystycznym („Trąd", „Zapis zbrodni") sięgnął po ważki społecznie i aktualny temat narkomanii. Film „...jestem przeciw", przejrzysty konstrukcyjnie i oszczędny, jest, w moim przekonaniu, rzeczowym głosem w toczącej się obecnie dyskusji na temat narkomanii w naszym kraju. W stosunku do innych filmowych (i nie tylko) prób analizy tego zjawiska jest spojrzeniem szczegółowym.

Przede wszystkim brak w filmie rozważań nad przyczynami narkomanii: reżyser nie penetruje środowisk młodzieżowych, tak jak np. próbował to czynić Waśkowski w „Czasie dojrzewania". Nie jest film Rastawieckiego obrazem degradacji wartości społecznych i celów życiowych, postawy ucieczki, buntu (co tak wyraźnie pojawiło się w relacji Christiany F. („My dzieci z Dworca ZOO"). Nie ma w nim (w przeciwieństwie do głośnych „Narkomanów" J. Schatzberga) obrazów nędzy, społecznej izolacji i brutalności. Brak też w „...jestem przeciw" śladu narkomańskiej „ideologii", mistycznej aury, brak apoteozy narkomańskiego „haju" i fantastycznych wizji psychodelicznych (kilka takich obrazków oglądaliśmy np. w „Hair" Formana). Nie ma wreszcie „wielkiej forsy", mafii, przemytniczych gangów, świata handlarzy narkotyków, a więc typowych wątków kina sensacyjnego, (aby wymienić tu choćby „Francuskiego łącznika" W. Friedkina).

Jest w filmie Trzosa-Rastawieckiego jedynie grupa anonimowych nijakich młodych ludzi, pensjonariuszy ośrodka Monaru. Jedyną próbą ukazania „normalnego" życia narkomana jest retrospektywna relacja Jacka o zdarzeniach, które miały miejsce po ucieczce z ośrodka. Wynika z niej jednak, że w życiu „ćpuna" nie ma nic pociągającego — żyje on od „działki" do „działki" i właściwie porusza się stałym torem: od handlarza (w filmie podrzędny cwaniak) do „mety". Zamiast fantazji i barwności jego egzystencji mamy obraz biologicznego uzależnienia i dzikiego bólu, który uśmierza na jakiś czas zastrzyk brunatnego „kompotu".

Trzos-Rastawiecki bardzo precyzyjnie skonstruował swój film od strony wychowawczej, gdyż daje on młodemu widzowi niklą szansę identyfikacji z ekranowymi postaciami i na szczęście nie ma charakteru „instruktażowego". W ogóle jest to film „nieatrakcyjny" i chyba dobrze. Nie ma w nim nic pasjonującego a efekty „ćpania" jednoznacznie sprowadzone tu zostały do medycznej diagnozy: zatrucie organizmu, wyniszczenie wątroby, żółtaczka, anemia. Odstraszająco działa przykład tragicznej i bezsensownej śmierci młodej narkomanki (scena otwierająca film). Przygnębiające wrażenie wywołuje ścienna gazetka w ośrodku, z fotografiami sympatycznych młodych ludzi. To gazetka-nekrolog. Jeżeli film zobaczy narkoman, z pewnością nie powie „to lipa", bo reżyser zawędrował z kamerą do prawdziwej placówki Monaru i pokazał, obok kilku zaledwie aktorów, grupę autentycznych „ćpunów" na odwyku. Nie szukał Rastawiecki korzeni polskiej narkomanii, bo być może, bardzo często wejściu w nałóg pomaga po prostu przypadek, bezmyślność, brak wyobraźni.

Jak to się zaczyna? Życiowe niepowodzenia, namowa kolegów, poszukiwanie wrażeń, szpan, eksperymenty witkacologów-amatorów, głupia fantazja? Z pewnością ułatwia sprawę beztroska i nieporadność wychowawcza rodziców, a może też łatwy (?) dostęp do „prochów" (w końcowej scenie filmu Jacek, w akcie buntu i rozpaczy, chyba nie przypadkiem wybija szybę w aptece). Gdzie? Ot, na prywatce, w dyskotece, na koncercie rockowym, na polu namiotowym itd. Po co? No właśnie! Jeżeli moda, to na co? Na powolną śmierć?: „Ideologia", styl życia? Chyba jednak bezmyślność, za którą płacić trzeba wysoką cenę.

Ratować każde młode życie, uratować choćby jedno — oto szlachetna dewiza Monaru wpisana w film Trzosa-Rastawieckiego, choć próżno by szukać uspokojenia w samym fakcie istnienia tej instytucji. W ośrodku przebywają narkomani, którzy chcą się wyleczyć, lecz gdzie są granice kuracji? (Jedna z dziewcząt szykuje się do ucieczki po blisko rocznym pobycie w ośrodku). Jak długo można żyć w izolacji od świata, w dobrowolnym zamknięciu? Ile potrzeba takich placówek, skoro narkomanów w Polsce zlicza się już w setkach tysięcy? A gdyby nawet udało się stworzyć dostateczne medyczno-wychowawcze zaplecze tego typu, czy nie groziłoby to falą narkomanii „bezpiecznej", bez ryzyka i z gwarancją leczenia?

Główną częścią filmu jest relacja z zebrania społeczności ośrodka i dyskusja nad tym, czy przyjąć z powrotem uciekiniera. Jacek swym postępkiem naruszył surowe prawo Monaru i w myśl jego litery traci miejsce w ośrodku (inni czekają na nie w długiej kolejce). Mimo wyjaśnień i tłumaczeń głos większości brzmi: przeciw! Tytułowym „...jestem przeciw" przyłącza się do tej decyzji twórca filmu. I nie chodzi mu zapewne o pozostawienie losowi potrzebujących pomocy, o wydanie wyroku skazującego, ale o uświadomienie podstawowej chyba prawdy o narkomanii. Dopóki każdy młody człowiek, który (z własnej winy, nierozwagi i głupoty) padł ofiarą nałogu, nie zechce z niego wyjść — nikt i nic mu nie pomoże. Jeśli nawet zechce, to sam odwyk (bardzo trudny i bolesny) i tak nie wystarczy. Trzeba jeszcze znaleźć własną drogę do zwyczajnej codzienności, pamiętając, że wychodzi się z mrocznej otchłani.

„...jestem przeciw" Trzosa-Rastawieckiego swą prostotą i surowością odziera narkomanię z kolorowych szat i — mimo chłodnego, rzeczowego tonu — apeluje do rozsądku wszystkich.

Wnioski: w szerokiej akcji profilaktycznej zacząć może od mówienia wprost, przełamania społecznego tabu i próby likwidacji sensacyjno-magicznej aureoli, która otacza narkomanię. Trzeba nieustannie to groźne zjawisko demitologizować. Jestem za!

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

„...jestem przeciw" (1985) scen. i reż. A. Trzos-Rastawiecki.

Bigos hultajski

KOBIETA — MONARCHISTKĄ Z NATURY?

Do takiego wniosku doszedł niejaki „Dzwon", dziennikarz tygodnika „Pro Patria" — organu monarchistów polskich. W artykule „Cuda" („Pro Patria", 1926, nr 26) wspomniany dziennikarz pisał: „Jak długo trwały monarchie, kobiety wychodząc za mąż mogły być pewne swego bytu; o ile mąż nie popełnił ciężkiego przewinienia karnego, los ich i ich dzieci był zabezpieczony". Dla uzasadnienia swych wywodów autor dopatrywał się w psychice kobiety cech szczególnych: „Kobiety są z natury swojej elementem arystokratycznym i grawitują zawsze w stronę królewskości i monarchii. Jako istoty słabe garną się pod skrzydła opiekuńcze ustroju, który może im zapewnić spokój, byt i pogodę". Jakiż był niedobry ten lud roboczy, że nie dostrzegł owych grawitacji i zrzucił z tronów różnych takich carów, kajzerów, królów i cesarzy, najmiłościwiej panujących w ościennych krajach. A swoją drogą niektóre panie (czytaj: metresy) istotnie chętnie grawitowały w stronę królewskości, zwłaszcza gdy ta królewskość potrafiła zapewnić im dostatnie życie.

NA IMIENINY JULIUSZA

Udało mi się przy jakiejś okazji zanotować taki oto majstersztyk rymotwórczy, poświęcam go więc życzliwej uwadze wszystkim PT Juliuszów;

Każdy się wzrusza
Gdy dzień Juliusza,
Bo któraż dusza
Do paraliusza,
Błoto czy susza,
Się nie porusza,
Ażeby usza —
nować Juliusza.
Jakaż katusza
Takich wysusza,
Których los zmusza
Z dala Juliusza
Dziś się znajdować.

RETORYKA

Pewien kaznodzieja, wylazłszy na ambonę, począł wołać: „Upiłem się! Upiłem się! ale nie śmierdzącą gorzałką lub szkaradnym piwskiem, ale upiłem się słowem Bożym, którym i was poczęstować myślę".

Sadok Barącz: Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.

ROZMOWA DUCHOWNYCH

Biskup jadąc w karecie spotkał jadącego kapucyna na koniu i spytał się go jak dawno św. Franciszek zaczął jeździć na koniu?

— Jak św. Piotr — odpowie kapucyn — zaczął jeździć w karecie.

Celestyn Adam Kaliszewski: Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1790.

TRAFNA ODPOWIEDŹ

Wincenty Roch Karczewski, słynny w swoim czasie pedagog, trudniący się nauczaniem między innymi młodych Grabowskich na dworze Stanisława Augusta, był człowiekiem nadzwyczaj skromnym, a na zapytania w dziedzinie nauki, jakie mu czasami natrętnie zadawano, odpowiadał:

— Nie wiem!

Jeden z dworzan, otrzymawszy podobną odpowiedź, rzekł:

— Powinieneś wiedzieć, bo za to bierzesz grube pieniądze od króla.

— Król płaci mi za to tylko, co wiem — odrzekł Karczewski — gdyby miał mi płacić za to czego nie wiem, to nie wystarczyłyby dochody całego królestwa.

Łamus humoru. Warszawa 1935.

KOMENTARZ DO „TAKICH SOBIE SKIROŁAWEK"

W trzech kolejnych porcjach „Bigosu" (nr 6, 8 i 10 z 1986 r.) ogłosiłem fragmenty luźno ze sobą związane tekstu, który w niczym nie ustępuje niektórym scenom uznawanym za nieobyczajne przez krytyków zabierających głos w sprawie głośnej powieści Z. Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach". Przypominany przeze mnie tekst wyszedł spod pióra Jana Wroczyńskiego (1882—1903), zmarłego śmiercią samobójczą studenta UJ i poety, zamieszczającego swe utwory m. in. w „Chimerze". Fragmenty pochodzą z utworu „Zwyciężyła. Jesiennej, strzaskanej harfy zgrzyt", zamieszczonego w pośmiertnie wydanym zbiorze „Gawoty gwiezdne" (Lwów 1905). Obsesyjna opowieść o Hance i Kuźmie dotyczy przeżyć palaczy opium, modnego naówczas wśród dekadenckiej młodzieży artystycznej narkotyku.

ŻYCZLIWA RADA

(dla grających w totalizatora)

Gdy totalizator rozpocznie szać kieszeń
Udzielamy wszystkim za hazard
rozgrzeszeń,
Lecz radzimy pomnieć, panowie weseli,
Przysłowie o Wojtku i o... kamizeli.
(Bocian 1900 nr 12)

Bardziej dosadnie sformułowane przysłowie brzmi, o czym powszechnie wiadomo: „Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek!"

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Władza i rozum

Rozmowa z pisarzem JOHANNESEM ARNOLDEM

Gościł w Łodzi na zaproszenie Związku Literatów Polskich **Johannes Arnold** — prezes oddziału Związku Pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Karl-Marx-Stadt. Johannes Arnold — rocznik 1928 — jest prozaikiem i autorem słuchowisk. W swej twórczości ukazuje problemy związane z tak zwaną godziną zerową, kiedy to po przegranej wojnie musiały narodzić się nowe Niemcy, przedstawia powojenne początki oraz odnotowuje różne aspekty codzienności swojego kraju. Ostatnio coraz częściej zwraca się w stronę historii.

— Jak liczne jest środowisko literackie w Karl-Marx-Stadt?

— Nasz oddział liczy 30 członków i 6 kandydatów. Kandydaci nie posiadają czynnego i biernego prawa wyborczego, poza tym nie różnią się od członków Związku Pisarzy NRD.

— Jak zostaje się kandydatem?

— Trzeba opublikować jedną książkę.

— A członkiem Związku Pisarzy?

— Po opublikowaniu dwóch książek.

— Czy to znaczy, że kandydat na pisarza po opublikowaniu drugiej książki zostaje automatycznie członkiem Związku?

— Automatycznie — nie. Ocenia się jego twórczość, przede wszystkim pod względem artystycznym. W razie wątpliwości czekamy na książkę następną. Oceny dokonuje zarząd oddziału.

— Od kiedy pełni pan funkcję prezesa oddziału?

— Od roku 1962 bez przerwy. Jestem najstarszym stażem prezesem oddziału Związku Pisarzy w naszym kraju.

— Co pana — jako pisarza — interesuje najbardziej?

— Historia. Również moja historia osobista. Pierwsza książka „Ostatni wyrok" („Das letzte Urteil") przedstawia ostatni dzień wojny i pierwszy dzień pokoju, to znaczy 8 i 9 maja 1945 roku. Opisałem w niej żołnierza niemieckiego, który znalazł się na ziemi niczyjej: Niemcy cofnęli się, Rosjanie jeszcze nie nadeszli. Żołnierz ów chce jedynie przeżyć. Nawet nie z przekonania, ze strachu. Po prostu boi się, żeby mu się nic nie przydarzyło. Ale Rosjanie nie nadchodzą, wracają Niemcy, znajdują go i rozstrzeliwują. A żołnierz ma lat siedemnaście... To moja własna przygoda, oczywiście bez owego smutnego zakończenia.

Jej kontynuacją jest w jakimś stopniu następna książka „W pierwszej godzinie" („In erster Stunde"). Opowiada ona o pierwszych powojennych miesiącach, od maja do października 1945 roku. To znowu moje dzieje w zniszczonym wielkim mieście. Ukazałem rozmaite doświadczenia młodego człowieka. Życie toczy się dalej w każdych warunkach — oto wymowa tej powieści.

— Wiem, że interesuje się pan historią Saksonii, która u nas nie jest zbyt znaną, chociaż mieliśmy przecież wspólnych władców.

— Najpierw napisałem powieść „Hieronymus Lotter". Przypomniałem w niej postać szesnastowiecznego burmistrza, pasjonata pracy i tworzenia. Interesuje mnie bowiem problem ludzi niepotrzebnych — którzy zrobili swoje i musieli odejść.

Jestem zdania, że nie miałoby najmniejszego sensu pisanie powieści historycznych, o ile nie odnosiłyby się one również — a może przede wszystkim — do współczesności. Takim ciągle i na wskroś aktualnym problemem pozostaje kwestia władzy. Władzy i rozumu. Powątpiewam, czy władza i rozum połączyły się już w naszych czasach. Wielkość, szlachetność, rozmach — to sprawy umysłu. Władza to siła. Jak to połączyć, stworzyć wspaniałą syntezę? To trudne i odwieczne pytanie. Tkwi w nim jakiś „faustyczny" fatalizm.

Najnowsza książka „Feldmarszałek Holk" („Feldmarschall Holk") rozgrywa się podczas wojny trzydziestoletniej. Chodzi tutaj całkiem jednoznacznie o sprawy pokoju i wojny. Saksonia była związana ze Szwecją przeciw Habsburgom. Holk był generałem Wallensteina. Otrzymał rozkaz podbicia Saksonii „ogniem i mieczem", aby spowodować jej przejście na stronę cesarza. Chodzi mi o to, co zrobi generał, jak się zachowa ten niezwykle wykształcony człowiek, który otrzymał rozkaz zniszczenia całego kraju.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— I jaka jest jego odpowiedź?

— Naturalnie wykonuje rozkaz. Choć stać go było na odmowę — rozkaz wykonuje z przyjemnością. Z tym większą, że w nagrodę zostaje feldmarszałkiem. Po prostu sprawy osobiste ważą najwięcej. Spotyka go jednak zasłużona kara, bowiem wtrąca się los i feldmarszałek umiera wkrótce na dżumę. Dodajmy, iż ów Duńczyk był typem karierowicza, który szukał sławy, pieniędzy i tytułów na obcej ziemi.

— Nad czym pracuje pan obecnie?

— Nad trzecim tomem tej — luźnej zresztą bardzo — trylogii. Moim bohaterem będzie tym razem wybitny matematyk Adam Ries (1499—1565). W swoim czasie był „królem" rachmistrzów. Jego zadania arytmetyczne przybierały zawsze postać zagadki, ilustrował je przykładami z życia ludu. Ten wybitny umysł użyty został przez władzę dla dobra ludzkości, dla pożytku dwóch bliźniaczych miast (Annaberg i Buchholz). Wątkiem przewodnim książki jest mądrość jako synteza rozumu i władzy. Muszę jednak powiedzieć, iż happy endu nie będzie. Synteza się nie udaje.

— Jest pan pierwszy raz w Łodzi, w ogóle w Polsce...

— Mam mnóstwo wrażeń, muszę je dopiero uporządkować. Może napiszę z tej podróży reportaż. W każdym razie nie czuję się tu obco — spotykam wszędzie ludzi otwartych i przyjaznych.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Potrzeba sporu

Tytuł tej książki nie w pełni jest adekwatny wobec zawartych w niej problemów. Te znacznie wykraczają poza domenę literatury. Mówią o rozmaitych uwikłaniach literatury polskiej ostatniego czterdziestolecia: politycznych, ideowych, socjologicznych. O straconych szansach i niezrealizowanych nadziejach. Mówią o dawnych i nowych złudzeniach, jakie naród nasz zwykł łączyć z literaturą.

Książka, o jakiej mowa, przynosi materiały z konferencji literackiej zorganizowanej z inicjatywy Wydziału Kultury KC PZPR (14 i 15 lutego 1985). Okoliczność ta wyjaśnia wiele, „nie mieliśmy do czynienia z rzeczową, spokojną, precyzyjną i fachową dyskusją o metodzie i przedmiocie — pisze we wstępie Jerzy Adamski — o kryteriach i wątpliwościach epistemologicznych, czyli o literaturze — jako — takiej — a jak — nie — takiej — to — jakiej — i — dlaczego". Uczestnicy konferencji spotykali się głównie z próbami oceny polityki kulturalnej dawnej i dzisiejszej, z opiniami formułowanymi — nierzadko — na gorąco i ad personam, co przydawało barwności wystąpieniom i podnosiło atmosferę na sali. Nie wszystkie tego ślady pozostawił redaktor, choć intencja jego wydaje się zrozumiała: wyeksponować sprawy — nie nazwiska.

Zatrzymajmy się tedy i my nad sprawami literatury, wyławiając je — na ile to możliwe i pożyteczne — z oparów polityki: tej wielkiej i tej małej. Nie chodzi tu o literacki izolacjonizm, raczej o pozostanie w zgodzie z tytułem zbioru.

To otwiera referat Witolda Nawrockiego „Krajobraz literatury w czterdziestoleciu". Autor uprawia w nim — jak sam żartobliwie przyznał — malarstwo historycznoliterackie, polegające na „punktowaniu niewielkich plam, ażeby stworzyć określony obraz". Owe punkty współgrają z periodyzacją najnowszej historii Polski i nie ma potrzeby dodatkowgo motywowania takiego stanowiska: izomorficzność jest nader wyraźna. Wizję krajobrazu literatury powojennej buduje Nawrocki z punktów-puent, wśród których zwraca uwagę istotny i praktycznie przez cały czas obecny dylemat twórczy: „Pisarz bądź decydował się tworzyć ponad racjami polityki kulturalnej, i wtedy najczęściej skazany był na milczenie, bądź racje te wyrażał, ale wówczas sam pozbawiał się niezależności i skazywał na krępujące jego swobodę podporządkowanie. Jedno i drugie budziło frustracje...". Tak wygląda centralny punkt krajobrazu literatury czterdziestolecia — w nim, jak w soczewce skupiają się osiągnięcia i klęski, w nim przeglądają się utwory ważkie oraz twórcze dramaty i rozterki, on mówi też dużo o konfiguracjach i kontredansach wielu znanych pisarzy.

Na zasadnicze pytanie — czy czterdziestolecie literackie formuje pełny obraz polskich dziejów, przeżyć i doświadczeń? — odpowiada Nawrocki zdecydowanie negatywnie, zarówno w aspekcie formalnym, jak i w uogólnieniu poznawczym. Osąd to surowy; i jakkolwiek przeciwstawia mu autor pozytywny bilans licznych dokonań cząstkowych, to z pozycji maksymalisty dopowiada: „Znaczną część winy za ten stan rzeczy ponosi polityka kulturalna, niewystarczająco konsekwentna i szczera w formułowaniu własnych programów, ale również i literatura nie jest bez grzechu, bo niecałkowicie i nie w pełny sposób potrafiła zracjonalizować własne doświadczenie, skategoryzować je i odrzucić wszystko, co rozbijało jej jedność, a tym samym osłabiało możliwości poznawcze".

Z pozycji pamflecisty napisał o „Straconych szansach prozy polskiej w czterdziestoleciu" Stanisław Stanuch. Stąd charakterystyczna stylistyka moralisty: „Głoszenie półprawd, ale i zapieranie się półprawd — oto, co obezwładniło naszą prozę i sprawiło, iż w oczach czytelników przestaliśmy być wiarygodni, a dwuznaczność i obłuda zapanowały nad naszym życiem umysłowym". Literaturę traktuje Stanuch jako funkcję postaw pisarzy. Ponieważ nie są i nie były one autentyczne, więc i dzieła muszą być zafałszowane. Proza polska — konkluduje — wypróbowała już wszystkie formy ucieczki od rzeczywistości i nie odpowiedziała na pytanie: czym jest współczesna Polska i kim jest współczesny Polak? Stanuch rozdaje ciosy na lewo i na prawo, w ferworze polemicznym nie stroni od inwektyw, trudno wszakże nie przyznać mu dozy racji, gdy powiada, iż na powyższe pytanie trudno dziś uczciwie i jednoznacznie odpowiedzieć. Śmiem jednak wątpić — dopowiadam jako czytelnik referatu — czy gdyby znalazł się ktoś, kto w sposób szczery, brutalny, uporczywy i uczciwy zdołałby literacką odpowiedź na rzeczone pytanie wyartykułować — ów ktoś doprowadziłby prozę polską do prawdziwej wielkości. Hart ducha nie zawsze rozstrzyga o wielkości literatury, zwykle decyduje tu hart pióra...

Stosunkowo dużo miejsca poświęcił dzisiejszym trzydziestolatkom Maciej Chrzanowski w zwartym tekście pod znamiennym tytułem „Wczoraj i dziś". Dystansuje się od swych rówieśników. Oskarża ich o zwężenie pola widzenia ludzkiej aktywności i kreowanie świata w próżni społecznej, historycznej i kulturalnej. Ale przecież dla większości młodych autorów dzień dzisiejszy to zaledwie połowa — jeśli nie początek — własnej drogi twórczej i jeszcze chyba przyjdzie zweryfikować oceny w tym zakresie.

Wyczerpywanie się biograficznego wątku w nurcie wiejskim skonstatował Jan Z. Brudnicki. W „Słowie o literaturze chłopskiej" poddał analizie utwory z tego kręgu opublikowane z początkiem lat osiemdziesiątych. Szczegółowa analiza potwierdza dalsze nadzieje wiązane z nurtem wiejskim od lat kilkunastu; rzecz w tym, aby utrzymać autentyczne odbicie procesów kulturowych w literaturze, aby nadać temu wymiar uniwersalny. Rola nurtu wiejskiego jako świadka i dokumentalisty przeobrażeń społecznych dobiega kresu. Chcąc zachować odrębność i przydatność powinien — jak to formułował Norwid — potęgować ludowe do Ludzkości.

Przedstawiono w referatach recepcję literatury polskiej w krajach ościennych, pokazano wybrane zagadnienia recepcji literatury Zachodu w Polsce, mówiono o literaturze na łamach czasopism nieliterackich i o ruchu literackim młodych. Klarownie zabrzmiał głos Mariana Stępnia, wyrażający „Stanowisko wobec polskiej literatury emigracyjnej po 1939 roku". Krakowski profesor przeciwstawił się redagowaniu jej do uproszczonych wyznaczników politycznych i postulował dokładne rozpoznanie tej twórczości, która — poza krajem — powstaje w wielu miejscach świata i składa się z różnych kręgów tematycznych, rozmaitych tendencji ideowych i artystycznych. Bo przecież — literatura polska jest jedna. Odnotować też warto wystąpienie Zygmunta Lichniaka upominającego się o rehierarchizację spraw kultury oraz o traktowanie szeroko rozumianej kultury jako fundamentu postaw społecznych, a nie jako swoistego instrumentarium.

Opracowana przez Jerzego Adamskiego książka nie zawiera całości materiałów, zaprezentowanych na konferencji. Te zaś, które czytamy też nie mogły — co zrozumiałe — wyczerpać problematyki literatury Polski Ludowej. Niejeden czytelnik odłoży więc książkę z uczuciem niedosytu, ktoś nie zgodzi się z ocenami, ktoś inny jeszcze powątpiewać będzie w trafność prognoz (notabene niektóre szybko zostały zweryfikowane przez obradujący w lutym 1986 roku w Warszawie zjazd ZLP).

Literaturze — jako specyficznej aktywności człowieczej — towarzyszyć musi spór. Gdy nie ma sporu, nie ma i literatury. Element sporu widoczny jest w materiałach z konferencji. Idzie jednak o to — jak sądzę — żeby pojawił się on w recepcji materiałów. Jest bowiem o co się spierać. Nie o zaprzepaszczone szanse, nie o metody i stanowiska, ale o rzetelne, sprawiedliwe i wyważone miejsce literatury w naszym życiu. Spierajmy się o rangę słowa, które nie mniejszym podlega wstrząsom i niebezpieczeństwom niż inne dziedziny rzeczywistości, w której żyjemy.

LITERATURA POLSKI LUDOWEJ. Oceny i prognozy. Materiały z konferencji pisarzy w lutym 1985 roku. Układ tekstów i wstęp: Jerzy Adamski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, s. 531, nakład 10.000 plus 300 egz., cena 350 zł.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Kronika wypadków muzycznych

Bezsilność akordeonisty

Poznańska Wiosna Muzyczna jest konkurencyjnym wobec kosmopolitycznej Warszawskiej Jesieni festiwalem polskiej muzyki współczesnej. Wprawdzie na tegorocznej (już 26) imprezie przeważały utwory skomponowane w latach osiemdziesiątych, to kilka rodzynków — kompozycji starszych — pozwalało rzucić okiem (a raczej uchem) w przeszłość i zastanowić się, jak daleko odeszła aktualna twórczość od tych klasycznych już wzorców, jak bardzo stała się nowoczesna. Gdyby serio potraktować obraz, jaki przedstawiła nam komisja programowa festiwalu, należałoby dojść do wniosku, iż to, co powstaje obecnie, niewiele różni się od muzyki sprzed trzydziestu czy pięćdziesięciu lat. Nie było na festiwalu żadnych skandali, prowokacji zmuszających do zastanowienia się, czy mamy jeszcze do czynienia z muzyką, czy już nie.

Konsumpcja przebiegała gładko; oceniališmy, który kąsek jest smaczniejszy, lepiej przyprawiony, czy kolejność dań jest właściwa. Wiadomo jednak, że awangarda muzyczna wciąż produkuje bardziej pikantne potrawy — często niestrawne dla nie przygotowanego podniebienia. Nie jest to już działalność tak powszechna jak w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy prześcigano się w pomysłach rozsadzających tradycyjne poglądy na muzykę, ale jednak wciąż obecna. Z tego punktu widzenia prezentacja współczesnej twórczości wydawała się niekompletna. Zabrakło w niej np. teatru instrumentalnego — zjawiska opartego na założeniu, że muzykę można nie tylko słuchać, ale i oglądać, z którego wynikała praktyka łączenia gry na instrumentach z działaniami aktorskimi.

Co powoduje, że festiwale — nie tylko poznańskie — stają się coraz bardziej konserwatywne? Czy organizatorzy doszli do wniosku, że awangardowe poszukiwania straciły swą rację bytu, atrakcyjność dla publiki, znaczenie dla rozwoju muzyki i że pora powrócić już do klasycznych wartości? A może twórcy łagodniejsi w swych poczynaniach wzięli górę nad ekstraawangardystami, zyskali większą siłę przebicia? Trudno też odmówić racji tym, którzy twierdzą, iż wszystko to dlatego, że obcięto fundusz na remonty instrumentów demolowanych w czasie koncertów. Faktem jest, iż łagodnymi stali się nie tylko starsi kompozytorzy, ale i ich młodsi koledzy.

Najbardziej śmiałym utworem okazał się „Model V" Bogusława Schaeffera, stworzony przed piętnastu laty — w czasach, które awangardyści wspominać będą z łezką w oku. Grając ten utwór, pianista nie tylko przyciska klawisze, ale również wdziera się do wnętrza instrumentu, aby tam szarpać i uderzać jego struny. Na dodatek grze towarzyszą dodatkowe efekty: pomruki, nucenie pod nosem, wykrzykiwanie sylab oraz gesty, grymasy i słowa komentarza, wyrażające stosunek do wykonywanej muzyki.

W sposób niekonwencjonalny wykonuje również swoje „Narracje muzyczne" Janusz Kohut. Używając palek perkusyjnych, łańcuszków, pudełek, taśm itp., drażni on wnętrzności fortepianu, uzyskując efekty dźwiękowe właściwe instrumentom smyczkowym, cymbałom, perkusji... Eksperymenty dźwiękowe tego typu łączą się w „Narracjach" z improwizacjami o lekko jazzowym, swingowym rytmie, który był dodatkowo zaakcentowany przytupywaniem nóg obutych w sandały (nb. znakomicie pasujące do fraka).

W pozostałych utworach instrumenty wykorzystane były w sposób tradycyjny, a artyści ubrani bez ekstrawagancji. Całkowite przeciwieństwo wobec powyższej nie skomponowanej kompozycji na fortepian szarpany stanowiła „Passacaglia" Jerzego Bauera, napisana w oparciu o solidną technikę kompozytorską i z głębokim ukłonem w stronę romantyczno-patetycznego brzmienia fortepianu.

Potrzeba odświeżenia szaty dźwiękowej muzyki objawiała się czasami w stosowaniu nieszablonowych zestawień instrumentów — np. fletu z wiolonczelą („Capriccio" Andrzeja Kurylewicza), głosu sopranowego z dzwonami (bardzo efekawy „Relief IV" Andrzeja Krzanowskiego), czterech saksofonów (w Kwartecie saksofonowym Wiesława Rentowskiego). Najbardziej nowoczesne ze względu na aurę dźwiękową wydawały się utwory elektroniczne. Komponując je (a raczej montując na taśmie magnetofonowej), twórca ma do dyspozycji nieomal nieograniczone możliwości syntezy brzmień i szeregowania ich w dowolne zdarzenia muzyczne. Swoboda to zdradliwa, zmuszająca do tego co najtrudniejsze — samoograniczenia i samokontroli. Często okazuje się, że ciekawe i obiecujące koncepcje formalne wcale nie gwarantują osiągnięcia czytelnej i cieszącej ucho realizacji dźwiękowej.

Spośród zaprezentowanych w Poznaniu utworów elektronicznych dwa dowodziły dużej umiejętności panowania nad syntetyczną materią: „Dla wszystkich ten sam ogień" Marka Chołonieckiego (tytuł i pomysł formalny zaczerpnięty z opowiadania Cortazara) oraz „Amphora" Ryszarda Szeremety. Szeremeta stworzył przy tym udane połączenie warstwy elektronicznej z partią saksofonu graną na żywo (David Pituch): obie warstwy korespondowały ze sobą tworząc organiczną całość, czego nie można było powiedzieć o analogicznym mariażu taśmy z perkusją w „Girare" Anny Zawadzkiej.

Programowy rozdźwięk pomiędzy perkusją i akordeonem panuje z kolei w „Postludium" Jolanty Markowskiej. Zgodnie z komentarzem autorki, utwór jest „muzycznym wyrazem skrajnego stanu emocjonalnego, pogranicza buntu i bezsilności" (w ostatnim takcie słyszymy cichutkie i cieniutkie piiii... wydawane przez akordeon Bogdana Dowlasza). Nie weselszy obraz ludzkiej kondycji (własnej czy cudzej?) rysuje Marek Jasiński w „De profundis", które „wyrażać ma gwałtowne, rozpaczliwe, dramatyczne wołanie człowieka przytłoczonego sprzecznościami i przeciwieństwami losu".

Żaden utwór nie opiewał weselszych stanów duszy — widać czasy takie, że wypada raczej cierpieć i myśleć o śmierci. Pewnie też dlatego ożywiła się twórczość inspirowana tematami religijnymi. Było kilka kompozycji tego rodzaju na poznańskim festiwalu. Niektóre z nich wydawały się niedojrzałymi płodami ducha — pełnymi płycizn wyrazu muzycznego, pretensjonalności, sztuczności. Dwie natomiast dostarczały pełnej satysfakcji estetycznej. „Anenaiki" Augustyna Blocha, czerpiące swe piękno z elementarnych zwrotów śpiewu liturgicznego są jednocześnie nowoczesne w brzmieniu i archaiczne w surowej kontemplacyjności. „Cztery utwory liturgiczne" Pawła Szymańskiego posiadają z kolei jakąś wewnętrzną energię emanującą na zewnątrz i przenikającą odbiorcę. Wspaniała interpretacja sopranistki Olgi Szwajgier uczyniła z kompozycji Szymańskiego muzykę przejmującą i niewytłumaczalnie prawdziwą, godną tego, aby w narodowym skarbcu stanąć obok „Stabat Mater" Szymanowskiego.

JACEK SZERSZENOWICZ

TADEUSZ SŁUPECKI

Udręki młodości

Nagle dostrzegłem trzymającą się za dłonie parę. Drągal w wytartych dżinsach i dziwnie znajoma dziewczyna. Ta sama krótko ostrzyżona czupryna, hardość w trzymaniu głowy... W sercu poczułem skurcz, potem ulgę: to nie Hala, to ktoś inny, podobny do tamtej sprzed piętnastu. Usiadłem na leżaku, widząc jak obserwujesz mnie czujnie. Znasz tę smarkulę? spytałaś. Pokręciłem przecząco głową. Ciągnęłaś: na jej widok zrobiłeś się taki... śmieszny. Jakbyś chciał ją pogłaskać, zarazem przetrzepać jej skórę. Odparłem w zamyśleniu: może właśnie tak powinienem był kiedyś z kimś postąpić? Patrzyłaś na mnie pytająco. A we mnie narastało pragnienie: wyrzucić z siebie to, co uraża mnie od lat, nie daje się zepchnąć za góry i rzeki świadomości! Wyrzucić? wahałem się. I dlaczego przed tobą? Niedawno poznaną, obcą kobietą? Właśnie dlatego! Zwierzamy się zwykle przed kimś bardzo bliskim albo bardzo obcym. Wystarczy chwila psychicznego rozluźnienia, prący na powierzchnię świadomego podświadomy wir...

Mówiłem ci więc o Hali: włosy obcinała krótko, głowę nosiła hardo, kropa w kropkę niczym ta dżinsowa dziewczyna. Wiedziała czego od życia chce. Zabawne: tyrała w księgowości, choć wolała teatr, malarstwo, świeżo zrobiła maturę. Mogła już wtedy odfajkować egzaminy na wyższe studia, próbować zostać kimś. Dlaczego tak nie uczyniła? Chyba wiem. Z początku chciała zarobić na kiecki, na elegancję i szyk, wrosnąć tym w dorosłość. Kiedy widziała przed sobą wiele celów, zwykle wybierała jeden. A potem znów chciała mnie. Dlaczego, nie wiem do dziś. Może: bo to byłem ja? Bo imponowały jej moje studia? Ambitne zamierzenia? Upór z jakim parłem w życie? Miałem wtedy dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat, kto tego nie pamięta, to dynamit. Można nim obalić każdy mur, każde zamknięte drzwi. Wierzyłem: w życiu dam radę wszystkim takim drzwiom. Ona też w to wierzyła (To świadczyłoby o niej korzystnie: trochę uczucia? sentymentu? zmysłowego pociągu do mnie w niej jednak było). Chciała te drzwi wyważać wspólnie ze mną, razem iść przez ten wredny młodym świat. Później to chcenie nazywała nawet miłością, choć w tym duecie kochałem tylko ja. Ona widziała we mnie jedynie to, co miało rozwalać każdy mur.

— A tobie tego było za mało? — stwierdziłaś. Zerknąłem ku tobie nieufnie i mówiłem o Hali, jak lektor, objaśniający nagrany w innym języku film.

Pierwszy raz pocałowałem ją w niedzielę, był kwiecień, podmiejski las. Uważaj! Bo ktoś pomyśli, że bawimy się tu w tatę i mamę! uśmiechnęła się do mnie. Umknęła mi zwinnie i omijając pnie rzadkich drzew, ruszyła ku pobliskiej szosie. Dziewczyna z zasadami? Tak, to nie było „podbijanie ceny", pobudzanie we mnie unikami seksu, lecz autentyczne, moralne zasady, choć nasza epoka nie sprzyjała zasadom, oprócz jednej: sukcesu, za każdą cenę. Było w niej chyba także przekonanie, że sprawy między kobietą i mężczyzną są zbyt piękne i ważne, by sięgać po nie jak po szklankę wody z ulicznego saturatora. Wydawało się jej (wina domu? szkoły? literatury?) — paradoks! — jak tym biednym łatwym dziewczynom, co facetów ściskają taśmowo, że miłość = seks. Wystarczy, sądziła, pobudzić w kimś i w sobie seks, przeżyć uroczysty ślub, i ciach! miłość cieknie ciurkiem, niczym z sokowirówki. Podstawiać tylko szklanki i pić! Trzydzieści, pięćdziesiąt lat, póki na głowie ostatni siwy włos. Czułem, naiwne to, ale nie wyrachowane. Tej wiary: ślub łączy, nie wpoił w Halę żaden prezes międzynarodowego koncernu. Wypływała z obyczajowej tradycji — skóry narodu — i z autentycznie kobiecego pragnienia. Z tęsknoty za trwałością, choć w życiu właśnie o nią najtrudniej. Godziłem się z tym. A w lesie bywaliśmy nadal — sami, z koleżankami, z jej rodziną, wrastałem w tę glebę szybko. Jesienią i zimą, we dwoje lub znowu z rodziną, tańczyliśmy na five'ach, nocnych zabawach. Przywierała tam do mnie, ocierała się w tańcu ciałem, policzkiem, włosami. Wciąż jednak strzegła się, gdy zostawaliśmy w mieszkaniu sami, aby nie ulec mi przed ślubem. Będziesz mnie za to później szanował, mówiła, to niezła tradycja, zobaczysz. Pragnąłem Hali, i to pragnienie zmieniało się we mnie w namiętność, w rodzaj opętania. Także dzięki cechom jej charakteru: lubiła dom, rodzinę. Wiecznie w tym domu zagonioną matkę, ojca-robotnika, dwóch braci i siostrę — urzędniczych szaraczków. Lubiła od nich wyjeżdżać i do nich wracać, cieszyć się na nowo ze znajomych twarzy, mebli, ścian. Także z pluszowej, ośmieszanej w antymieszczańskich powieściach kanapy. Zwijała się na niej w kłębek (matka krzątała się wtedy w kuchni), wspierała głowę o moją pierś. Patrzyła na mnie brązowymi oczami, mówiła o moich studiach, o naszej przyszłości. „Będziesz wybitnym dziennikarzem, a ja ci poprowadzę dom. Będą w nim bywać artyści, pisarze, może ministrowie. Poza tym podróże, bankiety, teatralne premiery. I musisz dużo pisać. Dla mnie, dla prasy, dla wydawnictw. Wybijesz się, zrobisz karierę, teraz ona stoi, jak drabina przed każdym. Tylko mocno trzymać się szczebli i się piąć". Uwielbiała ruch: kupować, urządzać, przestawiać meble, wazony. Mruczała godzinami — kobiecy kot? — tolerując mą dłoń na piersi lub kolanie, o naszym ślubie: zobaczysz, zrobię cacko z naszego mieszkania. Nowoczesne meble, reprodukcje dzieł słynnych malarzy, później autentyki, komfort, wygoda, szyk. Bo z życia trzeba coś mieć... Zarazem był w niej głód (rewanż za nieciekawe życie rodziców?), nienasycenie światem. Potrafiła jechać przez pół Polski na mecz piłkarski, międzynarodowe targi, występy piosenkarza z zagranicy. Ulegałem tym pasjom, przeżywałem emocje kibica, liczyłem strzelone gole. Później stygłem, dziwiłem się sobie, kiwałem głową nad sobą, nad jej pasjami. Zarażała mnie nimi, a jednak wolałbym, aby były inne. Mniej prymitywne, subtelniejsze, bardziej intelektualne. Wtedy ocierała się o mnie — znów ten kobiecy kot! — i wpadała w śmiech. Denerwujący, pewny siebie, łaskoczący, słyszałem w nim jej ukrywaną przede mną nagość. „Powiesz mi po ślubie, gdy zostaniemy sami, co będziesz wolał, mój intelektualisto!". Pożerałem ją wzrokiem, rozbierałem w myślach do naga. Zarazem nękał mnie nieustannie inny głód. Potrzeba obcowania z ludźmi nieprzeciętnymi, sporów o wielkie problemy świata. O idee, religie, naukę, malarstwo, literaturę, czasem, jak poranna gimnastyka, brydż. Świadomość tego fermentowała we mnie. Tworzyła trujące jady i kwasy, osad niezadowolenia...

Nagle zamilkłem, zerknąłem ku tobie podejrzliwie. Co mi buszuje w głupim łbie! Obnażać się przed tobą, jak stuknięty ekshibicjonista! Patrzyłaś na mnie uważna, skupiona, poza tym nic, nawet słowa zachęty.

Jeśli cię śmieszę lub nudzę, nie musisz tego kryć. Każdy ma inny próg śmieszności i nudzenia — burknąłem. — Po prostu, tak to uczucie wtedy przeżywałem. Wydawało mi się moim odkryciem kosmosu, prywatną podróżą wśród gwiazd. Czymś przez to niezwykłym, niepowtarzalnym, wyjątkowym. Pragnąłem, by wszystko, co działo się między mną a Halą miało ten wymiar. Spotkania, pieszczoty, gesty, spojrzenia, sny. Nagłówki w listach też. „Kochany Leszku!", przedrzeźniałem, tak pisze się do kumpla lub wujka! W miłości nawet słowa powinny mieć własny, indywidualny styl! Wiem, rozumowałem jak szczeniak, to było śmieszne, zarazem niepowtarzalnie młode. Napęczniałe egzaltacją pierwszego uczucia. Tego jednak już nie rozumiała. Podobnie jak mojej zazdrości o nią, o nie ze mną spędzoną godzinę, o z kimś innym przetańczony taniec. To mnie bolało, dziwiło. Czasem zabierała mnie na prywatki u biurowych kolegów. Zaprawiali się wódą, podszczypywali, wygłupiali w tańcu, obrzucali się haftowanymi poduszkami. Bawili się na tapczanie w „górę siana", krzyczeli, kotłowali się w plątaninie rąk i nóg. Patrzyłem na to z boku, niby na jakieś dno. Dziwiłem się Hali, że to ją wciąga, podnieca i że ona mnie z tego zarazem jakby wyłącza. Broni przed natrętstwem koleżków, przed rozlewaną zbyt często w kieliszki wódą. Godzi się z moją innością, więcej, nią się szczyci. Jak innością schwytanego Yeti, człowieka śniegu. Ciekawi cię, skąd to rozdwojenie w jej psychice? Pociąg do prymitywizmu i do jego przeciwieństwa? Do koleżków, kotłowaniny na tapczanie i do mnie, przybysza z innej planety? Nie rozumiałem tego i chyba nigdy do końca nie zrozumiem. W każdym z nas bywa coś niezrozumiałego dla innych lub osądzanego fałszywie. A wtedy, już po paru miesiącach, wiedziałem: ją interesuje głównie to, co w życiu powierzchowne, naskórkowe, piana, błysk. I chce w świecie coś znaczyć, ale u boku mężczyzny. Nie pragnęła sama zostać kimś wybitnym, cenionym, choć miała talent do farb. Powiesz: żądałem od niej zbyt wiele. Faktycznie, ale jeszcze wyżej podnosiłem poprzeczkę przed sobą: dążyłem do absolutu. Myślałem: wszystko, albo nic, znaczyło to jednak „wszystko". Wtedy jeszcze wierzyłem w takie możliwości. W wielką miłość, wielki sukces w wybranym zawodzie, w niełatwe, lecz piękne życie. Chciałem je przeżyć jak fascynującą, zarazem mądrą i uczciwą ludzką przygodę.

Znowu twoje milczenie. Patrzyłaś na mnie cierpliwie, poza tym nic, ani słowa dopingu. Ile taktu ma ta facetka! pomyślałem o tobie, znowu tobą nieco zdziwiony.

Ścieraliśmy się z Halą — prądy dwóch wpadających do siebie rzek — przez dwa lata. Także i z mojej winy: co roku byczyłem się na kolejnym studenckim obozie, smażyłem tam na słońcu, jak teraz z tobą. Grałem w kosza i siatkę, pływałem w jeziorach, łaziłem z kolegami po górach. A ona, korna niewolnica biura, tyrała. Po powrocie do domu siadała na leżaku, z kryminałem w dłoni, na balkonie rodziców. Współczesna Penelopa, czekająca na powrót swojego Odysa. A ja dopiero później zrozumiałem, jak te moje podróże musiały ją uwierać. I czemu uciekała z tego balkonu do kumpli i kumpelek, na dalekie wycieczki, do innych miast i wsi. Niekiedy nocowała z tą bandą w upchanych sianem stodołach, nie był to jeszcze w kraju czas własnych namiotów, śpiworów i campingów. Później z tych wycieczek spowiadała mi się w listach. Dziś wiem, nie były to żadne seks-party w stodole, ale wtedy... Posyłałem do niej listy-bumerangi, nieprzytomny z zakochania, groziłem rewanżem. Odpisywała: „Ponuraku! Licz się z potrzebami młodej dziewczyny!". I kąśliwe Post Scriptum: „Życzę przyjemnych przeżyć z obozowymi flamami". Po tygodniu wróciłem do Łodzi: telefon do biura Hali, spotkanie na ulicy. Gdzie, mimo gniewu, w przypływie pożądania, nagle ją pocałowałem. Odprężyła się: czyżbyś, ślimaku-wędrowniku, zapomniał na obozie o rewanżu, jakim mi groziłeś? Nie rób ze mnie balona! — mruknąłem.

Wtedy, Nino, uśmiechnęłaś się po raz pierwszy.

— Te przypływy i odpływy — powiedziałaś. — Miłość i zazdrość, przyciąganie i odpychanie, dąsy i godzenia... Jakie to urzekające!

— Wiesz, niekiedy myślę o tym podobnie — przyznałem. I nagle gdzieś w mózgu mały popłoch: to wyznanie przeczyło temu, co sądziłem o Hali przez pięć ostatnich lat. Wyłączyłem się na moment — joga? — z tarasu, na którym siedzieliśmy, z moich zwierzeń, odłożyłem je — jak słuchawkę nie istniejącego między naszymi leżakami telefonu. Nie interesowało mnie (wybacz, Nino!) że zostałaś ze swoją przy uchu. Myślałem: jak to właściwie we mnie jest teraz z Halą? Czy tylko ją nienawidzę? Nienawiść... (ważyłem to określenie w sobie), po co tak mocne słowa? Może istniały we mnie i nadal są — dwa uczucia do Hali? Pożądanie (nie chciałem myśleć: miłość) i właśnie co? Niechęć? pogarda? rozgoryczenie? żal — to wszystko i stany odwrotne? Wymykające się kontroli, autonomiczne? Nie wiadomo w jakich suterenach mej psychiki przetrwałe? Spychane w podświadomość, lecz ciągle obecne? Naraz zwietrzyłem grożące stamtąd niebezpieczeństwo. Chaos, jaki te sutereny mogły wnieść w niemiłe mi, lecz już ustalone życie. W utrwalone sądy o Hali, w moje do niej teraźniejsze uczucia. Budził się we mnie niejasny niepokój, nieokreślone, lecz nie niemieckie pragnienia. Uciekać od tego co niejasne, niedopowiedziane nakazywał instynkt, wybrałem więc ucieczkę w zwierzenia. Podniosłem słuchawkę nie istniejącego między mną a tobą telefonu. — Nino, nie bierz na serio wszystkiego co wygaduję o sobie i Hali — powiedziałem. Nie uwierzysz, ile w niej było kobiecej mściwości, pragnienia odwetu. Zaskakiwała mnie, z cicha pęk, nagłymi pomysłami. Zimą wyjeżdżała — teraz ona beze mnie! — na wczasy, do modnych miejscowości. Zmieniła się w Odysa, ja — w opuszczoną Penelopę. Opisywała w listach wczasowych podrywaczy, dancingi z nimi, wycieczki. Był w tym rewanż za moje letnie podróże, chęć pobudzenia we mnie zazdrości, i — paradoksalne — szczerość. Drażniła mnie stylem myślenia i bycia, lecz nigdy nie kłamała. Albo prawie nigdy. Ten styl uważała za właściwy i chciała, bym włożył go na siebie dobrowolnie niby obrożę. Byłem za młody, aby rozgryźć te kobiece gry, jej listy wpędzały mnie w ciemne zaułki nieufności. W koperty moich listów ładowałem tony zazdrości, niedobrych, kąśliwych słów. Odpisywała z goryczą, nieświadoma błędów swej strategii: „czemu ty nie masz do mnie zaufania? Ono potrzebne jest nam jak ślub". Bo irytowało ją także moje niezdecydowanie, przedłużanie narzeczeństwa, to, że mimo narzuconej mi ascezy (nie potrafiłbym jej zdradzić), nie spieszyłem się do urzędu stanu cywilnego. Tak mało ci na mnie zależy? pytała nieraz, obrażona. Łagodziłem ją, wymyślałem tysiące przeszkód. Ów stan niezdecydowania w ustaleniu naszej przyszłości — znowu paradoks! — właściwie mi odpowiadał. Przedłużałem go wszystkim, także podróżami Odysa po studenckich obozach. Co kryło się za pragnieniem, aby jeszcze przed ślubem była moją Penelopą? Sądzę, podświadoma chęć jej sprawdzenia. I równie podświadome pragnienie rewanżu, za wycierpiane od niej zło. Pytasz, Nino, czemu w tej sytuacji z nią nie zerwałem? Zastanawiałem się wtedy sam i nie umiałem sobie tego zerwania wyobrazić: było dla mnie jak koniec świata, śmierć. Na małżeństwo z Halą też nie mogłem się zdecydować.

— A zło, które ci wyrządziła? — spytałaś.

— Należało do bardzo subtelnej kategorii zła. Trudno jednoznacznie je potępić lub usprawiedliwić. Powodowało w mojej psychice nieprzeczuwalne, nie dające się usunąć skutki. Jak w przypadku gnijących od środka ziemniaczanych bulw — mruczałem w wyimaginowany telefon między leżakami. — Halę poznałem podczas wiosennych egzaminów na drugim roku mych studiów. Paliłem się wtedy — wybacz, znów się powtarzam — do redaktorskiego tytułu. Każdy egzamin, sądziłem, to kolejny próg do reporterskiej sławy. Przekraczałem te progi z uporem. Ślęczałem nad podręcznikami, lekturą, nie miałem czasu dla niczego i nikogo, nawet dla Hali. Ale ona już we mnie była, jak pożar w kopalni, ogień w łąkach, co nadżera torf. Czasem wyrywałem się książkom, wpadałem do jej mieszkania, sprawdzałem jej istnienie dotykiem miękkich włosów, ciepłej, kobiecej dłoni. Nie wierzyłem, aby nie czuła podobnie. By mogła kochać mniej lub inaczej, śmiać się do innych, chcieć z nimi tańczyć, spacerować, chodzić do kina. To byłoby, sądziłem, okrutne, sprzeczne z istotą miłości, jej zdradą. Potem przyszła ta niedziela, pozornie drobiazg, głupstwo: Hala przetańczyła ją w zamiejskim lesie, podrywał ją tam zamożny facet, gdy ja wkuwałem do egzaminów. Myliłem definicje, zdania, litery. Popędzałem spojrzeniami wskazówki zegara, przywoływałem przez okno noc. Po zmroku pobiegłem przez wyludnione ulice, zastukałem do drzwi jej mieszkania. Nikogo. Schody, parter, ciemna brama, pusty chodnik ulicy. Dwadzieścia kroków do rogu, stop, i z powrotem. Wzrokiem opukiwałem szyby wracających zza miasta tramwajów, rozdętych tłumami, twarz i sylwetkę każdej kobiety, stukającej po chodniku obcasami. Nadeszła o północy, zamarszczyła brwi: ty nie nad książką? Nie zrozumiała nic z mojego czekania. To mnie zabolało: tak odmiennie przeżywać ten sam dzień? Byłeś naprawdę młody! — to, Nino, twój uważny, życzliwy głos. Puściłem go mimo uszu, trzymałem się oburącz słuchawki nie istniejącego telefonu: przyszło więc pierwsze rozczarowanie. Potem drugie, piąte, dziesiąte. I znowu coś ekstra: służbowy wyjazd Hali do Gdańska, na trzy miesiące. Mogła nie jechać, a o ten wyjazd zabiegała. Nie kryła, szło o jej poprzedniego chłopaka, po liceum urządził się na wybrzeżu. Nie czuła już do niego nic, przedtem, twierdziła, też niewiele: ot, szkolny cacuś do spacerów. Chciała jednak pogrzebać w popiołach tej smarkatej sympatii. Nie potrafiłem jej postępku ocenić chłodno, byłem wtedy chory. Odwiozłem Halę na dworzec, przekonany, że odjeżdża na zawsze. Przez trzy miesiące chorowałem: angina, komplikacje, zastrzyki, z trudem wchodziłem po schodach. I ta myśl: znowu odeszła, w trudnej dla mnie sytuacji. Dla kolejnej zachcianki. Po trzech miesiącach zatelefonowała z biura: wróciłam, odwiedzisz mnie? Długo wahałem się, zanim odparłem: tak. Reszta, to już epilog tego wahania: zerwałem z nią. Dopiero później, po dwóch latach, ale zerwałem.

Fragment powieści przygotowywanej do druku.

Kronika kulturalna

II ŁÓDZKIE DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

NIEZWYKLE bogato przedstawia się program obchodów tegorocznych, już drugich Łódzkich Dni Kultury Robotniczej. Impreza ta chociaż z niewielkimi tradycjami, już na dobre zadomowiła się w pejzażu majowych imprez miasta. W momencie kiedy informacja ta ukaże się w gazecie obchody będą zaledwie, albo już, na półmetku. Nie pora więc na podsumowanie ich, ale możemy jeszcze zaproponować kilka niewątpliwie atrakcyjnych imprez. I tak zapraszamy wszystkich chętnych codziennie do pasażu Schillera i ZMP. Odbywać się tam będą koncerty plenerowe z udziałem amatorskich zespołów artystycznych: ZDK ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex", ZDK ZPB im. Sz. Harnama „Rena-Kord", Górniczej Kapeli „Walynclioki" z Jastrzębia Zdroju, grupy instrumentalno-wokalnej RSTK z Poznania, Kabaretu RSTK „Osa" ze Świdnika, koncert kapel folkloru miejskiego. Drugim miejscem, równie bogatym jak pasaże w imprezy, będzie w tym okresie ZDK „Poltex". Odbędzie się tam koncert dziecięcych zespołów artystycznych zakładowych placówek upowszechniania kultury „Harnam", „Poltex", „Uniontex" pt. „Dzieci — dzieciom", koncert kapel folkloru miejskiego. Ponadto w Teatrze Wielkim odbędzie się koncert amatorskich zespołów artystycznych, a także rozstrzygnięcie konkursu plastycznego dla dzieci. Poza wymienionymi już imprezami polecamy szczególnie kiermasz książek, Turniej Jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika — Wiosna '86, a także wystawę malarstwa nieprofesjonalnego twórców robotniczych środowiska katowickiego i jarmark rzemiosła łódzkiego.

WYDZIAŁ Oświaty Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna i Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Górna organizują w dniach 22—27 maja br. **Wiosnę Poetycką na Górnej.** Program wiosny jest niezwykle bogaty i obejmuje: kiermasz książek Wydawnictwa Łódzkiego z udziałem autorów, wystawę pt. „Młoda poezja łódzka", a także turniej poezji miłosnej. Wysłuchać będzie można kilku recitali z udziałem znanych wykonawców: Leszka Długosza, Jacka Zwoźniaka, Andrzeja Brzeskiego, Jana Wołka i Macieja Zembatego. Odbędą się także spotkania poetyckie z Tadeuszem Śliwiakiem, Wojciechem Kawińskim i Bogusławem S. Kunde. Zorganizowano także prezentację polskiej poezji emigracyjnej, twórczości Stanisława Balińskiego oraz grupy poetyckiej CENTAURO. Wystąpi także Teatr Poezji „Antidotum" ze spektaklem „Kim jestem" według poezji Edwarda Stachury.

TEATR Studyjny 83 im. J. Tuwima przygotowuje w chwili obecnej nowy spektakl przeznaczony dla najmłodszych widzów. Jest to pozycja ze współczesnego repertuaru francuskiego, autorstwa **Raymonda Cousse pt. „Pasztet z królika".** Występują: Ewa Biała, Marek Cichucki, Tomasz Kubiatowicz i Tadeusz Trygubowicz. Spektakl reżyseruje Filip Zylber. Scenografię przygotował Stanisław Muras, muzykę Janusz Maciej Grzelązka. Niewątpliwą atrakcją jest występ żywego królika, o którym jest ta prawie kryminalna historia. Premiera odbędzie się 24 maja br.

W OKRESIE od 5.V. do 8.V.1986 r. PTL „Pinokio" na specjalne zaproszenie Ogólnopolskiego Ośrodka Sztuki dla Dzieci wziął udział w kolejnym Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu. Łódzki teatr przedstawił tam **„Krakowiaków i Górali" Wojciecha Bogusławskiego** z muzyką **Jana Stefaniego,** w reżyserii **Wojciecha Kobrzyńskiego** i scenografii **Alego Bunscha i Ewy Przemyckiej.** Spektakl ten uzyskał najwyższe nagrody na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu oraz został uhonorowany Srebrną Łódką. Przedstawienie „Krakowiaków i Górali" będzie też zaprezentowane, na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, na XII Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalek w Bielsku Białej w dniach 19—25 maja 1986 r.

W DNIU 10 maja br. odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu **„Życie codzienne w Łodzi w latach 1939—1945 we wspomnieniach dzieci, młodzieży i dorosłych".** Jury pod przewodnictwem prof. dr hab. Bronisławy Kopczyńskiej-Jaworskiej przyznało następujące nagrody: I nagrodę otrzymała **Anna Baśko.** Trzy równorzędne drugie nagrody otrzymali: **Henryka Żyndul, Sabina Krystyna Olszewska, Marian Jakiel.**

Trzy równorzędne trzecie nagrody otrzymali: **Jerzy Drobnik, Wanda Przepiórkowska, Wacław Kubiak.**

Ponadto jury przyznało cztery wyróżnienia **Stefanowi Kaczmarkowi, Marii Szymonowicz, Ryszardowi Kasprowiczowi, Annie Wojciekan.**

Równocześnie nagrodzonym oraz wszystkim uczestnikom wręczono podziękowania na piśmie za znaczny wkład pracy w dokumentowanie wiedzy o losach naszego miasta w latach wojny i okupacji.

W DNIU 10 maja br. odbył się w DDK Łódź-Śródmieście **I Turniej Jednego Wiersza o nagrodę im. Władysława Stanisława Reymonta.** Jury pod przewodnictwem dr. Henryka Pustkowskiego i Jerzego Jarmołowskiego dokonało następującego podziału nagrody: nagrodę główną otrzymał **Marek Czuku** za wiersz pt. „WIDOKI", wyróżnienia zaś otrzymali: **Anna Wojciekan, Ryszard Krauze, Anna Wadowska.** Spotkanie zakończył recital piosenki autorskiej Ryszarda Krauzego.

Polemiki • Listy • Opinie

„MANEWRY NA SZYNACH"

Artykuł red. Jolanty Wrońskiej pt. „Manewry na szynach" zamieszczony w „Odgłosach" Nr 17 z 26 kwietnia 1986 r. wywołał powszechne oburzenie wśród pracowników węzła kolejowego w Tomaszowie Mazowieckim. Autorka tego artykułu usiłuje przekonać społeczeństwo, że wszyscy kolejarze stanowią środowisko w niczym nie różniące się od grupy określanej powszechnie „marginesem społecznym". Według red. J. Wrońskiej w przedsiębiorstwie PKP panują:

1. Totalne pijaństwo. Kolejarze piją gdy okociła się królica (z radości) lub gdy pasażerowi obcięto nogi (ze smutku). Piją przed przystąpieniem do pracy dla lepszego samopoczucia i po pracy na spotkanie wolnego dnia. Autorka dokonuje analizy przyczyn katastrof i wypadków kolejowych i ustala ich kolejność: wódka, nieuwaga, głupota i pośpiech i uprzedza, aby unikać korzystania z usług kolei po 1-wszym i 15-tym każdego miesiąca (dni wypłat), bo w okresie tym katastrofy i wypadki są prawie pewne.

2. Kradzież na szeroką skalę. Kolejarze kradną wszyscy i wszystko. Trzeba mieć naprawdę dużo pieniędzy na wódkę, skoro na jednej nastawni znajduje się kilkaset pustych butelek, których nikomu nie opłaca się wynosić.

3. Niesamowity bałagan organizacyjny i brak egzekutywnego zarządzania (dosłownie w artykule „bajzel") w warunkach konieczności zachowania pełnego bezpieczeństwa ruchu i ciągłej intensyfikacji przewozów.

4. Swoisty terroryzm i sieć mafijna, np. gdy mafii sprzeniewierzy się dyżurny ruchu, to na jego konto powoduje się katastrofę pociągu pasażerskiego.

5. W końcu XX wieku króluje na PKP w najczystszym wydaniu ustrój feudalny w połączeniu z nagminnym, amoralnym prowadzeniem się pracownic kolejowych.

Artykuł przedstawia społeczeństwu, że pracownicy kolejowi, to ludzie wyjątkowo prymitywni, niedouczeni, pozbawieni jakichkolwiek wartości etyczno-moralnych i przejawiający jedynie swoiste cwaniactwo. Kierownicy jednostek kolejowych, o ile nie szefują bandom przestępczym, to kompletni głupcy, którzy nie potrafią pić i kraść, nie mający żadnych kwalifikacji nawet na dużo niższe stanowiska i absolutnie pozbawieni autorytetu. Artykuły w takiej formie nie noszą nawet znamion krytyki, lecz bezpośrednio naruszają godność osobistą ludzi pracy, pełniących odpowiedzialną służbę narodowi w wyjątkowo trudnych warunkach.

Egzekutywa POP PZPR węzła PKP w Tomaszowie Mazowieckim w imieniu załóg jednostek kolejowych węzła składa na ręce Obywatela Redaktora Naczelnego „Odgłosów" ostry protest przeciwko takiemu reprezentowaniu społeczeństwu kilkusettysięcznej grupy zawodowej. Przyznajemy, że podobnie jak i w innych przedsiębiorstwach zdarzają się na PKP incydentalne wypadki naruszania dyscypliny pracy, lecz spotykają się one z natychmiastową reakcją nie tylko ze strony zwierzchników, ale i potępieniem współpracowników, a ich sprawcy są wyjątkowo surowo karani.

Red J. Wrońska bez wnikania w istotę problemów kolejnictwa oczernia liczne szeregi ofiarnych pracowników PKP, nienagannie pełniących swoje czynności często w warunkach sięgających głęboko w XIX wiek, na przestarzałym sprzęcie, w ekstremalnych warunkach klimatycznych. Treść i forma artykułu stanowi publiczną obelgę wymierzoną tym kolejarzom i obrazę munduru, który od dziesiątków lat był symbolem patriotyzmu, poświęcenia, rzetelności i trudu w służbie narodu. Artykuł ten wywołał wiele zła w stosunkach w miejscu zamieszkania, a nawet w rodzinach.

Obywatelowi Redaktorowi Naczelnemu stawiamy również pytanie: komu i jakiemu celowi służą tego rodzaju artykuły?

Za Egzekutywę POP PZPR węzła PKP w Tomaszowie Mazowieckim:

A. MIESZCZYŃSKI — I sekretarz
J. MILCZAREK
St. KOPREK
A. STOCHMIAŁEK
A. CIEŚLIK

Do wiadomości: Komitet Centralny PZPR, KW PZPR w Łodzi, KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim, KM PZPR w Tomaszowie Maz. Towarzysz Dyrektor Naczelny CDOKP Warszawa, Towarzysz Redaktor Naczelny tygodnika „Sygnały".

Tomaszów Mazowiecki 1986—04—29.

*

„Prawo prasowe" **zobowiązuje redaktora naczelnego — jak głosi to art. 31 — do opublikowania** „rzeczowego i odnoszącego się do faktów sprostowania wiadomości nieprawdziwej lub nieścisłej **albo** „rzeczowa odpowiedź na stwierdzenie zagrażające dobrom osobistym". **Opublikowany powyżej list kolejarzy z Tomaszowa Mazowieckiego nie posiada znamion ani** „rzeczowego i odnoszącego się do faktów sprostowania", **ani nie jest** „rzeczową odpowiedzią". **Mógłbym więc zrezygnować z opublikowania tego listu. Nie uczyniłem jednak tego.**

Czuję się jedynie zwolniony z podanych powyżej powodów z zastrzeżenia, jakie czyni „Prawo prasowe" **w art. 32 w punkcie 6, że** „tekst sprostowania nie może być komentowany w tym samym numerze" **Tym bardziej, że w liście do mnie — rozesłanym też do różnych instancji i instytucji — zadano mi pytanie, a byłoby niegrzecznością nie odpowiedzieć na nie.**

W wielu grupach zawodowych — na przykład wśród lekarzy, nauczycieli, adwokatów, kolejarzy, listonoszy i tak dalej — ciągle żywa jest taka reakcja, że gdy padnie zawołanie: „Biją naszych!!" **— nikt nie pyta, kogo, za co i dlaczego, tylko od razu ostro protestuje. Tak postąpili też kolejarze z Tomaszowa Mazowieckiego. Nie próbują przecież zaprzeczać, że zarzuty — w formie przejaskrawione, to przyznaję, ale autorka miała do tego prawo, gdyż występowała w obronie interesu społecznego — postawione w reportażu** „Manewry na szynach" **są nieprawdziwe. One tylko nie dotyczą wszystkich kolejarzy.**

Nikt nie będzie wmawiał nikomu — i nie ma co tu udawać, że jest inaczej — że wszyscy kolejarze są źli, są złodziejami, pijakami, nierobami. Ale przecież nie wszyscy też są dobrzy, pracowici, uczciwi, kochający swój zawód, swoją pracę, całym sercem i zdrowiem jej oddani. Niestety stanowczo za dużo jest tych przeciw którym występuje Jolanta Wrońska i przeciw którym powinniśmy wszyscy występować. Poza tym sądzę, że obywatelom kolejarzom z tomaszowskiego węzła PKP wiadomo, że to partia wypowiedziała walkę wszystkim patologicznym zjawiskom i szuka sojuszników w tej walce. Ze złem trzeba walczyć zdecydowanie i bezpardonowo. Można było sądzić, że kolejarze z węzła tomaszowskiego PKP raczej staną po stronie walczących z tym złem, a nie po stronie tych, którzy chcieliby wszystko rozmazać, wszędzie widzieć okoliczności łagodzące, bronić źle pojętego honoru munduru. Przed kim? Przed publicystką, która ośmieliła się nazwać zło po imieniu? To ona kala mundur i honor kolejarski, czy ci, którzy kradną, piją, nie szanują pasażera, przewożonego towaru, którzy tolerują hasło, że „PKP jest państwem w PRL" i „z PKP jeszcze nikt nie wygrał"?

Żeby wszakże uspokoić wrażliwość kolejarzy z Tomaszowa Mazowieckiego wspomnę tylko, że nie w tym węźle powstał ten reportaż ani w pobliżu Łodzi. Nie ma więc co szukać tego, kto reporterce tyle naopowiadał.

Sądzę, że to, co napisałem jest wystarczającą odpowiedzią na postawione mi pytanie: „komu i jakiemu celowi służą tego rodzaju artykuły". **Napisany został w obronie interesu społecznego. Po to, abyśmy mogli bezpiecznie jeździć szlakami PKP. I na tym powinno również zależeć kolejarzom z węzła PKP w Tomaszowie Mazowieckim.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS. Jolanta Wrońska wróci w najbliższym czasie do omawianych tu spraw.

PUBLIKATORY ŹRÓDŁEM SPOŁECZNYCH PLAG?

Nieraz już obarczano środki masowego komunikowania odpowiedzialnością za różne negatywne zjawiska życia społecznego. Do liczby zarzutów dorzuciła Barbara Kempa („Odgłosy" nr 17/86 r.) dwa dodatkowe, ale niebagatelnej rangi: po pierwsze — popularyzację narkomanii i po drugie — nadawanie jej wymiaru plagi społecznej, podczas gdy jest to tylko problem (nie plaga).

Aby narkomanię w Polsce uznać można było za plagę społeczną, wywodzi Barbara Kempa, trzeba by znać statystykę, wiedzieć dokładnie, ilu jest w Polsce narkomanów. Statystyki wszakże brak. Wiedzy o liczbie narkomanów nie dostarcza ani „Monar", ani służba zdrowia, ani milicja. Póki nie ma ścisłych danych, nie można mówić o „pladze" Rangę plagi nadają narkomanii środki masowej informacji „nadmiernie rozdmuchując problem", a także popularyzując go, przez co „pęcznieje i rozmnaża się, atakując coraz to nowe środowiska i pojedyncze osobniki".

Nie wiem jak wielkie i jak ścisłe — zdaniem Barbary Kempy — powinny być liczby obrazujące skalę zjawiska, aby można je uznać za „plagę" Nie wiem dlaczego nie mogą wystarczyć wielkości szacunkowe? Czy tolerancja w granicach kilku lub kilkunastu tysięcy ma tutaj istotne znaczenie? Wszak nikt nie ma wątpliwości, że np. pijaństwo jest społeczną plagą, a przecież jeśli idzie o alkoholików, to także nie ma ścisłych statystyk. Ani przychodnie przeciwalkoholowe, ani oddziały odwykowe szpitali, ani milicja, nie daje nam pełnego, statystycznego obrazu zjawiska. I nie może go dać, dopóki nie zostanie przekroczony pewien „próg", który pozwoli osobnika uzależnionego ująć w statystyki. Podobnie jest z narkomanią. Nie sądzę jednak, aby do czasu gdy będziemy operować jedynie danymi szacunkowymi, należało milczeć o sprawie, w obawie, że nabierze ona rangi „plagi".

Na spotkaniu w Belwederze, twórca „Monaru" — Marek Kotański, wymienił liczby, które budzą grozę: sto tysięcy uzależnionych od środków narkotycznych i trzysta tysięcy zagrożonych narkomanią. Z pewnością są to dane szacunkowe. Ale jakie to ma znaczenie, jeśli są to liczby zawyżone lub zaniżone o kilka albo kilkanaście tysięcy? Czy to za mało, aby bić na alarm? Czy przemilczanie zagadnienia będzie powodowało, że zjawisko narkomanii będzie malało? Chyba nawet sama Barbara Kempa w to nie wierzy.

Publikatory popularyzują narkomanię, pisze Barbara Kempa. Piramidalne nieporozumienie. Na tej samej zasadzie można zarzucać publikatorom, że pisząc np. o przestępstwach kryminalnych, popularyzują przestępczość w społeczeństwie. Publikatory popularyzują p r o b l e m, uświadamiając społeczeństwu groźbę i tragiczne następstwa narkomanii. Realizują w ten sposób — publikatory — zapis ustawy z 31 stycznia 1985 r., o zapobieganiu narkomanii (Dz. U. nr 4 poz. 15), która w artykule 4 stanowi: „...Przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja" oraz inne właściwe organy i instytucje podejmują działania w zakresie rozwijania i popierania różnorodnych form działalności i n f o r m a c y j n e j, kulturalnej i naukowej, w celu u ś w i a d a m i a n i a społeczeństwu szkodliwości narkomanii". (podkreśl. moje — PS). I dalej, w tym samym artykule: „Minister oświaty i wychowania w porozumieniu z zainteresowanymi ministrami uwzględni problematykę zapobiegania narkomanii w programach nauczania i wychowania w szkołach wszystkich typów".

Jak więc widać, mimo braku ścisłych danych statystycznych, Sejm PRL uznał zjawisko narkomanii w Polsce za dostatecznie doniosłe, aby walce z nim nadać rangę ustawy. Uznał też Sejm za właściwe i konieczne, aby o narkomanii mówić i pisać, informować i uświadamiać. Bowiem bałamutnym jest twierdzenie, że narkomania szerzy się dlatego, że środki masowego komunikowania poświęcają jej nieco (bo chyba nie za wiele?) miejsca. Wspomniany wyżej Marek Kotański w żadnej ze swych wypowiedzi czy publikacji, nigdy nie mówił, aby spotkał osobnika, którego do sięgnięcia po strzykawkę skłonił przeczytany artykuł w prasie, czy obejrzana w telewizji audycja. Skąd uzyskała Barbara Kempa materiały do sformułowania twierdzenia zawartego w jej liście opublikowanym w „Odgłosach" — nie wiadomo. Autorka o tym nie wspomina. Widocznie są to jej własne przemyślenia. Niestety — powierzchowne.

PIOTR SIKORSKI

PAN N. I SZAFA PANCERNA

Pan N. pracownik jednego z łódzkich zakładów pracy był wiernym czytelnikiem prasy polskiej. Mógł oddawać się temu zajęciu w godzinach pracy (a ściślej, w godzinach funkcjonowania przedsiębiorstwa), gdyż zajmował zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko inspektora do spraw przeciwpożarowych i bhp. Jak każdy porządny, ceniący rzetelną pracę człowiek, nie był szczególnie lubiany przez kolegów, którzy w perfidny, nielojalny sposób nie doceniali jego pracy, a nawet wręcz mówili, że pan N. lekceważy swoje obowiązki!

Konflikt narastał.

Zaczęło się niewinnie. Panu N. schowano teczkę ze wszystkimi dokumentami. Oj, powiało dywersją. Schowano teczkę! Inspektorowi bhp! Niezdrowy trzon przedsiębiorstwa wyjaśnił, że pan inspektor pozostawił wszystkie dokumenty bez jakiegokolwiek zabezpieczenia, a w nie zamkniętej szufladzie znajdowały się zakładowe pieczątki.

— Nie mogłem schować, bo nie miałem kluczy od biurka! — pan N. się usprawiedliwia.

Koledzy mieli klucze do swoich biurek, chociaż nie mieli stanowiska inspektora. Schowali.

— Panie dyrektorze — nagana, za co? Obcięcie premii za IV kwartał — za co?

Nieżyczliwe siły przedsiębiorstwa dopięły swego. Pan N. został przeniesiony do innego działu — na to samo stanowisko. Stanowisko to samo, ale jakie sąsiedztwo! Przez otwarte przez cały czas drzwi widać było trzy urocze panienki z działu kadr.

Warunki prima sort. Wystarczy lekko odwrócić głowę i na wprost oczu — ona. Potężna kasa pancerna, a w niej akta osobowe, a w nich. Fe, te wszystkie brzydkie rzeczy, które jemu przypisują, te kary, te nagany... I to tak na wprost oczu...

Pan N. czuje, że bezpieczeństwo jego pracy zostaje naruszone. A higieny pracy — o tym wcale nie można mówić, mając te nieszczęsne akta przed oczami. Nerwy, nerwy, podszepty, podchody... 300 teczek z aktami osobowymi...

Pan N. zna życie, wie więc, że zmusi ono panie z pokoju obok do chwilowego opuszczenia pokoju... Wszystkie jednocześnie.

— Panie N., rzuci pan okiem na pokój, ja tylko wyjdę na chwilę — pani W. rzuca tymczasem okiem na pana N., i pan N. przytakuje — rzuci, a jakże, a nie ma pozostałych pań? — pyta.

— Chwilowo nie ma, jedna jest u dyrektora, a druga nie wiem — do sklepu obok mieli przywieźć rajtuzy, więc może... Panie N. — prosi pani W. przymilnie.

— W porządku!

300 numerów! Nie, tego nie można przerzucić w 10 minut. Trzeba się dowiedzieć jaki numer mają akta pana N.! Trzeba działać z rozwagą i namysłem. Trzeba zapytać u źródła.

Dzień przed odejściem pani K. na urlop, pan N. pyta ją dyplomatycznie, jaki jest numer jego akt osobowych. Pani K. patrzy niepewnie, ale przecież to nikt inny tylko pan N., znajomy przez drzwi.

Numer XYZ — w porządku.

Instytucją wysłuchującą skarg indywidualnych i zespołowych cierpliwie, a nierzadko z efektem jest Komitet Łódzki PZPR, tam też udał się pan N. Wypłakał się, wyżalił, naurągał tym, co trochę wyżej od niego i tym co znacznie wyżej. Aby sprawę wyjaśnić do końca, KŁ zażądał akt osobowych pana N. I wtedy okazało się, że akta zniknęły.

I znowu pojawia się postać pana N. Kroczy zdecydowanie i śmiało do kierowniczki działu kadr i przekazuje przez nią zastępcy dyrektora naczelnego następujące polecenia: akta, owszem, znajdą się, nie będzie to żaden cud boski (zwłaszcza wobec zaangażowania w sprawę KŁ PZPR) bo nikt inny ich nie ma, tylko ja. I nawet jestem skłonny oddać je, ale w zamian żądam podniesienia wynagrodzenia o 1500 zł z wyrównaniem od ubiegłego miesiąca, i rozwiązania umowy o pracę w drodze porozumienia stron. Dziękuję.

Dlaczego podano panu N. numer jego akt osobowych, dlaczego klucz był w zamku kasy pancernej, w której przechowywano akta. Dyrekcja nie wyraziła zgody na propozycje pana N. Umowa o pracę została rozwiązana w trybie natychmiastowym. W postępowaniu przed Sądem Pracy w sprawie z powództwa pana N. o przywrócenie do pracy na poprzednio zajmowane stanowisko (), pan N. zdecydowanie zaprzeczył, że to on wziął te akta. Owszem, zeznał, mówiłem, że ja je mam, stawiałem nawet takie propozycje dyrekcji, jednak nie traktowałem tego poważnie. Żartowałem tylko.

I co z takim dowcipnisiem zrobić?

Sąd oddalił jego powództwo o przywrócenie do pracy.

BARBARA KEMPA

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO

Na konkurs literacki, zorganizowany przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Federację NSZZ Przemysłu Lekkiego i redakcję „Nasze Życie" wpłynęły 83 zestawy prac. Konkurs został zorganizowany z okazji obchodów II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej nt.: roli Matki Polki, wychowania w rodzinie.

Jury konkursu w składzie: Marcin Bajerowicz — przewodniczący, Władysław Biszewski — sekretarz, Bogdan Kulesza, Ryszard Klimczak i Paweł Soroka — członkowie, po rozpatrzeniu nadesłanych prac postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę w dziale opowiadań przyznano — **Bohdanowi Zajkiewiczowi** z Pabianic, godło „Felicja", II nagrodę **Zbigniewowi Borkowskiemu** z Piotrkowa Trybunalskiego godło „Rt-14", III — **Januszowi Bartlewiczowi** z Łodzi godło „Pokolenie".

Wyróżnienia otrzymali: **Ryszard Gruchawka** z Lubinia godło „Granit", **Bogumiła Mikołajczyk** z Rzeszowa godło „Tulipan", **Zbigniew Okoń** z Rzeszowa godło „Ozet".

W dziedzinie reportażu przyznano następujące nagrody: I — **Lucjanowi Zuzi** z Krakowa godło „Koral", II — **Irenie Stachurze** ze wsi Tylice godło „Melania", III — **Eugeniuszowi Wojechowi** z Łodzi godło „Włókniarz" oraz trzy równorzędne wyróżnienia: **Mieczysławowi Kopeciowi** z Łodzi godło „Na marginesie życia", **Stanisławowi Borszewiczowi** z Łodzi godło „2×2" i **Zbigniewowi Hołdiukowi** z Bytomia godło „Zbiho".

W dziedzinie poezji przyznano następujące nagrody: I — **Maryli Warzocha** z Pabianic godło „Miś", II — **Andrzejowi J. Mularczykowi** z Lubina godło „Turbina" i **Kazimierzowi Jankowskiemu** z Gorzowa Wielkopol. godło „Zielony liść". Trzy równorzędne wyróżnienia otrzymali: **Andrzej Konieczny** z Płocka godło „Leonard", **Jerzy Kopczyński** ze Zdziaru Wielkiego godło „13" i **Jerzy Sałata** z Bartoszyc godło „Cieśla".

Nagrodę specjalną ufundowaną przez redakcję „Naszego Życia" otrzymał **Jerzy Marchowiecki** z Łodzi godło „Promyk" za baśń dla dzieci pt. „Smoki pana kasztelana".

Uroczyste wręczenie nagród i wyróżnień oraz dyplomów odbędzie się w czasie trwania obchodów II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej w Amfiteatrze Widzewskim 25 maja 1986 r. o godz. 15.00.

Zgodnie z regulaminem konkursu została przekazana suma 21.600 na rzecz fundacji stypendialnej im. Anny Domagały-Jakuć.

Robię co mogę, ale cóż mogę?

Rozmowa z BOGDANEM HUSSAKOWSKIM

„Wystartował jako młody zdolny", pisała o **BOGDANIE HUSSAKOWSKIM dyrektorze i kierowniku artystycznym Teatru im. S. Jaracza w Łodzi w maju 1975 roku — Teresa Krzemień w swojej książce** „Znajomi nieznajomi", **pytając na wstępie** — „Czy ma nadzieję pozostać sobą — Bogdanem Hussakowskim, reżyserem o określonej formule poszukiwań teatralnych mimo podjęcia się funkcji dyrektora opolskiej placówki?" **I dodała:** „Wierzy pan, że — powiedzmy za rok — nadal będzie pan Hussakowskim, a nie przede wszystkim dyrektorem ogromnego trudnego do prowadzenia przedsiębiorstwa o funkcjach kulturalnych?"

— Czy pamięta pan, nie zaglądając do książki, co wtedy odpowiedział?

— Myślę, że w odpowiedzi wyraziłem nadzieję pozostania sobą, zapamiętałem z tej rozmowy swoje plany i nadzieje związane z momentem euforii. Traktowałem ów punkt zwrotny jako uzyskanie możliwości pełnej realizacji w zawodzie. Dziś dodałbym, że kierując taką maszynerią jak teatr, wie się więcej o świecie, ludziach, mechanizmach społecznych niż o samym sobie.

— Co to znaczy „robić teatr o wyraźnym osobistym obliczu?"

— To podobnie jak z molierowskim bohaterem, który dowiedział się, że mówił prozą. Mimo przeciwności, dana mi była łaska pozostania sobą, nie spekulowałem, lecz kierowałem się w swoich decyzjach repertuarem różnorodnym, współpracą z różnymi osobowościami, bo zawsze interesował mnie teatr policentryczny.

— Zaczynał pan w Starym Teatrze w Krakowie, chyba nie trzeba lepiej, ale ze zdziwieniem przeczytałem pana słowa, że „i tam nie było możliwości robienia teatru?"

— Nie oznaczało to cienia niezadowolenia za dyrekcji Zygmunta Hübnera, gdy dane mi było zrobić szereg interesujących spektakli ze wspaniałymi aktorami („Taniec śmierci", „Yerma", „Wkrótce nadejdą bracia", „Życie jest snem"). Natomiast w biografii każdego reżysera przychodzi taki moment, gdy robienie przedstawień powinno przejść w robienie teatru. W przypadku mojego pobytu w Starym Teatrze, można by go porównać do zakończenia terminowania w zawodzie, jego warunki były optymalne, a wyzwolenie się mogło nastąpić już na nowym terenie. I to miałem na myśli mówiąc wtedy, że nawet w Starym Teatrze nie było możliwości robienia teatru, a jeszcze do tego zmienił się przecież dyrektor.

— Podobno został pan wyrzucony ze Starego Teatru przez tego nowego dyrektora czyli Jana Pawła Gawlika?

— Rzeczywiście tak się stało. Następca Zygmunta Hübnera napotkał w zespole na ogromny opór, z którym ja się identyfikowałem i poniosłem tego konsekwencje.

— Jak to przebiegało w Opolu, gdzie samodzielnie kierował pan dużym teatrem i takimż zespołem?

— Wyjątkowość opolska była w tym, że oddano do użytku nowy budynek teatralny i powstały możliwości stworzenia zespołu od początku, dotyczyło to nie tylko zespołu aktorskiego. Trzeba też wspomnieć o wyjątkowej roli mecenatu, o szacunku dla teatru, jego potrzebie i wspomaganiu.

— Już wtedy głosił pan chwałę teatru widowiskowego, popularnego, bazując na śmiechu różnego gatunku?

— Zdawałem sobie sprawę, że trzeba pogodzić sprzeczne interesy, czyli mieć ludzi na widowni i mieć teatr na scenie. Nie ulec tanim gustom, nie zamknąć się w wieży z kości słoniowej pseudoartyzmu. Zespół składający się z młodych aktorów może rozwijać się tylko poprzez pracę na interesujących tekstach i z ciekawymi realizatorami, a z drugiej strony rezultaty tej pracy muszą być akceptowane przez widownię. Dwa spektakle wcześniej zrealizowane w małych ośrodkach: w Opolu „Sonata Belzebuba", w Tarnowie „Czekając na Godota", były przykładem, że trudny, najwyższej próby tekst może być jednocześnie sukcesem frekwencyjnym, jeżeli znajdzie się w nim walory atrakcyjne, przyciągające. I wokół tych doświadczeń zostało skonstruowane hasło teatru ludycznego, teatru wielkiego śmiechu. Odpowiadało to moim różnym doświadczeniom teatralnym, przykładem niech będą „Ożenek" i „Wincenty" w Teatrze Polskim w Poznaniu. Wydaje mi się, że wśród różnych fałszywych wstydów które towarzyszą naszym dziełom teatralnym, pojawia się i ten, że teatr się podoba, że jest ładny, atrakcyjny, a to wynika z jego natury, zapominanie o tym jest samobójstwem.

— To właśnie w Opolu zaczął pan kształtować swój model teatru?

— Praktycznie tam miałem te szanse, po to zacząłem bawić się w dyrektorowanie, ale ze spokojem, bo 9 lat reżyserowałem, wcześniej przez 3 lata byłem dyrektorem. To był bardziej początek artykułowania tych gustów i poglądów niż początek ich kształtowania.

— Przypomnijmy czytelnikom „Odgłosów", jak to się stało, że zachwycony młody dyrektor-reżyser, mający nowy teatr, wybranych aktorów, środki, przychylność władz i koncepcje artystyczne, rzucił to wszystko i znalazł się w środku Polski, w niezbyt wdzięcznej dla teatru Łodzi?

— Cztery sezony w Opolu to był naturalny okres zebrania się pewnej grupy ludzi i wyraźnych oznak zmęczenia się sobą. Zmiana miejsca była więc naturalnym przejawem, był to koniec pewnego naturalnego cyklu, który w takich ośrodkach przebiega znacznie szybciej: dojrzewanie i zmęczenie. Cenię naturalność pewnych procesów teatralnych, więc nie mam poczucia, że coś rzuciłem w Opolu, lecz, że coś się skończyło.

— Czy znał pan Łódź i jej teatry w tamtym okresie?

— Nie, zupełnie nie. Była to w mojej biografii największa niespodzianka dla mnie samego. Kraków i Łódź, te dwa ośrodki zawsze mało o sobie nawzajem wiedziały. W moim odczuciu Łódź była niesłychanie wyizolowana z reszty ośrodków teatralnych z wyjątkiem Warszawy. Uważałem, że każde tego typu zamknięcie się, brak nowych ludzi za niebezpieczne i starałem się temu zaprzeczyć. Z drugiej strony pamiętam, że bardzo mało wiedziałem o łódzkim teatrze, jego aktorach.

— Z zaufaniem i nadzieją oddaliśmy panu trzy sceny Teatru im. S. Jaracza, a pan zabrał się do pracy?

— Z poczuciem, że przychodzę do teatru o ogromnych tradycjach i dorobku, teraz przekonuję się, jak dobrze jest odwoływać się do tradycji, do genius loci. Adaptację swoich gustów w Łodzi wspominam jako jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu, to była wielka walka o przebicie się ze swoim myśleniem o teatrze. Prowadzenie tej walki utrudniało mi to, że w pierwszym okresie naszego działania zaistniało kilka klęsk artystycznych. Zespół i miasto nie wiedziało co jest prawdą a co perspektywą: klęski lub sukcesu.

— Znacznie powiększył pan zespół aktorski, bo do 64 osób. Ale w „stajni Hussakowskiego" grają i są wykorzystywani tylko wybrańcy?

— W kilku innych ośrodkach teatralnych są zespoły może liczniejsze od naszego, po drugie — mamy trzy sceny, po trzecie — nie ma ani jednej osoby w zespole, która nie weszłaby na scenę. Oczywiście, inaczej wygląda sprawa, jeśli chodzi o subiektywne poczucie wykorzystania i satysfakcji aktora w teatrze, bo inaczej nie może być. Przez „stajnię" rozumiem sytuację, w której aktor w swoim boksie czeka na zadanie i nie uczestniczy w „wyścigach", u nas takiej sytuacji nie ma.

— W teatrze posiada pan wyjątkową ilość ładnych i zdolnych aktorek, które wymagają nie tylko obsadzenia, ale lansowania i kreowania?

— Odpowiedź na to pytanie może być jedna: robię co mogę.

— Niektóre z dawnych gwiazd Teatru im. S. Jaracza w Łodzi przybladły lub zgasły, za to pojawiła się superstar czyli Bożena Rogalska?

— Rozumiem, że nie jest to pytanie, lecz stwierdzenie faktu nie dające mi szansy dyskusji.

— Na szczęście pana żona jest szczególnie utalentowaną i atrakcyjną aktorką?

— Na szczęście!

— Podobno pan wyjątkowo lubi i dba o swoich aktorów?

— Prawdą jest, że w ogóle lubię aktorów, nie sposób poruszać się w tym środowisku bez tej sympatii, to tak trudny zawód o wielkiej skali ryzyka, poświęceń, więc na ile mogę, otaczam ich szacunkiem i opieką.

— Podczas, gdy pana pierwszy amant Dariusz Siatkowski, z braku pracy i pieniędzy zmuszony jest wraz z żoną-aktorką uprawiać chałupnictwo i zajmuje się wyrobem broszek-motyli?

— Będzie teraz miał dużo mniej czasu na te motyle, bo powierzyłem mu duże i odpowiedzialne zadanie aktorskie.

— Sytuacja finansowa aktorów jest nie najlepsza, co więc pan robi, aby im pomóc?

— Po pierwsze zazdroszczę legendarnemu dyrektorowi Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Pawlikowskiemu, który mógł na potrzeby teatru roztrwonić własny duży majątek ziemski. Po drugie w obrębie danych mi możliwości finansowych staram się robić co mogę. Łącznie zarobki aktorów niewiele przekraczają średnią krajową. Ten problem wygląda obecnie katastrofalnie, ponieważ mimo dobrej ustawy o instytucjach artystycznych, teatr i aktorzy podlegają różnym obciążeniom wynikającym z reformy gospodarczej. Są to mechanizmy, które blokują wzrost niektórych płac. Mogę zrozumieć te mechanizmy regulujące zarobki w Hucie „Katowice" (akceptuję ich antyinflacyjny charakter), natomiast są one kompletną bzdurą w odniesieniu do teatru.

— Tu problemy aktorów, a tam wciąż panujący kryzys teatru w Polsce?

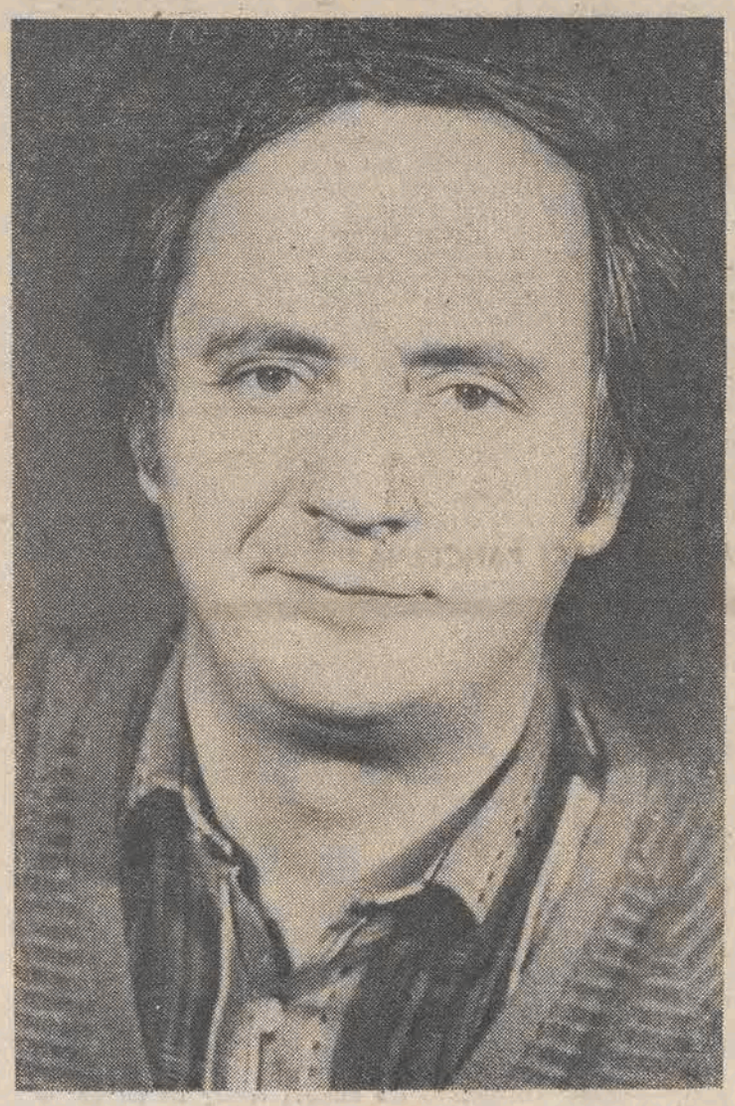

— Z teatrem zawsze było różnie. O kryzysie mówi się zawsze i wszędzie. Dla mnie jest to problem czysto akademicki, bo ciągle wydaje mi się, że widzę sens tego, co robimy i perspektywy.

— I jeszcze problem publiczności, która nie chce chodzić do teatru?

— Różnie z tym bywa, ogromnie cieszy mnie, że w ostatnich miesiącach takie spektakle jak „Gorzkie łzy Petry von Kant" w reżyserii Grzegorza Małeckiego czy „Ferdydurke" cieszą się ogromnym zainteresowaniem publiczności, że wróciło zainteresowanie sztuką „Wyjść", a z drugiej strony nie zapomniałem o klęsce, jaką poniosło lubiane przeze mnie przedstawienie „Wielkanocy", a więc różnie.

— Pan rozwiązuje te problemy przy pomocy atrakcyjnie i komercyjnie zredagowanych reklam w postaci ogłoszeń w prasie?

— I wydaje mi się, że to odnosi dobry skutek. Jeżeli teatr daje rzetelny towar, to nie powinien się wstydzić komercyjnych metod, bardziej podlegających prawom rynku. Mam poczucie, że jest jeszcze wiele do zrobienia i ciągle robimy za mało, jeśli chodzi o reklamę.

— Ale mimo to dział reklamy w teatrze działa nie najlepiej, w gablotach w mieście stare, nieaktualne zdjęcia, a laureat „Srebrnego Pierścienia" nie ma żadnego serwisu zdjęciowego dla prasy, dla siebie?

— Kolejny już raz nastąpiła zmiana na stanowisku pracownika do spraw reklamy i trzeba poczekać na rezultaty, które zlikwidują niestety słuszne dziś zarzuty.

— Zmienił się także kierownik literacki?

— Od 1 kwietnia jest nim Piotr Mitzner, młody krytyk, teoretyk z Warszawy. Praca naukowa uniemożliwiła Małgorzacie Szpakowskiej współpracę z naszym teatrem, ale w dalszym ciągu korzystamy z jej wiedzy i pomocy.

— W lutym bawił pan w Londynie, z jakimi spostrzeżeniami i wrażeniami wracając do Polski?

— To temat na osobną rozmowę. Dzięki niesłychanie bogatemu programowi „Britisch Conncil" obejrzeliśmy mnóstwo spektakli, w tym kilka znakomitych i spotkaliśmy kilka interesujących osób. Z Londynu przywiozłem niesłychanie entuzjastyczną, wysoką ocenę brytyjskiej sztuki teatralnej, wiele doświadczeń, jeśli chodzi o dramaturgię współczesną i przekonanie, że teatr angielski jest najciekawszym teatrem zachodniej Europy.

— W tym czasie pana teatr występował gościnnie w Warszawie i właśnie czytaliśmy na łamach warszawskiej prasy liczne sprawozdania z tego pobytu „prowincji" w stolicy. Najtrafniej wypowiedziała się Agnieszka Baranowska na łamach „Kultury". Pisze: „Przyjazd łódzkiego teatru był nie tylko okazją do obejrzenia dawnego melodramatu „Adrianna Lecouvreur" z popisową rolą dla wielkiej tragiczki i adaptacji słynnego niegdyś dzieła literackiego wybitnego filozofa „Dziennik uwodziciela", ale szansą na zastanowienie się nad tym, czy można realizować ambitny teatr, proponować widowni melodramaty, komedie, farsy, adaptacje modnych utworów?" **No właśnie, czy można?**

— Ogromnie jesteśmy radzi, że nasze warszawskie występy na obu scenach Teatru Powszechnego w Warszawie miały tak przychylny rezonans. Trzeba jednak powiedzieć, że interesującego zestawienia dwóch propozycji repertuarowych (chwalili je wszyscy piszący) nie należy generalizować, bo okaże się pochopne. To swego rodzaju oferta „eksportowa". Tytuły ostatnich premier: „Proces" czy „Ferdydurke" świadczą, że jesteśmy wierni współczesnym zainteresowaniom repertuarowym.

— „Hussakowski, podobnie jak w Opolu, stara się łączyć ambicje (może nie zawsze najwyższego lotu) z sukcesem frekwencyjnym, reprezentując dobry, średni poziom". **Dobry, średni poziom, to panu wystarcza?**

— Oczywiście że moje ambicje sięgają wyżej, ale myślę, że taka opinia bierze się właśnie z cząstkowej wiedzy o działalności teatru. Jednakże w określeniu „dobry, średni poziom" w naszej rzeczywistości nie upatruję obelgi, lecz komplement. Bo jak się rozejrzeć dokoła, spoglądając w różne dziedziny życia to o dobry, średni poziom jest najtrudniej.

— „Adrianna Lecouvreur" w pana reżyserii podobała się warszawiakom, ale „Dziennik uwodziciela" był kontrowersyjny, choć Ewa Telega i Dariusz Siatkowski uratowali swój spektakl w oczach recenzentki. Słowem zwyciężył teatr popularny, widowiskowy, pana teatr. Gratuluję!

— Ukazało się wiele recenzji z obu spektakli i akcenty ich ocen były różnie rozłożone. Ale widzowie mogli wybierać w naszej ofercie, a rezultat tych wyborów był pozytywny dla teatru. Jeżeli prezentuje się dwie przeciwstawne tezy, to opinia musi być spolaryzowana. Cieszy, że nie była obojętna.

— Rozmowę z panem prowadzę jednak przy innej okazji, rozmawiam z laureatem nagrody „Srebrna Łódka", z twórcą najlepszego w Łodzi przedstawienia sezonu czyli „Ferdydurke" wg Witolda Gombrowicza. Nie wypowiadał się pan jeszcze na łamach prasy — dlaczego zrobił tę sztukę?

— Pewnie bałem się przyprawić sobie samemu „Gębę", dlatego nie wypowiadałem się. Chcę tylko powiedzieć, że wbrew pozorom — reżyser-dyrektor najrzadziej może realizować swoje własne marzenia repertuarowe. A „Ferdydurke" jest przykładem spełnionego marzenia.

— Czyżby więc był to przypadek?

— Nie, np. Witkacy na dzisiaj „nie rezonuje", lecz właśnie Gombrowicz jest w dzisiejszych czasach niesłychanie żywy, w kryzysie postaw, myślenia i wartości jest jak intelektualna kąpiel w czystej krynicy.

— Podobno realizując „Ferdydurke" postawił pan na wszystko, co umie jako reżyser i co posiada w swoim teatrze?

— Takie podejście do sprawy z góry musiałoby przekreślić szanse powodzenia, miałem inne poczucie w czasie pracy — poczucie niesłychanej atrakcyjności materiału literackiego i wielką radość w obcowaniu z tym materiałem. Jak rzadko próby były dla mnie wielką radością, co nie oznaczało, że nie były wielką męczarnią.

— Sztuka jest trudna, przedstawienie ambitne, ciekawe, zrealizowane przy użyciu rozmaitych środków teatralnych, czy również stanie się sukcesem frekwencyjnym typu „Pchła w uchu"?

— Na szczęcie jest również sukcesem frekwencyjnym.

— Będzie pan dalej robił taki właśnie teatr?

— Głównym motorem w mojej pracy reżyserskiej jest ciekawość poznawania nowych obszarów, tematów. Wydaje mi się, że byłoby błędem, gdybym po sukcesie utworu Gombrowicza natychmiast go nie porzucił i dlatego najbliższe i dalsze swoje plany reżyserskie lokuję w zupełnie innych rejonach.

— Jakich?

— Dwa najbliższe tematy to: z jednej strony zabawna, frywolna komedia z 1913 roku pt. „Książątko", z drugiej strony „Umarli ze Spoon River". W dalszej perspektywie myślę o wprowadzeniu na scenę markiza De Sade. Przy okazji mogę poinformować o rozmowach z Walerym Fokinem na temat mojej rewizyty w Moskwie, gdzie będę reżyserował „Karlotekę" Różewicza.

— Póki co zabrał się pan do reżyserowania farsy, czy dlatego, że teatr potrzebuje pieniędzy?

— Farsa to najtrudniejszy sprawdzian zawodowstwa, w naszej scenie Teatru „7.15", to powszedniość, wiadomo jaki z tego pożytek. Po wielkim przedsięwzięciu teatralnym odczuwam ogromną potrzebę wielkiej zabawy, dlatego robię „Książątko".

— W środowisku teatralnym krążą pogłoski, że niebawem pożegna pan Łódź i... przeniesie się do Warszawy?

— Rozumiem tę pogłoskę, która lokalizowała mnie w różnych teatrach, tylko że ja nie mam żadnych konkretnych planów przenosin. Bardzo cenię współpracę z łódzkim zespołem i wierzę, że możemy jeszcze wspólnie bardzo wiele zdziałać.

— W najbliższym czasie będziecie sporo wyjeżdżali poza Łódź?

— Po Konfrontacjach Klasyki Polskiej w Opolu, wyjedziemy z „Dziadami" do Puław, w Lublinie zagramy „Gorzkie łzy Petry von Kant", a „Ferdydurke" na festiwalu w Kaliszu, z kolei „Kamień na kamieniu" i „Kreację" pokażemy na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu, zaś na Śląskiej Wiośnie Teatralnej w Katowicach — „Adriannę Lecouvreur". Czekają nas jeszcze wyjazdy do Gorzowa i Rzeszowa.

— Wystartował pan jako młody, zdolny 33-letni dyrektor, reżyser, na jakim etapie jest pan obecnie w zawodzie?

— Mam nadzieję, że na etapie starego zdolnego.

— A w życiu?

— Również.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

GENIUSZE SĄ WSZĘDZIE

Polska jest krajem artystów genialnych, w pierwszej osobie liczby pojedynczej. W jakąkolwiek by dziedzinę sztuki ledwie zerknąć, już słychać popiskiwanie, pobekiwanie i Bóg wie na jakie jeszcze tony wyszeptywane, wywrzaskiwane lub wymawiane, niewinne zdawać by się mogło, słówko: *„ja"*, *„ja"*, *„ja"*. Ktoś bardziej wnikliwy, jakiś umysł niespokojny, chcący zgłębić istotę wrażliwego artysty, wychwyci dość szybko kolejną frazę w tonacji *„ja"* — mianowicie: *„ja i reszta"*. Dalsze drążenie nieprzeciętnych ego-umysłów staje się dość ryzykowne: można natknąć się na zagadkową pustkę, filozoficzne milczenie albo wielosłowie, kakofonię dźwięków nie tworzących żadnej melodii lub też refrenik mile brzmiący dla ucha, znajomy jednak skądsiś, nienowy, *„Ja i reszta"*. Tyle, że *„reszta"* składa się również z samych *„ja"* i stosuje identyczny podział. Znaczy: pierwszorzędne znaczenie (i dość często jedyne) w przypadku geniusza ma wymieniony zaimek osobowy.

(Na marginesie: istniejący rzeczywiście, a dający się policzyć na palcach jednej ręki pracownika tartaku, prawdziwi geniusze, nie są słyszalni w chórze opisywanych wyjców. Nie dlatego przecież, żeby ich głos był słabszy. Oni nie muszą tracić energii ani czasu na jazgot wokół siebie: ich się słyszy i widzi poprzez to, co robią. Poza tym, prawdziwy geniusz zawsze wychynie ponad ujadającą przeciętność, opędzać się częściej tylko musi od szarpiących jego nogawki kundli. Odnosi się to również i do „zwykłych", lecz autentycznych talentów).

A gdy owi *„ja-geniusze"* zaczynają jakieś działania artystyczne (jakie by one nie były), harmider robią sielny, na całą dolinę, gada się przy tym, wyśpiewuje, wywiadów udziela, szumi i dźwięczy. Niekiedy coś z tego wynika, częściej jednak *„portki jak z młodszego brata"*.

A gdy już ustanawia się jakaś nowa frakcja czy instytucja artystyczna (np. powstaje grupa poetycka lub nowy teatr), no..., to należy walić w bębny i bić w dzwony. Zamętu tyle, że po chwili już sami twórcy zapominają, o co im chodziło, chyba że zdołali wcześniej ułożyć manifest artystyczny, co, bywa, też nic nie znaczy. Przykładem może być powstanie przed laty, łódzkiej grupy poetyckiej „Jasień", ogłoszenie manifestu w prasie, udzielenie wywiadów *„na temat"* i... rozwiązanie grupy, czy też samoistny jej rozpad już po kilku dniach. Stanowi to jaskrawy przykład przerostu formy nad treścią, już w stadium embrionalnym. Podobnie brzmi, huczne i uroczyste obchodzenie jubileuszu DWULECIA istnienia Krakowskiego Teatru Satyry „Maszkaron" z udziałem wysokich władz państwowych, a nawet konsulów ZSRR i CSRS. Geniusz twórcy i autora tego teatrzyku ma donośny głos.

Tym sposobem zeszliśmy na południe Polski. A jeszcze bardziej w kierunku równika, w ciszy i skupieniu, bez hucpy i fałszywych fanfar, urodził się teatr, który jest jednym z najciekawiej zapowiadających się w Polsce. Jego obecny kształt pozwala na wysnucie tak poważnych i zobowiązujących (piszącego te słowa) rokowań.

GDY WYSZLI ZE SZKOŁY

W czerwcu 1985 roku przy Towarzystwie Miłośników Teatru powstał Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Adres: Zakopane, Chramcówki 15. Zajmuje parter ogromnej willi „Witkiewiczówka" (dawniej *„Tatry"*), należącej niegdyś do rodziny patrona Teatru, w której i on miał swój pokój. Tam malował, pisał, rozmyślał, błaznował, był. Atmosfera, niezwykła: nasycona *„tamtymi czasami"*, jest w podziwu godny sposób: niewidocznie a starannie i skutecznie podtrzymywana przez młodych artystów, idących po śladach swego mistrza (Witkacy wściekał się, gdy go tak nazywano) i czerpiących z przebogatej twórczości i życiokształtu tego niezwykłego człowieka.

Jak doszło do powstania teatru? Otóż, zespół stanowią absolwenci krakowskiej Szkoły Teatralnej, teraz zawodowi, dyplomowani artyści, którzy dogadali się jeszcze w czasie studiów. Ponieważ nie są z jednego rocznika, czekali z przeniesieniem się do Zakopanego, aż najmłodsi koledzy *„wyjdą ze szkoły"*. Kierownik artystyczny i reżyser, Andrzej Dziuk, pracował do tego momentu w Teatrze Starym w Krakowie, nabierając różnego rodzaju doświadczeń w zespole zawodowym. W następnym posunięciu wystarano się (łatwo powiedzieć) o lokalizację w „Witkiewiczówce", aktorzy zamieszkali w takich sobie pokoikach (nikt mieszkań nie obiecywał, bo i skąd, nie o to im zresztą chodziło), no i zabrali się do pracy. Własnymi siłami, przy pomocy uczniów Liceum Plastycznego im. Antoniego Kenara w Zakopanem, odnowili wnętrza, kupili oryginalne meble z hotelu Karpowicza, przywrócili atmosferę międzywojnia, atmosferę, która stała się dla nich środowiskiem naturalnym.

Kiedy już stworzyli, co chcieli, pora, by piękne, niepowtarzalnie *„pachnące"* wnętrza, wypełnić treścią, sztuką, teatrem. Czyli, poważnie zabrać się do ciężkiej, nie zawsze wdzięcznej pracy. Ci młodzi artyści podobni są sobie przede wszystkim z powodu nadpoważnego podejścia do wszystkiego, co robią. A że wśród młodych twórców (i nie tylko), nie jest to wartością główną, niech zaświadczy fakt, iż z kilku roczników przyszłych aktorów dało się „wydłubać" tylko jedenaście osób. Mają oni oczywiście zbliżony pogląd na teatr, na ich teatr, na jego kształt artystyczny, mają wspólne widzenie celu. Ale najważniejsze, jak powiada Andrzej Dziuk, jest to właśnie bardzo poważne podejście do pracy. Każdej, jaką wykonują.

Kiedy już wszystko było gotowe, nadszedł czas próby. Chodzi, naturalnie, o publiczność, czyli frekwencję. Bo przecież teatr żyje dzięki i dla publiczności, o czym zdają się zapominać niektórzy ludzie z tespisowego wózka. Z wrodzonego obrzydzenia do truizmów, nie będziemy pisać więcej o tym ani słowa.

Zakopane ma, i nie ma, tradycji teatralnej. Słynny (dzisiaj) „Teatr Formistyczny" Witkacego, poza garstką entuzjastów, nie był rozumiany przez ówczesną publikę. Nie bardzo wiedziano, czy kpi sobie z niej, czy to błazenada, czy „na poważnie". A jeśli poważnie, to gubiono się w ekwilibrystyce słownej, pojęciowej i filozoficznej autora i reżysera „W małym dworku". Teatr „Morskie Oko", typowo amatorski, od wielu lat nie istnieje, a budynek z zawalonym dachem od ponad dekady daremnie czeka na remont.

Dzisiejsi „odwiedzacze" Zakopanego, to ludek różnorodny, ale zdający się interesować wszystkim, tylko nie sztuką. Potencjalna publiczność jakoś mi się nie wyrzyna spośród tysięcy turystów i „letników". Snobowania, na teatr zakopiański jeszcze nie notuje się. Podobnej opinii byli miejscowi działacze kultury, którzy „Pragmatyston" Witkacego, a więc sztuce, która „poszła" na inaugurację Teatru, rokowali 1—2 przedstawienia.

— *Spektakl ten, przygotowany jeszcze w szkole, to była sonda, próba* — mówi Andrzej Dziuk, szef artystyczny placówki — *czy Teatr nasz przyjmie się w Zakopanem, czy nie. Wypadła dla nas pomyślnie. Graliśmy kilkanaście przedstawień, bywało, przy nadkompletach. I tak jest do dziś, po rozszerzeniu repertuaru. Zauważyłem nawet osoby, przychodzące po dwa-trzy razy na tę samą sztukę. Bardzo lubię teatr, ale nie zdarzyło mi się iść dwa razy na jeden spektakl. To o czymś mówi. Taka publiczność nam imponuje, musimy, i, chcemy traktować ją serio. Chcemy wypracować sobie widownię, która, jak my, czuje teatr artystycznie. Takich ludzi, którzy coś o nas usłyszą, zechcą przyjść, zobaczyć, i... to nasze marzenie — wracać do nas. Chcemy spowodować sympatię dusz, metafizyczne porozumienie, równanie się myśli. To można osiągnąć, traktując naszych widzów równoprawnie z samym sobą. Przeraża mnie występująca w zawodowych teatrach maniera traktowania widza jako matoła, przygłupa, do którego wystarczy zrobić „oko", zaserwować kilka byle jakich grepsów i mieć przy tym spokojne sumienie. A taka jest, niestety, tendencja w dzisiejszym teatrze. Później panuje ogólne zdziwienie, że sale teatralne pustoszeją. Widz przecież czuje, gdy się go lekce traktuje. W naszym teatrze publiczność nigdy z byle jakością się nie spotka. W czasie mojej pracy w „Starym", w Krakowie, w ciągu roku dano cztery premiery. Przy takiej ogromnej machinie, możliwościach technicznych i finansowych — to mniej niż mało. A my, w ciągu niecałego roku, siedem. Właściwie w maju będzie siódma: Christophera Marlowe'a „Tragiczne dzieje życia i śmierci doktora Faustusa". I to pozostając cały czas na własnym rozrachunku. Dopiero w ostatnich dniach spłynęła do nas dotacja z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Przedtem wszystko za swoje, i wypracowane, pieniądze. Aktor dostawał 3 tys. zł miesięcznie. Nie mamy żadnej normy przedstawień. Aktorzy grają bez wytchnienia: we wszystkich sztukach występują prawie wszyscy, codziennie inny spektakl. I tak od czerwca 1985 roku z miesięczną przerwą. To chyba świadczy o poważnym podejściu do pracy.*

W repertuarze jest w tej chwili pięć sztuk: „Autoparodia" Witkacego, „Dziura" Słonimskiego i Tuwima, „Życie jest snem" Calderona, „Benefis" czyli pamiętnik, listy, niezapomniane role Ireny Solskiej i „Historia" Witolda Gombrowicza. Ten nieprzypadkowy (według kierownika artystycznego) dobór tytułów, miał na celu zaprezentowanie całego zespołu i jego możliwości, a majowa premiera „Faustusa" zamknie pierwszy, wstępny etap działalności. Zespół przedstawił credo artystyczne, polegające na próbie udowodnienia, że teatr może być Sztuką, a nie tylko odbiciem życia i wyrazem poglądów autora, czyli, że prezentowane sztuki posiadają jakość artystyczną, to jest przewagę elementu artystycznego nad życiowym. Jednym słowem: teatr artystyczny, w witkacowskim rozumieniu zjawiska.

TO SIĘ LUDZIOM PODOBA

Teatr został zaakceptowany w środowisku stałych zakopiańczyków, co wcale nie jest takie łatwe. Młodzi artyści zjednali sobie np. góralskich muzykantów występujących w Calderonie, którzy zarażeni jakby podejściem serio do zawodu, nie ustępowali kolegom w jakości pracy, punktualności, trzeźwości. Zdobyta została całkowicie przychylność władz i miejscowej inteligencji, a Władysław Hasior wśród rozlicznych zajęć znalazł czas i na sympatię dla poczynań młodszych kolegów-artystów.

Ludzie pamiętający Witkacego, Gombrowicza, nieufni, zamknięci raczej w sobie i swych domach, będących nierzadko minimuzeami dzieł malarskich tego pierwszego, a także mebli i precjozów z epoki, znaleźli się nagle, po raz pierwszy od lat, dosłownie obok siebie, na widowni teatru. Odżyły wspomnienia, stworzył się niepowtarzalny nastrój, który aktorzy noszą w sobie do dziś. To ich „napędza", daje wiarę, upewnia wreszcie w słuszności i sensie tego, co robią. Tym bardziej, że zakopiańczycy, urzeczeni Teatrem, wypożyczają sprzęty do kolejnych inscenizacji, np. „Historii" Gombrowicza, dziejącej się w latach międzywojennych. I tak, pewien pan, znający autora dramatu osobiście, ofiarował rakietę tenisową, przedwojenną, co dla widza znaczenie ma drugorzędne, artystom natomiast przesyła *„ruch powietrza"* tamtych lat, co jest istotne. Niby szczegół, ale ważny. Reżyser „Historii", Julia Wernio, opowiada o tym epizodzie (jednym z wielu) i traktuje go jako znaczący, niejako symboliczny dla Teatru i samej sztuki, jako że szkielet zamierzeń zespołu przyobleka się w bardzo mięsiste i krwiste ciało.

Zaczynają również splatać się rozproszone pojedyncze nitki wspomnień, ślady indywidualne, pozostałe po Witkacym, w trop wyraźniejszy: w tym mieście, które on wybrał jako swoje, a które żadnym wyraźnym znakiem swego najsłynniejszego mieszkańca nie upamiętniło. Tutaj tylko symboliczny napis na grobie matki na Pęksowym Brzyzku, czyli przepięknym starym cmentarzu, przypomina jego postać. Smutne to, ale prawdziwe, choć dziwne: nic w Zakopanem nie mówi o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, dosłownie nic. Tym większa zasługa młodego Teatru, który to niepojęte niedopatrzenie naprawia, choć na bardzo swój sposób.

JESTEM CAŁY W ZACHWYCIE

„Historia" Witolda Gombrowicza wystawiona jest w foyer Teatru. (Poza tym, zespół dysponuje ogromną, niczym hala, salą z dwoma scenami w przeciwległych końcach. To duża i mała scena. A w ustawieniu do Calderona jest jeszcze inaczej: scena jest akurat pośrodku tej sali. Do każdej sztuki inaczej komponuje się scenę i widownię. To dodatkowa robota, i wcale niełatwa dla zespołu. Prawie codziennie zmieniać trzeba ustawienie).

Prawdziwym gospodarzem jest Andrzej Dziuk, który już na okazałym ganku, przed wejściem do środka, wita publiczność i kieruje gdzie trzeba. Częstowani jesteśmy herbatą (kto ma ochotę) i ciasteczkami. Nastrój wnętrza z tamtych lat (nawet fotografie na ścianach autentyczne) dopełnia muzyka ze starego patefonu: międzywojenne tanga.

Przedstawienie „dzieje się" w trzech planach: trzy ogromne salony, jeden za drugim, połączone szerokimi, wielkimi przejściami. Pierwszy z nich, to w połowie widownia. Światło wydobywa akcję i przenosi z salonu do salonu: to dzieje się w oświetlonym pierwszym i trzecim, to znów w środkowym (reszta ciemna), w dwóch pierwszych, itd. Efekt wyśmienity, pomysł inscenizacyjny Julii Wernio wyborny. W żadnym teatrze, na najprawdziwszej, nowoczesnej scenie taki efekt nie zostałby osiągnięty. A tu dodatkowo wszystkie wnętrza i przedmioty autentyczne. Powtarzam się, ale to jest właśnie źródłem niezwykłego nastroju przedstawienia. Historia bosonogiego (z wyboru) chłopca i jego rodziny, która przemienia się kolejno w grono belfrów, komisję wojskową, sąd, polityków, generałów, ojciec wreszcie w Piłsudskiego, i między nimi bosonogi Witold: rugany, wyśmiewany, podejrzewany, hołubiony, znów poniżany, wplątany w wydarzenia, zagubiony lub z kolei pewny siebie, coś znaczący — to dzieje człowieka z naszego narodu, i losy tego narodu, po którym historia jeździ w tę i wewtę, burzy, buduje, znów rujnuje, gna i pędzi gdzieś ten naród, wabi obietnicami, kusi, to znów odpycha, wyśmiewa, lamentuje i znów szydzi bez litości. Mądry, gorzki, świetny spektakl. Aktorzy nad podziw radzą sobie z trudnymi rolami, czują, o co chodzi, a to Gombrowicz przecież, wcale niełatwy.

Julia Wernio bardzo dobrze „ustawiła" zespół, pomysły inscenizacyjne zaskakują świeżością i innością, bierzemy udział w spektaklu na wysokim poziomie. Dzięki temu myśl i przesłanie dramatu kładzie się przed nami w sposób klarownie czytelny. Co nie znaczy, że nie ma nad czym rozprawiać. Właśnie jest! Jeszcze jak jest! Nie tylko o losach i historii. I o tym również, że teatr żyje, może zaskakiwać nowymi pomysłami, że nie ma racji ten, kto gada, iż nic nowego nie da się wymyślić, że puszka się zamknęła.

Zespół Teatru im. Witkiewicza, mimo swej młodości, nie burzy niczego, nie niszczy, nie krzyczy *„precz ze wszystkim"*, by na to miejsce nie zbudować nic lub tylko imitację czegoś. Dość mocno tkwi w konkretnej tradycji, w zauroczeniu Witkacym, Gombrowiczem i ich teatrem. A zarazem tworzy nowe, idzie dalej, nie zapominając jednak, gdzie jest świadomie wybrany pra-początek. Jestem pewien, że usłyszymy jeszcze nieraz o tym zespole, że zaistnieje w świadomości szerokiej publiczności. Widziałem ich, rozmawiałem z nimi, słuchałem, co, i jak, mówią. Stąd taka pewność. Nie sądzę, by intuicja mnie zawiodła.

BO NAD WSZYSTKIM UNOSI SIĘ DUCH... WITKACEGO

Teatr ma już przyjaciół i sympatyków w Polsce, także wśród ludzi, którzy mogą pomóc: w wyprowadzeniu na szersze wody, ale przede wszystkim poprzez fachowe uwagi, analizy dokonań, rady i wskazówki. Wiem, że zyskali sympatię Tadeusza Łomnickiego, Andrzeja Żurowskiego, a Jan Paweł Gawlik napisał w jednej z krakowskich gazet, że poziom Teatru wyróżnia go spośród innych, nie tylko polskich. Tak mówi się o aktorach tworzących od niespełna roku teatr o statusie jeszcze nie zawodowym. Ale nie status przecież najważniejszy.

Poważne zainteresowanie, pomoc i poparcie (choćby tylko moralne) znajdują u Jerzego Treli, rektora krakowskiej Szkoły Teatralnej. Mimo nawału pracy jeździ do Zakopanego co jakiś czas, w taki sposób pojmując odpowiedzialność za swych byłych studentów, którzy zechcieli „coś robić". Nieczęsty to przypadek, by wychowawca tak dalece interesował się losami wychowanków. Powiedział zwyczajnie i słusznie: — *ze mną chce pan rozmawiać? Niech pan jedzie do nich, to ich praca, ich dzieło, zobaczy pan co robią, usłyszy, jak myślą... Ja tu nie mam żadnych zasług.*

Dobra jest (o dziwo) atmosfera wokół Teatru, dobra jest i w nim samym. W takim klimacie lepiej się pracuje, łatwiej planować przyszłość. A planuje się sporo. Już teraz odbywają się w salach „Witkiewiczówki" koncerty kameralne, zapraszane są inne zespoły teatralne. Stają się otwarci dla wszystkich artystów (nie tylko aktorów), którzy chcieliby tworzyć teatr artystyczny. Planuje się gościnne występy znanych aktorów, myśli o skupieniu wokół Teatru plastyków, nie tylko scenografów. (Przy okazji: bardzo ładnie ii ze smakiem zaprojektowane przez scenografa Elżbietę Wernio materiały ikonograficzne, czyli plakaty, druki reklamowe, koperty firmowe, teczki, świadczą o przemyśleniu całego przedsięwzięcia do najdrobniejszego szczegółu). To plany najbliższe. A dalsze? Są, ale nie chcemy zapeszać.

Ano, dobrze. Wobec tego, na zakończenie, coś z ich ukochanego Witkacego, artysty genialnego:

„Co do mnie, to chyba jedno trzeba mi przyznać, że w mojej pracy nie gonię ani za pieniędzmi, ani za sławą, mimo że są to rzeczy dość przyjemne, tylko od 20 lat narażam się na śmiech pospólstwa i nieuznanie, jedynie z wewnętrznej konieczności bycia takim, a nie innym (...)".

„Śmiech pospólstwa" ani nieuznanie młodych artystów z Teatru im. Witkiewicza szczęśliwie nie dotyczy. Wszystko pozostałe — tak.

MAREK KOPROWSKI

W Zakopanem pojawił się duch

MAREK KOPROWSKI

Foto: Grzegorz Galasiński

Pszczoła machnął ręką.

— O pieniądzach będziemy już mówić, jeżeli mamy mówić, później, ale na razie trzeba obgadać szczegóły.

— Szczegóły? — powtórzył Doliński i nagle zerwał się z fotela. — Powiedziałeś, że 3 stycznia? Ludzie, przecież to za kilka dni! Godziny można liczyć!

Baśka spojrzała na męża ze zdziwieniem.

— Nagle się obudziłeś? No, ale dla ciebie są ważniejsze wybory prezydenta w USA niż to, co się dzieje pod bokiem, we własnym domu!

— Dobrze już, dobrze, ale jak wy sobie to wszystko wyobrażacie? Co z weselem? Czy Kazik ma jakieś ubranie?

— Tata, ubranie będzie na czas gotowe.

— Szyjesz?

— Mamo, nasz ojciec spadł z księżyca. Niby co? Miałem pójść do sklepu i kupić? I tak jest klawo, że udało mi się zdobyć materiał. To dzięki mamie. Czasem opłaca się być nauczycielką i uczyć dzieci handlowców.

— Wcale mi to się nie podoba!

— To trzeba było załatwić przez prezydenta. Tata, przestań nas denerwować.

Pszczoła uśmiechnął się.

— Nie masz co, chłopie, wydziwiać. Czasy są ciężkie, a żyć trzeba. Zresztą cel uświęca środki. A ty myślisz, że z Majką nie było kłopotów? Przecież też musiała się jakoś ubrać.

— A samo wesele?

— Będzie, będzie, nie martw się! Dogadałem się z pewną ajentką. To moja dobra znajoma. Wiesz, prowadzi taki mały zakład gastronomiczny. Tam zorganizujemy całą uroczystość. Skombinuję trochę dodatkowego alkoholu.

— Widzę, że myślicie!

— Gdybyśmy liczyli tylko na siebie, to ten ślub odbyłby się na świętego nigdy — powiedziała Baśka.

(...) Dolińscy z synem zjawili się w Urzędzie Stanu Cywilnego piętnaście minut przed szesnastą. Doliński chciał jeszcze po drodze zabrać swoją matkę ale ta, nieco urażona, że o wszystkim dowiedziała się ostatnia, zjawiła się sama. Podobnie jak matka Baśki. Z tą był jednak mniejszy kłopot, bo mieszkała blisko, w centrum miasta. Byli więc w komplecie. Kilka minut czekali na Pszczołów, którzy przybyli wraz z Majką i jej bratem, Kazikiem, a także starszą parą. Jak się okazało, byli to rodzice Pszczoły. Ze strony Lodzi nikt się nie zjawił.

Młoda para prezentowała się znakomicie. Kazik miał na sobie bordowy garnitur z aksamitu, a Majka kremowy kostium. Głowę jej ozdabiał toczek z koronkowym tiulem. W ręku trzymała mały bukiecik z różnokolorowych gerberów.

Zabrakło czasu na dłuższe rozmowy, bo punktualnie o szesnastej poproszono wszystkich do głównej sali.

Gości nie było zbyt wielu. Kazik zaprosił tylko dwóch kolegów, z których jeden występował w charakterze drużby. Majka najwidoczniej zataiła swój ślub przed koleżankami z klasy, chociaż na świadka wybrała jakąś rówieśnicę.

Wypowiedzieli, powtarzając za urzędnikiem z dużym metalowym orłem na piersi, słowa przysięgi, po czym wymienili się obrączkami, a z głośnika popłynął marsz Mendelssohna.

Pszczołowa miała łzy w oczach, Dolińska trzymała się dzielnie, choć i ona sięgnęła po chusteczkę. Doliński też poczuł, że w pewnym momencie coś mu wilgotnieje pod powiekami, ale przezornie nałożył dziś ciemniejsze okulary, więc i tak nikt nie zauważył tej jego chwili słabości.

(...) Cała uroczystość zaślubin przebiegała bardzo sprawnie: w poczekalni kłębiły się już następne pary w otoczeniu rodzin i gości. Tłok był tak wielki, że ledwie zdążyli przecisnąć się na korytarz. W takich warunkach mogło się tylko skończyć na pośpiesznie wypowiedzianych życzeniach i pocałunkach. O szampanie nikomu się nie śniło: na wypicie tradycyjnej lampki należało jeszcze trochę poczekać.

Na schodach obsypano młodą parę drobnymi monetami. Kazik skrzętnie je zbierał i nawet poczuł, że kieszenie zaczęły mu ciążyć, najwidoczniej większość obecnych z góry się do tego przygotowała, no bo skąd nagle mogła mieć przy sobie taką ilość bilonu?

Kto miał samochód, zostawił go na parkingu przed Urzędem. Przez moment trwały przekomarzania, bo niektórzy chcieli, aby Majka z Kazikiem pojechali do restauracji fiatem, ale ostatecznie wszyscy zwartą gromadą poszli piechotą.

Restauracja, a właściwie restauracyjka, normalnie spełniała rolę baru szybkiej obsługi, na co wskazywała już jej sama nazwa — „Błyskawica" Nie była zbyt przytulna, bo duże okna wychodziły wprost na ruchliwą ulicę, ale ajentka, sympatyczna pani Janina, zrobiła wszystko, by lokal odpowiednio przysposobić. Okna zasłonięto grubymi kotarami z bordowego aksamitu, a betonową podłogę przykryły dywany, jakich nie powstydziłby się i lokal pierwszej kategorii. Ale najbardziej imponująco prezentował się sam stół. Czego tam nie było! Śledziki, wędlina przedniego gatunku, jajka w sosie tatarskim, cielęcina... W środku kusił oczy potężny indyk, przybrany jakimiś wycinkami z papieru. Z ukrytego w kącie magnetofonu płynęła skoczna muzyka.

Jeszcze goście nie usiedli, a już musieli wypić za nieustające szczęście młodej pary. Oczywiście szampana, w miarę ochłodzonego.

Pani Janina dała przykład, rzucając pusty kieliszek na podłogę. Inni uczynili to samo, niektórzy z pewnym ociąganiem. Najbardziej ociągał się Doliński, który nie mógł spokojnie patrzeć na to marnotrawstwo, zwłaszcza że z nabyciem kieliszków były już poważne trudności. Ale i on ostatecznie nie mógł uciec przed tradycją, która ma to do siebie, że istnieje zawsze i żaden kryzys nie może jej obalić.

(...) Od samego początku atmosfera była serdeczna, daleka od konwenansów. Doliński miał po prawej stronie Pszczołową. Za nią siedział Pszczoła, a z kolei za nim — Dolińska, rozdzielona tym razem od męża. Nikt nikomu nie wyznaczał miejsca. Zresztą to wszystko i tak wkrótce przestało mieć jakiekolwiek znaczenie, bo zaczęły się zwykłe w takich sytuacjach wędrówki, spowodowane początkowo samym tańcem, a potem różnymi pogwarkami.

Doliński nigdy nie miał specjalnych kontaktów z pracownikami gastronomii, a już z ajentami szczególnie, chociaż jego gazeta na temat gastronomii od czasu do czasu pisała, przeważnie negatywnie. Pani Janina musiała to czytać, bo najwyraźniej szukała okazji, by teraz zamienić kilka słów z redaktorem naczelnym.

— Jak się panu podoba, panie redaktorze? — spytała wreszcie, siadając koło niego na uboczu stołu.

— Bardzo. Nie przypuszczałem, słowo daję, że w takich warunkach można urządzić tak wspaniałe przyjęcie. To jest przecież, jak wiem, bar szybkiej obsługi?!

— Tak. Normalnie nie sprzedajemy żadnego alkoholu, nawet piwa. Wszystko, co uzyskujemy, to wyłącznie z jedzenia.

— I jakoś wychodzi pani na swoje?

— Na ogół, chociaż różnie bywa. Widzi pan, ja pracuję w gastronomii już ponad trzydzieści lat. Teraz jest bardzo trudno w naszym fachu, dostajemy przeważnie mrożonki, a wie pan, jak to jest z mrożonkami. Raz trafią się dobre, a raz do niczego. No, może niezupełnie do niczego, ale smakowo trzeba je solidnie przyprawiać. Niekiedy wyłączą nam światło, pan zdaje sobie sprawę, jakie to przynosi straty?

— Ale nie rzuca pani ajencji?

— Jeszcze próbuję, ale nie wiem, czy tak długo wytrzymam. Najgorsze są kontrole i to różnego rodzaju. Jedna odchodzi, a druga przychodzi. Rozumiem, że kontrole są potrzebne, bo i różni ludzie pracują w gastronomii, no i różni są sami ajenci. Niektórzy pragną jak najszybciej się obłowić. Znam takich, którzy pracują tylko latem. Jadą na Wybrzeże i tam szaleją, potem znikają, by po roku zjawić się ponownie.

— Ciągle czytam, że gastronomia przynosi straty. Jak to jest właściwie?

— Wie pan redaktor, gastronomię zjadają ci, którzy nie pracują w produkcji. Proszę policzyć, ilu mamy dyrektorów, zastępców dyrektorów, kierowników, ilu tych księgowych? Ta czapa jest po prostu za duża. U mnie pracuje syn, który jest kucharzem i córka, która wydaje obiady. Ona też pobiera od konsumentów pieniądze. Nasza praca opiera się na wzajemnym zaufaniu. Ja im muszę, to zrozumiałe, dać więcej poborów, może czynię to nie zawsze formalnie, ale ile godzin oni pracują! Gdyby ten lokal był państwowy, dorzuciliby kilka etatów, ale przecież tym dodatkowym ludziom też trzeba zapłacić. Z czego? Ano z tego, co się tu utarguje. Więcej ludzi, to i mniejsze zyski, jeśli nie deficyt. (...) Ajent jest sam zainteresowany w uzyskaniu dużych obrotów i musi dbać o konsumenta. Jeśli będzie źle karmił, to ludzie pójdą jeść gdzie indziej. U mnie jest tanio, nawet bardzo tanio, bo ja uznaję zasadę: duży obrót, mały zysk. To jest harówka, mówię panu, nawet w niedziele mamy zakład otwarty, ale za nadgodziny nikt przecież nie płaci. Więcej utargujemy, więcej zarobimy. Dziennikarze nie zawsze mają pojęcie, jak to jest w gastronomii, a nas, ajentów, zwykle mają za złodziei, za kanciarzy — podniosła głos. — A może tak sami popróbują, jak ten miód smakuje?

Doliński słuchał uważnie, nie przerywał. Dotychczas rozmawiał jedynie z prezesem „Społem", któremu głównie po reorganizacji podlegała gastronomia, a ten rzeczywiście we wszystkich ajentach widział tylko kombinatorów. Gdy powiedział teraz o tym, pani Janina uśmiechnęła się ironicznie.

— A może pan się przy okazji zapyta prezesa, ile dopłaca do „Europejskiej"? Ten lokal powinien przecież znosić złote jajka!

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

(5)

Pani Janina miała rację. Restauracja „Europejska" należała do tematów raczej wstydliwych. Straty za ubiegły rok poszły, a przynajmniej tak można było sądzić już po trzech kwartałach, w miliony. W przeciągu ostatnich trzech lat zmieniło się tu aż pięciu kierowników ale te personalne przesunięcia nie przynosiły żadnych rezultatów.

Dolińskiego gastronomia specjalnie nie interesowała przede wszystkim z tego powodu, że jadał zwykle w domu. Niemniej intrygowało go pytanie: jak to się dzieje, że w innych krajach żarcie stanowi złotą żyłę, a u nas często się doń dopłaca. W gruncie rzeczy zyski przynosiły małe lokale, nie zawsze z wyszynkiem, natomiast kolosy pracowały na stratach, a jeśli już dawały dochód, to był on bardzo niski. Teraz, po rozmowie z pani Janiną, doszedł do wniosku, że podrzucić ów temat działowi miejskiemu z poleceniem, by „problem zanalizowano dogłębnie".

Nie mógł rozmawiać zbyt długo, bo podszedł do niego Pszczoła z butelką wódki.

— Napij się, redaktorze — powiedział urzędowo, ale zabrzmiało to serdecznie. — Widzę, że poznajesz życie od podstaw!

— Tak sobie gadamy.

Przechylili po kieliszku, ale dzisiaj alkohol najwyraźniej nie służył Dolińskiemu.

— Wiesz — Pszczoła klepnął go po ramieniu — strasznie się cieszę, że jesteśmy już w jednej rodzinie. Bardzo mi się podobałeś, kiedy do ciebie zaszedłem. Wtedy w redakcji...

— Wydawało mi się, że jesteś bardzo bojowy. Mount Everest zdobywałbyś w środku zimy!

— Poważnie?

— Jakże niepoważnie? A wiesz co, stary? Po tej ostatniej naszej rozmowie coś mi tu nie gra!

— To znaczy?

— Zacznijmy od tego, że miałeś do nas przyjść i zakładać komisję „Solidarności". Nastawiłem się, przygotowałem do dyskusji. No i co? Ciągle czekam na ciebie!

— Możesz sobie czekać. Ja już nie przyjdę.

— Coś nowego?

— Niby. Wszystko się wydało. Wiedzą, że wydaję córkę za syna prominenta.

— Ja i prominent! Bez przesady!

— I to jeszcze jaki! Naczelny redaktor partyjnej gazety.

— Byłeś u mnie w domu..

— Byłem, byłem. Pięć krzeseł, dwa fotele i łazienka bez kafelków.

— Wymawiasz mi?

— Wymawiam, wymawiam... Po prostu śmiać mi się chce. Nasi myślą, że naczelny redaktor partyjnej gazety, czyli najwierniejszy z wiernych, ma willę z ogrzewanym basenem. Małą Kalifornię w środku miasta.

— Pieprzysz, z przeproszeniem!

— Przesadzam trochę, ale nie za bardzo. Ludziom się w głowach całkiem pokręciło.

— Ty mówisz mądrzej niż dzisiaj gadają na niejednym zebraniu partyjnym!

— Czyli, jak wy mówicie, jestem bezpartyjnym komunistą. Cholera wie. Ja ci kiedyś kładłem do głowy, że nie lubię żadnego draństwa. Poznałem ciebie. Widzę, że jesteś swój chłop...

— Przerwał na chwilę. — Ty nie sądź, że ja tak dlatego, dlatego — zaczął się trochę plątać — że my teraz w jednej rodzinie. Ale słuchaj, jesteś tym redaktorem naczelnym, bądź co bądź szychą, jak się patrzy, i co? Jeździsz maluchem, zarabiasz chyba też nie za bardzo. No ile, powiedz, ale tak szczerze!

— Trochę powyżej piętnastki. Mogę, oczywiście pisać, ale kiedy?

— Z bokami to ja więcej wyciągnę!

(...) Doliński słuchał Pszczoły z coraz większym zdziwieniem. Dobrze jeszcze pamiętał tę rozmowę w redakcji, która tak odbiegała od tej dzisiejszej, jak i tej, którą przeprowadził ostatnio u siebie w domu. Co się działo z tym człowiekiem? Skąd to nagłe zgorzknienie?

(..) Po zimnych przekąskach były gorące — flaczki, bigos, potem na stole zjawiły się ciasta. Doliński spoglądał na to wszystko i myślał sobie tak: teraz warto by tu ściągnąć korespondenta z Zachodu, a znał kilku takich, którzy mu szczególnie zaszli za skórę. Czytał właśnie niedawno, jak to jeden z nich pisał o wielkiej biedzie w Polsce. No, ale to wesele i tak należało uznać za bardzo skromne! Właśnie przedwczoraj Kazik Pawelski opowiadał mu, jak wydawał córkę za mąż i jak na to wesele przyjechał do niego przyjaciel z Belgii.

Doliński nie wytrzymał i wziął Pszczołę serdecznie pod rękę.

— Opowiem ci coś ciekawego. Mam takiego fajnego kumpla — Kazia Pawelskiego.

— To ten, co kręci w kabarecie?

— Tak, ten sam. Właśnie na wesele jego córki zwalił się pewien Belg. Gdzieś się przedtem poznali, polubili. Wiesz, obaj znają francuski. Ten Belg naczytał się w swojej prasie, że bieda w Polsce aż piszczy i wziął z sobą takie różne specjały. Szprotki w oleju, sardyneczki, koreczki, taśmy magnetofonowe z muzyką do tańca, kilka butelek wina. Słowem, czym Belgia bogata.

— Ciekawe, ciekawe! Ale się wybrał!

— Czekaj, słuchaj dalej. Wesele odbywa się na wsi. Przyjeżdża Belg z tymi podarkami do biednej Polski i co widzi? Widzi autokar zapełniony niemal do ostatniego miejsca. Śpiewy, wiesz, jak to u nas...

— Góralu, czy ci nie żal...

— Z góralem to później. Więc wsiadają do autokaru i jadą na tę wieś. Najpierw, jak to w polskiej wsi, wiąże Niebo, a potem Ziemia, czy odwrotnie...

— Wobec prawa ważny jest tylko ślub w Urzędzie!

— Nie bądź, człowieku, świętszy ode mnie! (...) Po tych dwóch ślubach jadą do domu, w którym odbywa się wesele. I tu się zaczyna cała historia. Orkiestra rżnie od ucha do ucha...

— Normalne!

— Normalne dla ciebie, ale nie dla Belga, który się tyle o Polsce złego nasłuchał. On przecież przywiózł taśmy z nagraną muzyką i z miejsca zobaczył, że się wygłupił. Ale co tam taśmy! Wyobraź sobie tego Belga, który wchodzi do domu panny młodej i widzi stół uginający się od baleronów szynek, polędwic... Te jego sardynki tak utonęły w tym bogactwie, że ani ich dojrzał. To samo stało się z winem. Kompletnie zginęło wśród butelek z czystą.

— Już ja to widzę!

— Belg swoje lata posiadał. Pół wieku wystukało. Nic dziwnego, że spił się szybko dokumentnie.

— Belgowie powinni przechodzić jakąś praktykę przed przyjazdem nad Wisłę.

— Nie skończyłem jeszcze. Minęła nocka, Belg gdzieś tam legł, rano nieco wytrzeźwiał i wyszedł na podwórko. No i co on zobaczył? Uśmiejesz się! Zobaczył psa, który siedział na stercie bigosu i odpierał inwazję kur, które z tej uczty chciały mu to i owo zakosić.

— Widzę to, widzę!

— Ale ty się znajdź na miejscu tego Belga, którego karmią u siebie takimi różnymi bzdurami. On myślał, że tu zobaczy same szkielety!

— No tak! My rzeczywiście wyglądamy jak szkielety. Z Lodzią włącznie!

— Belg obejrzał to wszystko na własne beligijskie oczy i znowu usnął w towarzystwie tak samo już poległych w alkoholowym boju.

— Czyli nie przywykł!

— Nie przywykł! Ja też byłem kiedyś na wiejskim weselu. Zdzierżyłem trzy dni. Potem już nie istniałem. A ów Belg mógł być tylko przez trzy dni w Polsce. Pożegnał się z Kaziem serdecznie i powiedział, że w jego kraju są kościoły, a w tych kościołach są skarbonki. Na głodujących w Polsce i na głodujących w Bangladeszu. I on, ten Belg znaczy, już nigdy nie wrzuci franka do tej puszki, która ma być dla Polski.

— Skąpiec! I zaprosić takiego skurwiela!

— A po tym weselu, a on przecież nie był do samego końca, oświadczył jeszcze, że takiego to nawet nie miał ich król... (...) — Wstawaj, za chwilę będzie obiad!

Doliński otworzył oczy, ale żona dalej tarmosiła jego ramię.

— Jaki obiad, jaki obiad? — zamruczał.

— Przecież już dochodzi pierwsza.

— To ja tak długo spałem?

— Wystarczająco. Za dużo wlałeś w siebie wczoraj alkoholu.

— Ale wszystko było w porządku?

— Prawie. Chciałeś jednak dać taksówkarzowi dziewięćset złotych napiwku.

— Lekka przesada!

— Tak było. Dałam mu tylko dwieście. Nie był tym zachwycony. Oni narzekają na pijaków, ale lubią ich wozić.

— Wesele syna stanowi okoliczność łagodzącą. A młodzi co? Wstali już?

— Oczywiście. Myślałeś, że czekają na ciebie? Majka pomyśli, że wpadła do ładnej rodzinki! Jeśli syn wda się w ojca...

— Przestań, bo zaczynasz mnie nudzić. Rozkręciłem się trochę, ale pod stołem nie leżałem.

— Tego by jeszcze brakowało! A wiesz, że Majka to gospodarna dziewczyna! Pomogła mi w kuchni. Sos do mięsa to jej dzieło. Jest znakomity.

(...) Nie oglądali wczoraj telewizji, a byli ciekawi, czy coś nowego wydarzyło się w kraju. Usłyszeli w radio, że ze składu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i jego prezydium usunięto Gierka, Babiucha, Jaroszewicza, Łukaszewicza i Szydlaka. „Usunięto"... — zabrzmiało to bardzo bezpośrednio, inaczej niż kiedyś, kiedy zamiast słowa „usunięto" używano innego: „wyprowadzono". Doliński bardzo tego nie lubił. „Wyprowadzić to — mawiał — można psa na spacer."

(...) — Majka — zapytał Doliński — a jak się umawiałaś z rodzicami? Nie przyjdą do nas dzisiaj?

— Nie. My tam potem wpadniemy z Kazikiem. Może państwo... — przerwała.

— Może mama i tato... — uzupełnił Doliński. — Wal śmiało, nie będziesz przecież do nas zwracać się tak urzędowo!

— Muszę się najpierw przyzwyczaić. Przyzwyczaić, że mam podwójnych rodziców. To samo czeka Kazika. Boję się, że jemu pójdzie trudniej.

— Mnie też szło jak po grudzie — rozrzewnił się Doliński. — Można jednak przywyknąć. Ale ci przerwałem.

— Właśnie. Może mama i tata też pójdą z nami?

— Nie. Tak bez zapowiedzenia? Mam zresztą trochę pracy. Jeszcze się dosyć wzajemnie naodwiedzamy. Twój ojciec ma jakieś kłopoty? Coś mi wspominał...

— On jest bardzo przekorny, ma swoje poglądy i stara się ich bronić. Może dlatego nigdy mu nie było łatwo. Zawsze też patrzy ludziom na ręce, a kiedy coś mu się nie spodoba, to rąbie prosto w oczy. Kiedyś już było tak, że omal nie wyleciał z pracy. Nie podobało mu się, że każdy zgarniał tylko do siebie. W „Polmozbycie", kiedy naprawiał samochody, nigdy nie wziął ani grosza od klienta. A wciskali mu forsę i koniaki! Obrażał się. Wszyscy patrzyli na niego jak na dziwaka. A kierownik najbardziej go przez to nie lubił, bo sam się bał, aby nie podpaść. Ale tam by i tak wszyscy mogli podpaść.

— Sam dawałem do kieszeni — mruknął Doliński. — A co miałem robić, kiedy się śpieszyło?

— Pan, jako redaktor... Tata — poprawiła się — mógł chyba załatwić sprawę z góry.

— Góra górą, ale do łapy i tak trzeba coś wsunąć. (...)

— Mój ojciec — stwierdziła Majka — opowiadał, jak to u nich w „Polmozbycie" dzielono premie. Dyrektor dostał ileś tam razy więcej od robotnika. Pretensje do dyrektora były jednak z innego powodu. Po prostu nie zgodził się na to, aby listę osób, które premie otrzymały, jak i same wysokości tych premii, podać do wiadomości publicznej. Cała delegacja poszła do redakcji i gazeta to pięknie opisała.

— I dyrektor listę wywiesił?

— Wywiesił, ale można ją było oglądać tylko przez kilka godzin. Potem ktoś ją zerwał.

— Nic nowego — wtrącił się Kazik. — U nas na uniwerku też tylko przez kilka godzin wisiała lista z nazwiskami tych, którzy dostali stypendium. Wiem, że na tej liście byli tacy, którym stypendia się nie należały. Dziewczyna dostała z gminy zaświadczenie, że rodzice mają hektar ziemi, ale w zaświadczeniu pominięto, że ten hektar jest pod folią. Chciałabyś, Majka, być tak ubrana jak ta lalula!

— Dziwna rzecz, ale i u nas w szkolnej kancelarii też giną listy z nagrodami. A przecież — dodała Dolińska — w kancelarii są tylko sami nauczyciele. Nie posądzam uczniów, aby robili takie głupie psikusy. Ciekawa jestem, czy w redakcji taka lista się uchowa?

— Nie wiem. Słowo daję, że nigdy nie oglądam tablicy ogłoszeń... — Doliński postanowił to sprawdzić przy najbliższej okazji.

C.D.N.

Do Łagiewnik na majówkę

W dawnych latach około połowy maja, kiedy już słońce mocniej przygrzało, ożywiały się w dni świąteczne podłódzkie tereny wypoczynkowe: Łagiewniki, Bedoń, Ruda i inne. Rozpoczynał się czas zabaw leśnych, zwanych „majówkami".

Ulubionym miejscem wypoczynku mieszkańców fabrycznej Łodzi był las łagiewnicki z malowniczymi wzgórzami, rozległymi stawami i nasłonecznionymi polanami. Najtłumniej odwiedzano Łagiewniki w czasie dorocznych odpustów na dzień św. Antoniego i w Zielone Świątki, ale również w inne dni wolne od pracy nie brakło chętnych do wypoczynku w tej uroczej miejscowości.

Na „majówkę" do Łagiewnik podążano całymi rodzinami. Już o świcie wyruszano z domów i po zejściu się większych grup na drodze łagiewnickiej tworzył się nieprzerwany sznur ludzi. Niemal każdy z wędrowców, w zależności od stanu własnej kieszeni, zabierał z domu większe lub mniejsze zapasy żywności i ruszał na pielgrzymi szlak. Droga nie była uciążliwa, gdyż tuż za Bałutami zagłębiała się w gęste i cieniste lasy.

Lud roboczy wędrował przeważnie pieszo, ale dla tych, którzy nie żałowali kilkunastu kopiejek, były do dyspozycji specjalne pojazdy: chłopskie furki umajone zielenią, bądź też wielkie platformy, które normalnie przewoziły towary. Włączały się one w kawalkadę eleganckich powozów fabrykanckich, bryczek mieszczańskich i zwykłych dorożek. Wśród plejady pojazdów przemykali na swych „stalowych rumakach" rowerzyści.

Po przybyciu do Łagiewnik i krótkim odpoczynku, pobożni pielgrzymi udawali się do miejscowego kościoła na uroczystości odpustowe. Podczas ceremonii kościelnych słuchano występu chóru przybyłego z Łodzi. Po mszy odpustowicze zwiedzali zabytki kościoła i klasztoru franciszkanów, a także stare kapliczki, rozrzucone w pobliskim lesie. Wielu łodzian zaglądało do sklepionej krypty pod posadzką świątyni, w której spoczywały zwłoki o. Rafała Chylińskiego, niegdyś chorążego „gorliwego w obronie kraju", a następnie brata zakonnego słynącego ze świątobliwego życia. Opieczętowaną trumnę bez przerwy oblegali pielgrzymi.

W dniach odpustów przed wejściem do kościoła sadowili się liczni żebracy. Zwykle już o świcie zajmowali posterunki, ponieważ zdobycie korzystnego miejsca przed bramą kościelną decydowało o wpływach do żebraczej kiesy. Wobec silnej konkurencji, każdy żebrak starał się wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę litościwych pielgrzymów. Jednym pomagało w tym rzeczywiste lub pozorowane kalectwo, innym — umiejętność przekrzyczenia konkurentów do jałmużny i przekonania ofiarodawcy, że jego grosze wydane zostały właściwie.

Za mną się wstawia Panna z Częstochowy,
Od Niej ja każdy grosik mam gotowy.
Kto mnie wspomoże, na cztery zdrowaśki
I u Niej łaski...

— zawodził przekonywająco obrotny żebrak.

Gdy uczestnicy uroczystości odpustowych obdarowali już żebraków jałmużną i wysłuchali dziadowskich pieśni o strasznych zbrodniach i nadchodzącym końcu świata, udawali się na obszerny plac przed kościołem. Stały tu szeregiem budy kramarskie i straganiy, rozmaitej wielkości i koloru. Można tu było nabyć różne pamiątki z odpustu: krzyżyki tombakowe i srebrne, różańce i sznury paciorków, książki do nabożeństwa i senniki, pierścionki imitujące złoto, obrazy świętych malowane pędzlem domorosłego artysty, i szczególnie chętnie nabywane cynowe figurki św. Antoniego.

W sąsiedztwie jarmarcznych bud znajdowały się bufety pod płóciennymi namiotami. Polecały one urozmaicony zestaw dań i przysmaków: gorące flaczki, smaczną grochówkę, parówki z chrzanem, do tego piwo i lemoniadę. Ruch w bufetach był duży, ponieważ wielu odpustowiczów trzymało się zasady, wypisanej nad wejściem do jednego z namiotów:

Ręka rękę myje, noga nogę kopie.
Głupi ten co wodę, zamiast piwa żłopie.

Sprawnie działała także gastronomia obnośna. W ruchomych bufetach można było nabyć pierniki, obwarzanki, owoce. Na każdym kroku spotykało się sprzedawców lodów, lemoniady czy wody sodowej.

Po obejrzeniu osobliwości odpustowo-jarmarcznych i dokonaniu zakupu pamiątek, ludzie zdążali na wypoczynek do lasu. Na trawie, w cieniu rozłożystych dębów rozkładano kraciaste koce i białe obrusy, na których pojawiały się wydobyte z wiklinowych koszy wiktuały i napoje. Pobyt na świeżym powietrzu zaostrzał apetyty. Znikały więc szybko przyniesione kiełbasy, salcesony i strucle, zakrapiane wódką, piwem i herbatą.

Po zaspokojeniu głodu, nadchodził czas wypoczynku i zabawy. Jedni zażywali na zielonej trawce poobiedniej drzemki, inni zabawiali się grą w karty. Młodzież przedkładała raczej gry ruchowe, jak „ślepa babkę", „lisa koło drogi", „komórki do wynajęcia" itp. Urządzano też gonitwy, grano w serso i piłkę. Powodzeniem cieszyły się huśtawki, sporządzone domowym sposobem z mocnej liny uczepionej końcami do pni drzew.

Las rozbrzmiewał krzykami, śmiechem i śpiewem. Z różnych stron płynęły dźwięki muzyki, świadczące, że zaczynała się pora ogólnej zabawy. Doroczny odpust w Łagiewnikach zmieniał się w olbrzymi festyn ludowy.

Na leśnych polanach, w tumanach kurzu, przy dźwiękach harmonii i skrzypiec wywijano skoczne polki i oberki. Rozbawieni ludzie śpiewali różne piosenki, często zasłyszane z operetek i wodewilów.

Gdy zagrają sztajera,
Zaraz ludek się zbiera,
Gdzie taneczne są koła.
I puszczają się w tany
Z ukochaną kochany.
Aż pot leje się z czoła.

W czasie tańców nie obowiązywała etykieta. Zrzucano marynarki. Tańczono żywiołowo z „biglem". Ulubionymi tańcami w środowisku robotniczym były oberki, polki, kujawiaki. Rzadziej tańczono walczyka.

Niekiedy harmonię zabawy zakłócały „ożywione rozmowy" i bijatyki podpitych tancerzy o względy dam.

Na tańcach, śpiewie, grach przeróżnych szybko upływał czas. Gdy słońce zapadało za lasem, zmęczeni emocjami świątecznej zabawy majówkarze wracali gromadami do dusznej, zadymionej Łodzi.

Po dniach świątecznych las łagiewnicki wyglądał jak pobojowisko. Połamane drzewa i gałęzie, krzaki pełne butelek, śmieci i papierów — wszystko to świadczyło o braku zamiłowania łodzian do porządku i czystości.

W lesie łagiewnickim pod pozorem „majówki" odbywały się również nielegalne zebrania robotnicze. W czasie tych zebrań wygłaszano pogadanki na tematy polityczne, czytano nielegalne broszury, śpiewano zakazane pieśni. Po zebraniu bawiono się przy muzyce. Była więc i najprawdziwsza „majówka".

WACŁAW PAWLAK

1 Spojrzenie znad szachownicy

Szansa

Pewna pani, której widok przyprawia mnie zawsze o nieokreślony niepokój — sam nie wiem doprawdy, co by to znaczyć miało — zechciała spytać łaskawie, dlaczego ostatnio tak rzadko spoglądam na świat zza szachownicy, czyżbym zakochał się wiosennie i stracił głowę dla czarnej królowej, albo wręcz dla jakiejś panienki?

Niewykluczone, że i to także, choć nie wiosennie, a jesiennie raczej, prawdziwa przyczyna tkwi jednak głębiej, reprezentując barwy „Kaczki", czyli żurnalistów, w tradycyjnym już drużynowym turnieju zakładów pracy pałaszyłem bowiem tak strasznie, że wstyd mi było spojrzeć w oczy kolegów, nie mówiąc już o pani, proszę pani, oczach. Iżby się odkuć pojechałem do Bydgoszczy na szachowe mistrzostwa Polski dziennikarzy zajmując tam niezłe miejsce tuż za medalowym podium i ustępując pola jedynie kilku wyczynowym zawodnikom głównie, z miesięcznika „Szachy", wciąż jednak nie było to to, co tygrysy lubią najbardziej.

Po turnieju odbyła się wszakże konferencja prasowa z udziałem prezesa PZSzach Stanisława Kani i podczas niej spłynęło na mnie natchnienie.

2.

Prezes całkiem rozsądnie mówił o niewątpliwych sukcesach w umasowieniu szachów, które dziwnie nie współbrzmią z kiepskimi wynikami polskich zawodników na arenie międzynarodowej, gdyż jedynie nasze panie coś znaczą w światowej czołówce. Przyczyn dopatrywał się w uprawianiu „filozofii średniactwa", sprowadzającej się w praktyce do jeżdżenia z jednego trzeciorzędnego turnieju na drugi, iżby z biedą ugrać sto dolarów, co na Zachodzie stanowi sumę śmieszną, ale gdy przeliczy się ją po czarnorynkowym kursie — stanowi całkiem niezłą pensyjkę. Gdy jednak przyjdzie walczyć na ostro taka kryzysowa sierotka marzy jedynie o remisie, iżby się zbytnio nie przemęczyć, co z góry przekreśla szansę na jakiś znaczący sukces.

A przecież — kontynuował prezes — szachista niekoniecznie musi być wyczynowcem, może zostać trenerem, analitykiem czy komentatorem dajmy na to, byle robił to porządnie.

Trenerem nie zostanę — pomyślałem, gdy prezes tak się złościł — trzeba bowiem kończyć rozmaite kursy i zdobywać uprawnienia, analitykiem tym bardziej, wymaga to bowiem wielogodzinnego ślęczenia nad szachownicą, czego nie lubiłem nigdy, ale komentator — to byłoby coś dla mnie.

Tamy runęły i wzburzone myśli popłynęły szeroką strugą. Istnieją, kombinowałem, liczne pisma szachowe posiadające rozbudowany dział literacki — taki na przykład dwutygodnik „64" redagowany przez eks-mistrza świata Karpowa drukuje nawet opowiadanka science fiction — nie ma natomiast pism literackich czy społeczno-kulturalnych posiadających przyzwoity dział szachowy. Owszem, podobne działy pojawiają się w prasie codziennej bądź w tak zwanych tygodnikach kolorowych jak „Perspektywy" czy „Panorama", ale już w „Literaturze" niczego takiego ze świecą w ręku nie uświadczysz, choć Jerzy Putrament to także szachista!

Słowem przed nami, to jest przed „Odgłosami", a i przede mną również, otwiera się szansa wprost niezwykła: możemy być jedyni w Łodzi, w kraju, na świecie, a i w naszej galaktyce najprawdopodobniej także, co daje przy okazji przyjemne poczucie bezpieczeństwa, jedyność gwarantuje bowiem, że żaden pacan nie robi tego czegoś lepiej.

3.

Oczywiście nie musimy zaczynać od drukowania diagramów, czy też tajemniczych wariantów w rodzaju 1. e4 e5 2.Sf3 Sc6 3. Gb5 i tak dalej, które tak okropnie śmieszą Życiowego, że aż niekiedy mnie przedrzeźnia.

Nie, my zajmiemy się filozoficzną, etyczną, estetyczną i diabli wiedzą jaką jeszcze stroną szachów, które są wszechobecne w życiu, sztuce i polityce, bo czyż nie jest godne uwagi, że przegoniony z Filipin prezydent Marcos część defraudowanych milionów przeznaczał na popieranie szachów właśnie?!

No a Szekspir, co powiecie o Szekspirze? W zasadzie jestem aż do przesady skromny, trudno jednak zataić, że to ja wykryłem, iż Prospero jest szachistą, skoro bowiem w zakończeniu „Burzy" Miranda i Ferdynand grają w szachy o dwadzieścia królestw, dziewczyna mogła nauczyć się grać jedynie od ojca, bo nie od Kalibana przecież! Coś z tego wynika, a co, to się dopiero okaże, jeżeli zaczniemy temat rozwijać i drążyć.

4.

Tak, tak, moi kochani, rzucam wam nie tyle pomysł, co szansę, a wy ją łapcie, słowem przyzwólcie, iżbym odrzucając zbędny kamuflaż przynajmniej przez czas jakiś pisywał w tej rubryce o szachach po prostu. Może się to przyjmie, może nie przyjmie, starać się jednak będę ogromnie, a to w nadziei, że pani, którą przywołałem we wstępie, zapragnie, iżbym ją w szachach oświecił.

Wówczas przestanę zawracać wam głowę, będę miał bowiem komu głowę zawracać.

JERZY P.

2 Są takie słowa

Zadzwoniłem do znajomej z księgarni — zgłosiła się chirurgia.

— Przepraszam — mówię — to pomyłka.

— Nic podobnego — odpowiada na to chirurgia — pan wykręcił dobry numer, tylko u nas przełączali stare szafy na nowe i wszystko pokręcili. Jak pan zadzwoni do chirurgii, to zgłosi się księgarnia.

— Ale nie posiadam numeru chirurgii.

I chirurgia podała mi swój stary numer.

Po kilku dniach zadzwoniłem do chirurgii, ale zamiast księgarni zgłosiła się chirurgia.

— Co znowu się stało? — pytam.

— Nic — odpowiada mi chirurgia — przywrócono nam właściwy numer. Może pan już dzwonić do księgarni na stary numer.

W księgarni zapytałem, skąd dowiedziano się o zamianie numerów.

— A od klientów, którzy dzwonili do nas i zorientowali się o zamianie.

— Czy ktoś zawiadomił was, że już wszystko w porządku i przeprosił za kłopot?

— Skąd, nikt nic takiego nie zrobił.

Gdyby właściwy urząd telekomunikacyjny chciał znać szczegóły, to jestem gotów mu je udostępnić.

Są w naszym języku słowa, których używamy coraz mniej. Są to słowa: dziękuję, przepraszam, proszę bardzo, proszę mi wybaczyć i temu podobne. Słowa te są w zaniku, a wynika to ze zdziczenia obyczajów.

W młodości uczono mnie, że gdy wchodzę do sklepu, biura czy innego publicznego pomieszczenia, a z tego pomieszczenia wychodzą ludzie, to powinienem najpierw ich wypuścić, a następnie wejść. Jest to logiczne, gdyż wypuszczając ludzi z danego pomieszczenia, robię niejako miejsce dla siebie i innych wchodzących. Jest to jednak zwyczaj dziś kompletnie zapomniany. Dziś każdy idzie jakby był jedynym na świecie i najważniejszym i wszyscy muszą mu ustępować z drogi. W drzwiach pomieszczeń publicznych — a najlepiej widać to w sklepie — robi się tłok i zamieszanie, którego można przecież uniknąć przestrzegając tej prostej i logicznej zasady: pierwszeństwo mają wychodzący!

Już kiedyś KTT zaobserwował, że u nas buduje się bardzo wąskie wejścia tak do urzędów, jak i sklepów. A jeśli gdzieś wybudowano — co za rozrzutność — dwa obok siebie wejścia, to jedno jest z reguły zamknięte. Do dziś nie mogę zgłębić tej „zasady". Norma polska to, czy zwyczajna głupota inwestorów i projektantów? A może to po prostu wynik tego, że każda instytucja żyje najlepiej i najpełniej własnym wewnętrznym życiem i każdy interesant czy klient jest niepożądanym intruzem, który tylko zakłóca ten wewnętrzny ład i spokój. A więc — co już wydaje się logicznym wnioskiem — należy utrudnić mu wszelkimi sposobami wstęp do każdej instytucji. Niech nie zakłóca i nie przeszkadza!

Takim przykładem instytucji, która świetnie sobie może radzić bez klientów jest nasza kolej państwowa. Wożenie towarów i pasażerów jest dla PKP niewymownym ciężarem. Robi się więc wszystko, aby tych pasażerów zniechęcić do korzystania z usług PKP. Czasem z pozytywnym skutkiem, ale nie zawsze. Człowiek jest niekiedy zmuszany przez życie, los i szefów do podróżowania. Nie każdy ma już samochód, więc wielu musi niestety korzystać z usług PKP albo PKS.

15 maja 1986 r. pociągiem pośpiesznym wracałem z Warszawy. Nie ma jeszcze takiej zasady, że na pociągi pośpieszne sprzedaje się tyle biletów ile jest miejsc. Taki przywilej mają tylko ekspresy. W pociągu więc, który odchodził o godzinie 16.20, był tłok i ludzie stali na korytarzu. Nagle rozległ się głos, który za pośrednictwem głośników poinformował nas, że pociąg odjedzie o 16.20. Głos poprosił pasażerów, aby zwrócili uwagę na drzwi, które zamykają się automatycznie. W wagonie, w którym jechałem, wszyscy wlepili oczy w drzwi. Pociąg ruszył, a drzwi pozostały otwarte. Wreszcie jakiś pan pchnął je ręka i one zamknęły się. Wszyscy się roześmiali. Było gorąco, ale zrobiło się miło i swojsko.

W Koluszkach tenże sam głos poinformował nas, że pociąg choć pośpieszny, będzie stawał na każdej stacji. Spóźniliśmy się do Łodzi pół godziny. Ktoś uparcie dopytywał się dlaczego. Jakiś pan wytłumaczył, że dwa poprzedzające pospieszny pociągi nie wyjechały z Koluszek.

— To nie można było poinformować nas o tym przez głośniki? — zdziwił się ktoś.

— I przeprosić za ten kłopot i niewygodę! — dodał inny pasażer PKP.

Ano, nikomu z obsługi pociągu nie przyszło to do głowy. Są bowiem takie słowa, jak przepraszam, które coraz szybciej zanikają, ulegają zapomnieniu. A może byłoby dobrze uratować te słowa?

LUCJAN BOGUSZ

3 Mundial szajba

Bardzo Państwa przepraszam za to, że znowu bezpardonowo wpycham się na kolumnę felietonową, która jest zastrzeżona dla publicystów rozsądnych wyłącznie. Muszę jednak wyznać szczerze, iż nie czynię tego z własnej woli, lecz z brutalnej konieczności. Oto bowiem szaleje u nas groźny wirus paraliżująco-drgawkowy przez lekarzy wyodrębniony i nazwany kryptonimem „Mundial '86". Paskudztwo to atakuje zdrowe społeczeństwo średnio raz na cztery lata i nie daje się skasować płynem Lugola, szczepieniami ochronnymi, ani zajzajerem. Osobnicy dotknięci działaniem wirusa zachowują się rozmaicie — jednych ogarnia podniecenie z wysoką gorączką, innych globalny tumiwisizm rodzinno-zawodowy, jeszcze inni odzyskują mowę albo wręcz ochotę do śpiewania — niestety. Cechą wspólną wszystkich chorych jest czasowa niezdolność do logicznego myślenia i wykonywania swoich normalnych obowiązków. Ponieważ ofiarami wirusa pada głównie płeć brzydka, przeto na czas epidemii odpowiedzialność za losy kraju spada na nasze kruche niewieście barki — stąd moja dzisiejsza obecność w roli felietonisty.

Wszechstronne badania dużych populacji upośledzonych chorobą mundialową wykazują, że znaczny procent pokrzywdzonych cierpi na głębokie patologiczne zmiany w największym skupisku tkanki nerwowej kręgowców. Obserwowalnym tego efektem jest pełne lub częściowe wyparcie czynności myślenia przez kombinowanie. Dominuje kombinowanie o zabarwieniu materialnym, stąd zalew naszego biednego rynku duperelami z emblematem „Mundial", w rodzaju: torby pałakowe, łapki debilki, naczynia szklane o pojemności sto gramów niekoniecznie do lemoniady, bluzy dziane z elany workowej, podgardla dziecięce, breloki do kluczy francuskich tego samego rozmiaru, blaszane zegarki, pierzaste koguciki, baloniki na druciku... Z grubsza ważąc same tylko wyroby z tzw. metaloplastyki, zachodzi obawa, iż Huta Katowice walcuje wyłącznie na użytek kombinatorów.

Trochę gorzej ma się sprawa odzieży mundialowej, czyli uniformów kibica. Tutaj zbyt natrafia na bariery obiektywne, szczególnie w branży krawaciarskiej, albowiem handel nasycony jest jeszcze gustownymi ozdobami męskich koszul z napisem „Mundial '74", szerokimi od nerki do nerki. Za to czapeczki na rozpalone główki pójdą zapewne jak woda.

Wszystko przemawia za tym, że choroba mundialowa sieje największe spustoszenia w kręgach estradowych, choć wydaje się mało prawdopodobne, by coś mogło jeszcze bardziej zaszkodzić naszej rozrywce — może z wyjątkiem lustra. Wirus dopadł już tekściarzy amatorów, zawodowych poetów oraz pół armii śpiewaków ze starego i nowego portfela. Uwolniła się przy tym taka energia, że spokojnie można by nią ogrzać gmach ministerstwa finansów. Dzięki czemu powstały utwory niebanalne, zaskakujące prostotą i melodyjnością, rzec by odkrywcze w każdym calu! No bo przecież wynika z nich niezbicie, że piłka jest okrągła, bramki są dwie, a wygra ta drużyna, która strzeli więcej goli. Temat dyżurny „Mundial" zaowocował więc niczym jabłonie profesora Pieniążka.

Zdecydowanie wyróżniającym się przebojem jest bez wątpienia dzieło artysty muzykującego Dąbrowskiego Andrzeja zatytułowane „Mundial song". Tu młodzieży punkowej śpieszę wyjaśnić, iż artysta Andrzej D. — palker i solo, niespełna ćwierć wieku temu, czyli w czasach panowania adapterów „Bambino", wylansował inny supersong o ksywie „Do zakochania jeden krok". Oba te dzieła cechuje głęboka refleksja nad egzystencją człowieka i jego środowiska naturalnego, ze wskazaniem na wyższość piłki kopanej. To, że artysta siedemdziesiąt dziewięć razy powtarza (a może wyśpiewuje?) słowo „Mundial" o niczym jeszcze nie świadczy, bo przecież produkcja masowa bywa monotonna.

Do grona artystów — mundialowców dołączyły ostatnio także niewiasty, w tym jedna, która niesłusznie posądzana o sympatię dla kulturystyki. Kapele rockowe oraz podwórkowe ramię w ramię rżną mundial — oberki i mundial — hity, co zapowiada wygaśnięcie konfliktu pokoleń. Bogaci sponsorzy organizują podobno międzynarodowy festiwal pieśni futbolowej oraz cykl turniejów wierszy mundialowych o nagrodę Piechniczka.

Kończąc zapewniam Państwa gorąco, że najgorsze dopiero przed nami — w czerwcu.

REZERWOWA II

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(1)

OD AUTORA

Pragnę podziękować wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad „Agonią w błysku stu słońc i dzięki którym wypadki antycypowane w „Ewangeliarzu Eliasa" pod względem merytorycznym pozostają w wysokim stopniu prawdopodobieństwa z wypadkami, jakie mogą rozegrać się w przyszłości.

Pisząc „Agonię w błysku stu słońc" korzystałem z następujących książek i opracowań: „Broń jądrowa" — Tadeusza Pióro, „Radioaktywność a zdrowie ludzkie" — Zbigniewa Jaworowskiego, „Metodyka prognozowania i oceny skutków uderzeń jądrowych" — praca zbiorowa, „Miasto w wojnie jądrowej" — Jerzego Zakrzewskiego, „1000 słów o atomie i technice jądrowej" — Ryszarda Szepke, „Metodyka oceny pożarowej w RPBJądr." — Antoniego Wrony, „Przysposobienie obronne" — praca zbiorowa, „Zarys fizyki" — W. Boltona, „Jaśniej niż tysiąc słońc" — Roberta Jungka, „Francuska »przygoda atomowa« — Charlesa Aillereta, „Jeśli nie nastanie pokój" — praca zbiorowa.

Wymienionym autorom chciałbym wyrazić wdzięczność za wiedzę, którą czerpałem z ich dzieł.

Dziękuję także:

— podpułkownikowi dyplomowanemu Wiktorowi Kuryłkowi — za bez mała dwa lata przepracowane wspólnie w Miejskim Sztabie Wojskowym, gdzieśmy swego czasu usiłowali przewidzieć skutki różnych uderzeń jądrowych na znękane symulowanymi nalotami miasto Szczecin;

— podpułkownikowi dyplomowanemu Edmundowi Łącznemu oraz podpułkownikowi dyplomowanemu Mieczysławowi Suchorskiemu — za szereg fachowych informacji i porad;

— majorowi pożarnictwa inżynierowi Józefowi Stefaniukowi — za cenne wskazówki;

— mojej żonie i córce — same wiedzą za co.

Osobne podziękowanie składam kierowniczce sklepu papierniczego nr 4912 w Stargardzie Szczecińskim, pani Władysławie Pawlikowskiej, która zaopatrując mnie w materiały piśmienne, w większym stopniu przyczyniła się do powstania „Agonii w błysku stu słońc" niż tak zwani lokalni mecenasi kultury.

Dziękuję również tym wszystkim, którzy nie przeszkodzili mi w napisaniu tej powieści, choć mogli.

Kiedy praca nad „Agonią w błysku stu słońc" była w pełnym toku, Szef Miejskiego Inspektoratu Obrony Cywilnej w Stargardzie Szczecińskim, ppłk. dypl. Edmund Łączny — z okazji bardzo dla mnie miłej uroczystości — wpisał mi do sztambucha między innymi:

„Jacku!

Niech nasze merytoryczne rozważania pozostaną tylko na kartach Twego dzieła. Sprawdzaj się w działaniu, a pracuj tak, bym ja nigdy w działaniu nie musiał się sprawdzać.

Żołnierz Mundek'

A zatem... w imię Najwyższych Hierarchii Duchowych... zaczynajmy.

MOTTO Z „EWANGELIARZA ELIASA"

„Efekt był jedyny w swoim rodzaju, wspaniały, piękny, niesamowity i przerażający. Nigdy przedtem człowiek nie wywołał zjawiska o tak ogromnej mocy. Nie da się opisać efektów świetlnych. Cała okolica została oświetlona oślepiającym blaskiem o natężeniu wielokrotnie większym niż blask słońca w południe. Było to światło złote, purpurowe, fioletowe, sine i niebieskie. Oświetliło każdy wzgórek, szczelinę i grań pobliskiego łańcucha gór z wyrazistością i pięknem, których nie można opisać, które trzeba zobaczyć by móc je sobie wyobrazić. Było to piękno, o jakim śnią wielcy poeci i które opisują w ubogi i niedokładny sposób. W trzydzieści sekund po eksplozji najpierw nadszedł poryw powietrza, gniotący ludzi i przedmioty, a niemal natychmiast po nim zaczął się silny, długotrwały, groźny grzmot, który przypominał o dniu Sądu Ostatecznego i dał nam odczuć, że my, słabe istoty, popełniamy świętokradztwo usiłując igrać z siłami należącymi dotąd do Stwórcy..."

(Departament Wojny, 16.VII. 1945).

FRAGMENT PROLOGU Z „EWANGELIARZA ELIASA"

... Wszyscy jesteście trupami. Z mojego dzisiaj patrzę na was tak jak na film ukazujący minioną rzeczywistość. W moim dzisiaj żadne z was nie istnieje. Nie istnieją wasi rodzice, dzieci, siostry i bracia. Nie istnieją wasze pralki, lodówki i telewizory, wasze domy i przydomowe ogródki ze starannie przystrzyżoną trawą, wasze garaże i samochody. W moim dzisiaj nie ma już waszych autostrad, mostów, lotnisk, elektrowni i zakładów przemysłowych. Nie ma w nim waszych fabryk, sklepów, magazynów, wytwórni, kopalń, koncernów, towarzystw ubezpieczeniowych i banków. Zniknęła część waszych rzek i jezior, zniknęła większość waszych miast i miasteczek, zmieniła się konfiguracja terenów, nawet kształty waszych kontynentów w moim dzisiaj nie przypominają tych, które widzicie spoglądając na mapę. Wszyscy jesteście trupami. To tylko wasza niewolnicza zależność od współrzędnych czasoprzestrzeni daje wam złudzenie materialnego istnienia...

I KOŁO SIĘ ZAMKNIE

Współcześni ludzie to stworzenia z reguły osiadłe. Ale są między nimi duchy niespokojne, które owładnięte instynktem praprzodków prowadzą koczowniczy tryb życia. Pod wpływem nagłego impulsu porzucają oni swoje siedziby i wyruszają przed siebie bez celu, wytyczając szlak. Jeśli trafią do miejsca, gdzie znajdą sprzyjające warunki, bywa że decydują się tam pozostać, a wtedy wytyczonym szlakiem podążają za nimi inni i szlak się poszerza. Wpierw jest to droga gruntowa, później ludzie wysypują ją tłuczniem lub żwirem, jeszcze później zostaje wybrukowana i pokryta asfaltobetonem, aż wreszcie przekształca się w szosę profilowaną, zaopatrzoną w urządzenia odwadniające i tak gładką, jak plaża Daytona na półwyspie florydzkim.

Niepodobna dzisiaj ustalić, który to z Seminolów odcisnął swoją stopą pierwszy ślad na podmokłym terenie tego półwyspu. Wiadomo tylko, że ci Indianie żyli tam od początku. Dopiero w XVI wieku na Florydzie (zanim nazwano ją Florydą) zjawili się Europejczycy. Dowodził nimi hiszpański konkwistador Juan Ponce de Lèon, założyciel osady Saint Augustine, i to on był tym, który miał szansę wytyczyć szlak. Po Hiszpanach na półwyspie florydzkim wylądowali Francuzi, po Francuzach przybyli Anglicy, aż w końcu dotarli tu Amerykanie. Historia tego zakątka ziemi w dużym skrócie przedstawia się tak: część hiszpańskich osadników wyrżnęli Francuzi, po czym nastał okres spokoju. Potem Hiszpanie w rewanżu wyrżnęli Francuzów i nastał nowy okres spokoju. Z kolei Hiszpanów wyrżnęli Anglicy i jeszcze raz nastał okres spokoju. Wkrótce jednak zakłócili go Hiszpanie i wyrżnęli Anglików. Po czwartym okresie spokoju Hiszpanów wyrżnęli Amerykanie. Teraz na Florydzie znowu panuje względny spokój, ale jeśli wierzyć przepowiedniom Indian, nie będzie on trwał długo. Amerykanów wyrżną Seminolowie, którzy — co jest zrozumiałe — podczas wzajemnej hiszpańsko-francusko-angielsko-amerykańskiej rzezi wyrzynani byli niejako okazjonalnie, a dzisiaj, pomijając członków tego szczepu przesiedlonych do stanu Oklahoma, egzystują na półwyspie florydzkim w dość izolowanej mikrospołeczności i zajmują się sprzedażą pamiątek. Seminolowie więc wyrżną Amerykanów i koło się zamknie.

Konkwistador Juan Ponce de Lèon miał szansę wytyczyć szlak, ale tego nie zrobił, chociaż dokonał czynu o większym znaczeniu: odkrył półwysep florydzki, ujawnił ten fakt przed Starym Światem i pociągnął za sobą innych. Zrobił to natomiast człowiek o nazwisku Flagler. Był on nieco stukniętym amerykańskim milionerem, który związał się, by sfinansować budowę linii kolejowej łączącej osadę Palm Beach z resztą kraju. Linię tę oddano do użytku w roku 1812, czyli na sześć lat przed tym, jak generał Andrew Jackson wyrżnął Hiszpanów i zaanektował półwysep florydzki do Stanów Zjednoczonych. Warto dodać, że wdzięczni mieszkańcy półwyspu, w uznaniu zasług generała Jacksona, wybrali go na stanowisko gubernatora, z którego potem przeniósł się na fotel prezydencki.

Śladem Flaglera ruszyli następni milionerzy. Asystowali im ludzie, bez których nawet milionerzy, czy też zwłaszcza milionerzy po prostu nie mogą się obejść oraz cwaniacy, którzy nie mogą się obejść bez milionerów. Warunki klimatyczne na Florydzie są równie kuszące, co warunki klimatyczne na pustyni Mojave, tyle że biegunowo odmienne, choć tu i tam słońce świeci przez 365 dni w roku, chyba że przeoczy rok przestępny i na ten dodatkowy dzień zaplanuje sobie wychodne. Warunki, o których mowa, nie dotyczą okolicznych wysepek i pasa nadbrzeżnego, gdzie klimat jest jak łono kochanki. Bóg po stworzeniu raju musiał dojść do wniosku, że do osiągnięcia jego doskonałości należy usunąć pewne fragmenty i bez zbytniej troski o ich los strzepnął je ze swoich wyżyn, jakby to były skrawki ciasta na stolnicy. Opadły one w różnych rejonach naszego globu, przy czym jeden z nich trafił właśnie na obszar położony między 80 a 85 stopniem długości i 23 a 30 stopniem szerokości geograficznej.

Szlak więc został wytyczony i na półwysep florydzki zaczęli napływać kolejni przybysze. Niektórych przyciągały inwestowane tu pieniądze i możliwość zarobku, innych niezwykłość i szczególny urok tego miejsca, jeszcze innych — kiedy Florydа stała się modna — snobizm albo rozpaczliwa pogoń za życiową szansą. Przybysze założyli nowe osady, a linię kolejową, przedłużoną przez Flaglera do Miami, zastąpiła szosa sięgająca aż po Key West. Skrawkowi raju, którym Bóg wzgardził uznając go za niedoskonały, ludzie nadali polor doskonałości dzięki technice. Z osad wyrosły miasta i osiedla; autostrady i szosy pokryły półwysep niczym naczynia krwionośne. I nagle okazało się, że każda mila kwadratowa tego bagnistego, malarycznego gruntu warta jest miliony. Obdarzeni wyobraźnią spryciarze rozdrapali parcele, by wznosić na nich bloki mieszkalne, pensjonaty, restauracje, zajazdy, bary i kompleksy hoteli, bo Floryda magicznym sposobem przeistoczyła się w Ziemię Obiecaną dla wszystkich — bogaczy, kombinatorów, emerytów, spekulantów, turystów, hochsztaplerów, podupadłych arystokratów i kontestującej młodzieży. Parytety złota i walut na rynkach światowych podlegały kapryśnym zmianom, ale wartość nieruchomości na Florydzie nieustannie rosła. Rosły także koszty utrzymania i zdawało się, że nic nie jest w stanie tego wzrostu powstrzymać.

Jednakże wydarzyła się rzecz straszna, niepojęta z punktu widzenia właścicieli willi, moteli, aligatorowych ferm, kafeterii, domów wczasowych, plantacji pomarańcz, sklepów i działek budowlanych usytuowanych w południowej części Florydy. W tym roku, tuż po święcie Czwartego Lipca, ceny po raz pierwszy od lat zaczęły spadać. Zaczęły spadać gwałtownie. Spadały katastrofalnie.

Spowodował to komunikat władz lokalnych informujący, że tereny położone na zachód od trójkąta, który wyznaczają miasta Hialeah, Miami i Homestead, i sięgające aż do granic Parku Narodowego Everglades zostają zamknięte ze względu na powstałe zagrożenie dla przebywających tam ludzi. Komunikat — nie wdając się w szczegóły — wzywał wszystkie osoby do opuszczenia tych terenów i zapowiadał przymusową ich ewakuację w ciągu dwunastu godzin.

Od czasu ogłoszenia komunikatu minęły dwa tygodnie i władze nadal nie udzieliły żadnych wyjaśnień. Ludność cywilna karnie opuściła zagrożone tereny, które niezwłocznie otoczyło wojsko. Z pewnym ociąganiem opuszczano także pobliskie miasta i osiedla. Plaże Fort Lauderdale, Hollywood, Miami, Coral Gables i Homestead zaczęły pustoszeć. A ceny wciąż spadały. Spadały na łeb na szyję. Właściciele nieruchomości, którzy liznęli nieco historii, wskutek zaistniałej sytuacji wyrobili sobie trafny pogląd na to, co odczuwali ich przodkowie w „czarny piątek" 25 października 1929 roku.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Z „EWANGELIARZA ELIASA"

Ostatnie minuty przed godziną „G".

Gdzieś w centrum wyły syreny, a chłopak leżał brzuchem na szorstkim ręczniku, kilka metrów od krawędzi basenu. Miał na imię Adam, osiemnaście lat i mocno zaciśnięte pięści pod brodą trzymane jedna na drugiej. Patrzył, jak Linda Tossey dopływa do przeciwległego brzegu i wspina się po drabince — trochę ociężale po kwadransie spędzonym w wodzie, w stanie prawie nieważkości. Zaraz — myślał — zdejmie z głowy czepek, rozrzuci włosy na ramionach i w tym swoim kostiumie bikini podobnym do bladoniebieskiej mgły wyciągnie się na materacu, z tułowiem uniesionym na łokciach i z twarzą zwróconą do słońca, wśród szczebiotu jej trzech koleżanek, które upozowane na sąsiednich materacach plotkują popijając koktajl z lodem. I oczywiście rozchyli nogi i wypnie biust, żeby ten cholerny wymoczek na leżaku pod parasolem niczego nie przeoczył.

Syreny nadal wyły, ale ich wycie dobiegało tu przytłumione i było słabo słyszalne. Znowu ćwiczebny alarm. Całe szczęście, że klub ten znajduje się daleko od centrum i że zarząd nakłonił odpowiednie władze do wydania zakazu instalacji syren alarmowych w promieniu trzech kilometrów. Istotnie, sytuacja na świecie od paru miesięcy jest bardzo napięta, ale to jeszcze nie powód, żeby bez potrzeby niepokoić członków klubu, którzy powinni mieć zagwarantowane przyzwoite warunki wypoczynku. Ostatecznie nazwa „Enklawa przyrody" zobowiązuje. Nie jest to może waszyngtoński Chevy Chase, ale zawsze.

Od strony kabin betonową ścieżką przecinającą trawnik nadchodziły dwie dziewczyny w jednakowych kostiumach i w słomkowych kapeluszach. Adam ogarnął spojrzeniem ich piersi, biodra i uda, i ponownie utkwił wzrok w Lindzie. Jakieś dziwne właściwości — pomyślał — ma ten bladoniebieski materiał. Taki mokry i przylegający do jej skóry, każdym ułamkiem kwadratowego centymetra wysyła sygnały informujące, że ona jest już dojrzałą kobietą, a kiedy po wyschnięciu odrobinę się skurczy i mocniej opnie jej ciało, sygnały nawet przybierają na sile, chociaż rozchodzą się na innych falach, pobudzając w człowieku nowe rejony wyobraźni. Tylko że ten wymoczek, do którego ona nadaje, ma teraz — co za pech, no nie? — przestrojony odbiornik w mózgu. Siedzi na leżaku pod parasolem, z nosem w książce, a w jego okularach odbijają się wężowe znaki paragrafów.

— Richard przygotowuje dysertację — powiedziała Linda podczas balu na zakończenie roku szkolnego. — Ma już zapewnioną posadę w spółce adwokackiej Donovana w Waszyngtonie. Tam trafiają najlepsi z najlepszych.

Ten bal kończył nie tylko rok szkolny, kończył wszystko. Niebawem ona wyjedzie na Wschodnie Wybrzeże, by studiować w Harvardzie, tam gdzie studiował Richard Copperman, cholerny wymoczek. Od dnia rozstania dzielił ich jedynie okres wakacji i Adam żywił nadzieję, że w okresie tym doprowadzi do pojednania i odzyska jej względy. Przecież nie można tak ni stąd ni zowąd, zostawić na lodzie faceta, z którym przez dwa lata się chodziło i omal nie poszło z nim do łóżka, i już następnego dnia robić słodkie oczy do kogoś, kto wygląda jak ścinek papieru, tak, że dałoby się go przebić na wylot małym palcem. Owszem, Coppermanowie to handel złomem, są obliczani na półtora miliona, no a ojciec Lindy przed miesiącem otrzymał stanowisko prezesa korporacji w tekstyliach, nie tata ze swoją wytwórnią pasz i plantacjami też należy do tej samej klasy. Mimo to nie chciał się zgodzić na Harvard.

— Wystarczy ci zwykły uniwersytet stanowy — powiedział. — Żeby prowadzić interes, nie musisz mieć zafajdanego doktoratu. Jak będzie ci potrzebny jajogłowy doradca, to za te pieniądze możesz ich mieć na kopy.

Cień trampoliny wpełznął na jego prawy łokieć, więc Adam przesunął ręcznik bardziej w lewo. Mamie udałoby się przekonać tatę — myślał — że pogwałciłby własny status społeczny kształcąc dzieci w jakiejś tam szkole zbiorczej i że tylko renomowana szkoła prywatna — ta, gdzie Lindę posłali jej rodzice — a potem licząca się uczelnia otwiera drogę do kariery. Ale mama już nie żyła, nie ma komu przekonać taty i Harvard diabli wzięli. To już koniec, koniec wszystkiego — odkąd zjawił się tutaj ten wymoczek. Linda dostała bzika na jego punkcie i adoruje go w sposób żenujący. Przestał jej imponować nawet tytuł mistrza okręgu w pływaniu, który się zdobyło w tym roku specjalnie dla niej, chociaż po zawodach, wieczorem w samochodzie, była uległa jak hurysa i gdyby nie to napięcie, zmęczenie i zdenerwowanie po tym ciężkim dniu, człowiek nie miałby żadnych kłopotów w tak przełomowych chwilach i dobitnie by udowodnił, że w pełni zasługuje na miano mężczyzny.

Szorstki ręcznik, na którym Adam leżał, mógłby w tym momencie zeznać w sądzie pod przysięgą, że jego właściciel na to miano rzeczywiście w pełni zasługuje.

C.D.N.